HWZDB

P-1102.0080 07200-Y43 CA 56- 3 B2

??-?? PRUS * ??-?? EMANCYPANTKI * (7200)

(M-SET)

43-24 1*
42-28 891.85*G51*Oe1925*

V.1* 01STX4

RUN TWICE
FOIL- WHITE

0091 00

7 1/8 6 1/2 C-1 5/8

HWZDB

DP-2

HERTZBERG — NEW METHOD, INC. EAST VANDALIA ROAD, JACKSONVILLE, ILL. 62650

HWZDB TITLE NO.	ACCOUNT NO.	LOT AND TICKET NO.
P-1102.0080	07200-Y43	CA 56- 3 B2

??-?? PRUS * ??-?? EMANCYPANTKI * (7200)

(M-SET)

43-24 1*
42-28

891.85*651*0e1925*

V.1*

01STX4

CLOTH COLOR

0091

HEIGHT

00

CHARGING INFORMATION SPECIAL WORK AND PREP.

STUBBING		FRONT COVER		HAND ADHESIVE		MAP POCKET PAPER	
HAND SEW		NO TRIM		LENGTHWISE		MAP POCKET CLOTH	
THRU SEW		PAGES LAMINATED		FOREIGN TITLE		SPECIAL WORK	
THRU SEW ON TAPE		EXTRA THICKNESS		LINES OF LETTERING		REMOVE TATTLE TAPE	

HEIGHT	PICA	WRAP
8	6	

HWZDB

EMANCYPANTKI

PISMA
BOLESŁAWA PRUSA

TOM VII

EMANCYPANTKI



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

BOLESŁAW PRUS
(ALEKSANDER GŁOWACKI)

EMANCYPANTKI

POWIEŚĆ

TOM I

WYDANIE CZWARTE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Składy główne:
„The Polish Book Importing Co., Inc." — New York.
„Księgarnia Polska na Śląsku, Sp. Akc." — Katowice.

Druk. „Rola" J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11.
1925.

I.

Energja kobiet i męskie niedołęstwo.

Około roku 1870 najznakomitszą szkołą żeńską w Warszawie była pensja pani Latter.

Stamtąd wychodziły najlepsze matki, wzorowe obywatelki i szczęśliwe żony. Ile razy gazety donosiły o ślubie panny majętnej, dystyngowanej i dobrze wychodzącej zamąż, można było założyć się, że, między zaletami dziewicy, znajdzie się wzmianka, iż: taka to a taka, tak a tak ubrana, tak a tak piękna i promienieująca szczęściem oblubienica, ukończyła pensję — pani Latter.

Po każdej podobnej wzmiance, na pensję pani Latter wstępowało kilka nowych uczennic, jako przychodnie, albo jako stałe mieszkanki zakładu.

Nie dziw, że i pani Latter, której pensja tyle szczęścia przynosiła jej wychowanicom, sama była uważana za osobę szczęśliwą. Mówiono o niej, że, choć zaczęła pracę skromnemi funduszami, musi jednak posiadać kilkadziesiąt tysięcy rubli gotówką; nie wiedziano tylko, czy kapitał jest umieszczony

na hipotekach, czy w banku? Nikt o majątku nie wątpił, widząc balowe stroje jej córki, Heleny, prześlicznej 19-letniej panienki, a nadewszystko słysząc o wydatkach syna, Kazimierza, który nie żałował pieniędzy.

Nie gorszono się jednak ani strojami panny, ani szykiem kawalera, jedno bowiem i drugie trzymało się pewnych granic. Panna Helena występowała na zebraniach świetnie, ale rzadko; zaś pan Kazimierz wybierał się kończyć edukację za granicą i bawił w Warszawie tylko chwilowo. Mógł więc sobie pozwolić.

Znajomi szeptali, że pani Latter nie bez racji życzliwie patrzy na wybryki młodego, który, w towarzystwie dystyngowanej młodzieży warszawskiej, leczył się z demokratycznych mrzonek. Nawet podziwiano rozum i takt matki, która zamiast gromić chłopca zato, że nasiąknął zgubnemi teorjami, pozwoliła mu odrodzić się zapomocą wykwintnego życia.

— Kiedy młody przywyknie do towarzystw, gdzie się nosi czystą bieliznę, to przestanie zapuszczać długie włosy i potarganą brodę, — mówili znajomi.

Młody przywykł bardzo prędko do strzyżenia włosów i czystej bielizny, a nawet zrobił się skończonym elegantem, tak, że w połowie października zaczęto mówić, iż wkrótce wyjeżdża za granicę, w celu studjowania nauk społecznych. Rozumie się, że miał jechać nie młody Latter, ale młody Norski. Pani Latter bowiem z pierwszego męża nazywała

się Norska, Helena i Kazimierz byli jej dziećmi z tamtego związku.

Drugi mąż, pan Latter... Ale o niego mniejsza. Dość, że pani Latter, od chwili założenia pensji, nosiła wdowie szaty. Że zaś po kilka razy do roku jeździła na Powązki i ozdabiała kwiatami grób pierwszego małżonka, więc nikt nie pytał się, czy i drugi małżonek spoczywa na Powązkach, czy gdzie indziej.

Trudno dziwić się, że pani Latter, której los po dwakroć zdruzgotał serce, była chłodna w stosunkach i miała surową powierzchowność.

Pomimo lat czterdziestu kilku, była jeszcze piękną kobietą. Wzrostu więcej niż średniego, nie okazałej tuszy, ale i nie szczupła, miała czarne włosy nieco przyprószone siwizną, rysy wyraziste, płeć śniadą i prześliczne oczy. Znawcy twierdzili, że takiemi oczyma pani Latter mogłaby zawojować niejednego bogatego wdowca, z pomiędzy tych, których córki mieszkały u niej, lub chodziły na jej pensję. Nieszczęściem, właścicielka „czarnych diamentów“ miała spojrzenie raczej przenikliwe, aniżeli tkliwe, co w połączeniu z wąskiemi ustami i postawą imponującą budziło dla niej przedewszystkiem — szacunek, zarówno w kobietach, jak i w mężczyznach.

Uczennice bały się jej, choć nigdy nie podnosiła głosu. Najmocniej rozbawiona klasa milkła odrazu, jeżeli w sąsiedniej sali dzieci usłyszały w pewien charakterystyczny sposób otwierane drzwi i równy chód przełożonej.

Damy klasowe, a nawet profesorowie podziwiali magiczny wpływ pani Latter na pensjonarki. Matki, mające dorosłe panny na wydaniu, z niepokojem myślały o jej córce, Helenie; jakgdyby młoda piękność mogła pozabierać im wszystkie partje i złamać przyszłość wszystkim gotującym się do małżeństwa dziewicom. Niejeden zaś zamożny ojciec wątłego i brzydkiego syna myślał:

— Ten hultaj Norski zabrał zdrowie i piękność dziesięciu takim, jak mój Kajtuś, choć i to chłopak niczego!

Była więc pani Latter na wszelki sposób szczęśliwa: zazdroszczono jej majątku, powagi, pensji, dzieci, nawet oczu. Mimo to, na jej czole coraz głębiej rysowała się zagadkowa zmarszczka, na twarz coraz niżej zsuwał się cień, niewiadomo skąd padający, a oczy coraz przenikliwiej wpatrywały się gdzieś poza ludzi, jakby usiłując dojrzeć wypadki niewidzialne dla innych.

W tej chwili pani Latter spaceruje po swoim gabinecie, którego okna wychodzą na Wisłę. Jest już schyłek października, o czem mówi rudo-żółtawe światło, którem słońce, kryjąc się za Warszawą, pomalowało domy Pragi, kominy odległych fabryk i szare, zamglone pola. Światło jest zwiędłe, jakby zaraziło się od zwiędłych liści, albo nasiąkło rudą parą lokomotywy, która w tej chwili sunie daleko poza Pragę i znika dalej, uwożąc jakichś ludzi, może jakieś nadzieje. Szkaradne światło, które przypomina schyłek października, szkaradna lokomotywa, która każe myśleć, że wszystko na tym

świecie jest w nieustannym ruchu i znika dla nas, ażeby pokazać się innym, gdzie indziej.

Pani Latter cicho stąpa po dywanie gabinetu, który ma wygląd męskiej pracowni. Czasem spogląda w okna, gdzie zwiędłe światło przypomina jej koniec października, a niekiedy rzuca okiem na głębowe biurko, gdzie leży kilka wielkich książek rachunkowych, nad któremi pochyla się biust Sokratesa. Ale zmarszczone czoło mędrca nie wróży jej nic dobrego; więc ściska założone na piersiach ręce i, chodząc, przyśpiesza kroku, jakgdyby pragnęła już gdzieś dojść, byle prędzej. Oczy jej błyszczą mocniej, niż zwykle, usta zacinają się węziej, a na twarz coraz głębiej zapada ów cień, którego nie mogła odegnać ani piękność jej dzieci, ani opinja, jaką ona sama cieszy się u ludzi.

W salonie poczekalnym regulator wydzwonił wpół do piątej, w jej gabinecie duży zegar angielski jeszcze uroczyściej wybił wpół do piątej i w dalszych pokojach dźwięk ten cieniutko i śpiesznie powtórzył jakiś mały zegarek. Pani Latter zbliżyła się do biurka i zadzwoniła.

Drgnęła ciemna kotara, cicho otworzyły się drzwi poczekalni i w progu stanął wysoki służący we fraku, z siwemi faworytami.

— O której godzinie oddał Stanisław list panu Zgierskiemu?

— Przed pierwszą, jaśnie pani.

— Jemu samemu?

— Do własnych rąk — odparł służący.

— Możesz odejść. A jeżeli kto z gości przyjdzie, wprowadź zaraz.

„Półtrzeciej godziny każe mi czekać, oczywiście nie mogę na niego rachować...“ — pomyślała pani.

„Naturalnie — ciągnęła w duchu — on doskonale rozumie położenie. Do Nowego Roku potrzebuję 7.600 rubli, od przychodzących będę miała 2.500, za stałe zwrócą mi najwyżej 1.500, więc jest 4.000. A gdzie reszta?... Po Nowym Roku?... Po Nowym Roku okaże się, że dochód jest o 4.000 rubli mniejszy, aniżeli w latach poprzednich. Co się tu łudzić! Sześć stałych i dwadzieścia przychodzących ubyło i na rok następny nie przybędą i już nigdy nie przybędą... Zostaje czystego dochodu najwyżej tysiąc rubli rocznie, co mogłoby wystarczyć dla jednej osoby, ale nie dla nas trojga... A co dalej?... Na pokrycie mniejszego długu zaciąga się większy dług, potem jeszcze większy, więc w rezultacie musi się to wszystko skończyć... Zgierski otwiera mi oczy bez ceremonji; on nie łudzi się...“

Życie pani Latter tak było wypełnione cyframi, cyfry tak dręczyły jej wyobraźnię, że na cokolwiek zwróciła oczy, wszędzie widziała cyfry. Rozpierały one księgi rachunkowe, leżące na biurku, wyskakiwały z ogromnego złoconego kałamarza, pełzały po angielskich sztychach, ozdabiających ściany gabinetu. A ile ich kryło się w ciężkich fałdach firanek, ile za szkłem rzeźbionej bibljoteki, ile tłoczyło się w cieniu każdej portjery — niktby nie zliczył.

Ażeby oderwać uwagę od szczupłych, dokuczliwych widziadeł, pani Latter podniosła głowę i, stanąwszy na środku gabinetu, zaczęła słuchać, co się dzieje na górze. Znajdował się tam salonik, w którym pensjonarki przyjmowały odwiedzających gości; lecz w tej chwili nie było gości, gdyż przez salonik ciągle przechodziły uczennice. Oto dwie starsze idą, z sypialni do klas, krokiem równym, zapewne trzymając się pod rękę; oto przebiega jakaś pierwszo- albo drugo-klasistka; oto jedna wkoło obchodzi salonik, może uczy się; którejś innej upadła książka.

Wtem słychać ciężkie i szerokie kroki — to panna Howard, najznakomitsza nauczycielka pensji.

— Ach, ta Howard!... — szepnęła pani Latter. — Ta kobieta nieszczęście mi przyniosła...

Równocześnie z wejściem panny Howard, spacerujące uczennice uciekają z górnej salki, do której wchodzi kilka osób. Jedna, dwie i ktoś trzeci starszy... Ciężkie kroki panny Howard stały się szybsze i drobniejsze, słychać przesuwanie krzeseł. Oczywiście, ktoś przyszedł z wizytą.

„Może Malinowska, ta przyjaciółka Howardówny, zwiedza mi pensję?... — myśli pani Latter. — Do tych warjatek wszystko podobne!... Ma kilkanaście tysięcy rubli, więc zakłada pensję, ażeby mnie zrujnować... Naturalnie, że straci je we dwa lata, ponieważ zdaje się jej, że jest powołana, ażeby zrobić przewrót w wychowaniu dziewcząt. Howardówna napisze jej program... Cha! cha!... To ucieszą się redakcje, które na jakiś czas przestanie

kataplazmować artykułami. Kobiety samodzielne!... Ja nie jestem samodzielną, bo z niczego stworzyłam pensję; dopiero one będą uczyły mnie samodzielności za trzynaście tysięcy rubli, które Malinowska chce zmarnować, według przepisów Howardówny..."

Wskazówka angielskiego zegara powoli zbliża się do piątej, przypominając pani Latter, że nadchodzi wieczorna serja jej przyjęć. Przypomina jej zarazem, że przez ten oto gabinet przesunęło się już wiele tysięcy osób, które czegoś żądały, prosiły, o coś zapytywały. Każda otrzymała odpowiedź, radę, wyjaśnienie i — co z tego?... Co zostało z tych tysięcy rad, udzielonych innym?... Nic. Ciągle pogłębiający się deficyt na dziś, a możliwe bankructwo na jutro.

— A... nie dam się!... — szepnęła pani Latter, chwytając się oburącz za głowę. — Nie dam się... nie dam moich dzieci, nic nie dam! To nieprawda, ażeby były położenia bez wyjścia... Jeżeli w Warszawie jest pensyj za wiele, upadną słabsze, nie moja

Bystry jej słuch uchwycił szmer w poczekalni. Ktoś, zamiast dzwonić, poruszył parę razy klamką, a gdy lokaj otworzył drzwi, ktoś rozbierał się powoli i rozmawiał półgłosem.

Pani Latter skrzywiła usta, odgadując z przygotowań, że taki gość przychodzi w swoim, nie w jej interesie.

We drzwiach ukazały się siwe faworyty służącego, który szepnął:

— Ten... pan profesor.

A w chwilę później wszedł do gabinetu czło

wiek w czarnym surducie, tęgi, średniego wzrostu. Miał twarz bladą, jakby nalaną, apatyczne spojrzenie z wyrazem dobroci, na łysinie kosmyk włosów, który, jak ciemna kresa, ciągnął mu się nad czołem od strony prawej ku lewej. Gość, idąc zwolna, wysoko podnosił kolana i trzymał duży palec lewej ręki za klapą surduta, co wszystko razem zdawało się świadczyć, że łagodny ten człowiek nie odznacza się energją.

Pani Latter, stojąc z założonemi na piersiach rękami, utopiła pałający wzrok w jego szklanych oczach; ale gość był tak flegmatyczny, że nawet nie zmieszał się jej spojrzeniem.

— Właśnie... — zaczął.

W tej chwili regulator, zegar angielski i mały zegarek w dalszych pokojach na rozmaity sposób wybiły piątą.

Gość zawiesił mowę, jakby nie chcąc przeszkadzać zegarom, a gdy umilkły, znowu zaczął:

— Właśnie...

— Zdecydowałam się — przerywa mu pani Latter.—Nie sześć, ale dwanaście lekcyj tygodniowo będzie miał pan u mnie...

— Bardzo...

— Sześć geografji i sześć nauk przyrodniczych.

— Bardzo... — powtórzył gość, kiwnąwszy parę razy głową, lecz nie wyjmując wielkiego palca lewej ręki z poza klapy surduta, co już zaczęło irytować panią Latter.

Znowu mu przerwała, mówiąc:

— Przyniesie to panu profesorowi 48 rubli miesięcznie.

Gość zamknął usta, lecz zaczął szybko bębnić palcami lewej ręki po klapie surduta. Potem, skierowawszy łagodne oczy na nerwową twarz pani Latter, rzekł:

— To chyba nie po dziesięć złotych godzina?

— Po rublu — odpowiedziała przełożona.

Do poczekalni ktoś energicznie zadzwonił i wszedł z szelestem.

— Zdaje mi się, że mój poprzednik brał po dwa ruble za godzinę?

— Dziś nie jesteśmy w stanie płacić za te przedmioty więcej, niż rubla... Zresztą mamy trzech kandydatów — rzekła pani Latter, patrząc na drzwi.

— To dobrze — odparł gość, zawsze z równym spokojem. — Możeby jednak wzamian moja siostrzeniczka...

— Pomówimy o tem jutro, jeżeli pan łaskaw — przerwała z ukłonem.

Gość, nie zdradzając zdziwienia, chwilę postał, zebrał rozpierzchniętą myśl i, kiwnąwszy głową, opuścił gabinet. Idąc, podnosił kolana równie wysoko, jak pierwej, i nie wyjmował palca z poza klapy surduta.

„Skończony safanduła!“ pomyślała pani Latter.

Lokaj otworzył drzwi, przez które z poczekalni wtoczyła się nieduża, ale tęga i rumiana dama w jedwabnej sukni, orzechowego koloru. Zdawało się, że rozpuszczona jej szata napełnia szelestem cały pokój i że reszta dziennego światła ucieka prze

laskami jej dewizek, pierścieni, bransolet, tudzież wiecideł, połyskujących na rozmaitych punktach łowy.

Pani Latter, przywitawszy ją, podprowadziła o skórzanej kanapy, na której dama usiadła w taki posób, jakby, zamiast usiąść, skróciła swój nieduży rzrost i jeszcze bardziej rozpuściła suknię. Gdy służący zapalił parę lamp gazowych, można było przyuścić, że dama w pulchnych rękach z trudem utrzyuje cały potop jedwabnej materji, która może zaopić gabinet.

— Odprowadziłam na górę moje panienki — aczęła dama — i chcę prosić, ażeby pani pozwoliła n jeszcze jutro pożegnać się ze mną.

— Pani jutro wyjeżdża?

— Ach, pani, tak, wieczorem — westchnęła ama. — Dziesięć mil koleją, a potem trzy mile kaetą. Jedyną dla mnie pociechą w podróży będzie to, e moje dzieci zostaną pod opieką pani. Cóż to za ystyngowana osoba panna Howard i co za pensja!...

Pani Latter na znak podziękowania schyliła łowę.

— Takich schodów nie widziałam na żadnej ensji — mówiła dama, oddając ukłon z wdziękiem, tóry odpowiadał obfitości jej orzechowej sukni. — lokal prześliczny, tylko... mam do pani prośbę — odała z lubym uśmiechem. — Mój brat darował ziewczynkom bardzo ładne firanki nad łóżka, to jego własnej fabryki. Czy nie możnaby zawiesić ch nad łóżeczkami?... Ja sama się tem zajmę...

— Nie miałabym nic przeciw temu — odparła

pani Latter — ale doktór nie pozwala. Mówi, że firanki w sypialniach tamują przepływ powietrza.

— U pani leczy doktór Zarański? — przerwała dama. — Renomowany doktór! Znam go, bo przyjeżdżał do nas przed dwoma laty cztery razy z Warszawy (dziesięć mil koleją, a potem trzy mile powozem), kiedy mój mąż chorował, wybaczy pani na pęcherz. Znam go doskonale (każdy przyjazd kosztował nas 120 rubli!), więc możeby dla moich dzieci zrobił wyjątek?...

— Bardzo wątpię — odpowiedziała pani Latter — ponieważ w roku zeszłym nie pozwolił zawiesić firanek nad łóżkiem siostrzenicy hrabiego Kisiela, z którą mieszkają córeczki pani...

— Aa!... jeżeli tak!... — westchnęła dama, ocierając twarz koronkową chusteczką.

Nastała przerwa, w ciągu której zdawało się, że każda z pań chce coś powiedzieć i szuka właściwej formy. Dama w orzechowej sukni wpatrywała się w panią Latter, w miarę czego pani Latter usiłowała przybrać wyraz grzecznej obojętności. Ruchliwe oczy damy mówiły: „no, powiedz ty pierwej, to ja będę śmielsza“, zaś posągowa twarz pani Latter odpowiadała: „nie, ty mnie zaatakuj, a wtedy ja cię zwyciężę“.

W tej walce niecierpliwości z zimną krwią ustąpiła „dama w jedwabiach“.

— Chciałam jeszcze prosić pani — zaczęła — ażeby moje dziewczynki więcej pracowały nad talentami...

— Słucham panią.

— Jedna naprzykład mogłaby uczyć się grać a cytrze... Ten instrument bardzo lubi mój mąż; awet ma cytrę, bo kiedy praktykował w Wiedniu, ależał do klubu cytarzystów. Druga mogłaby uczyć ię malować, choćby pastelami... To tak ładnie wizieć panienki malujące pastelami!... Kiedym była ' zeszłym roku w Karlsbadzie — wszystkie młode .ngielki, ile razy nie miały partji do krokieta, rozładały albumy i malowały. To bardzo uwydatnia 'dzięki młodej osoby...

— Któraż z nich chce malować?

— Która? Żadna nie chce — odpowiedziała westchnieniem dama. — Ale ja myślę, że powinaby uczyć się starsza, bo przecie pierwej musi 'yjść zamąż.

— Proszę pani, naco im te talenta?... — zapyıła pani Latter miękkim głosem. — One, biedaczki, ıż i tak więcej, niż inne, pracują nad lekcjami...

— A... nie spodziewałam się od pani takiego dania! — odparła dama, poprawiając się na kanaie. — Jakto, więc talenta nie są potrzebne panienə w naszych czasach, kiedy wszyscy mówią, że obieta powinna być samodzielna, powinna kształić się we wszelkich kierunkach?...

— Ależ one czasu nie mają...

— Czasu?... — powtórzyła dama z subtelną 'onją. — Jeżeli mają czas na szycie bielizny dla podzutków w ochronach...

— Tym sposobem uczą się szyć.

— Moje córki, dzięki Bogu, nie będą potrzeowały szyć — odparła dama z godnością. — Ale

mniejsza. Jeżeli pani nie życzy sobie tego, musza zaczekać.

Pani Latter zimno się zrobiło przy ostatnich słowach. Więc znowu mają ubyć jej dwie pensjonarki, płacące dziewięćset rubli!...

— W takim razie — ciągnęła dama, wysilając się na lodowatą słodycz — może pani zrobi przynajmniej tę łaskę, ażeby panienki tańczyły...

— One uczą się tańczyć u pierwszorzędnego artysty baletu.

— Tak, pani, ale tańczą tylko z sobą i nie spotykają młodzieży. Tymczasem dziś — mówiła dama z westchnieniem — kiedy świat żąda od kobiety ażeby była samodzielną, kiedy młode Angielki ślizgają się i jeżdżą konno razem z chłopcami, nasze biedaczki są tak nieśmiałe w towarzystwie panów że... ani b e, ani m e... Mój mąż jest zrozpaczony i mówi, że do reszty zgłupiały...

— Pani, ja nie mogę zapraszać chłopców na lekcje tańca — odpowiedziała pani Latter.

— Ha, w takim razie — rzekła, zniżając głos dama — nie zdziwi się pani, jeżeli od wakacyj...

— Niczemu się nie dziwię — odparła pani Latter, której gniew uderzył do głowy. — Co się zaś tyczy rachunku...

Dama złożyła pulchne rączki i rzekła tonem słodkim:

— Właśnie chciałam uiścić resztę za pierwsze półrocze... Więc jestem pani winna?

— Dwieście pięćdziesiąt rubli.

Głos damy stał się jeszcze słodszym, kiedy mó-
/iła, wydobywając z kieszeni portmonetkę.

— Czy nie możnaby okrągło?... dwieście...
'rzecież niektóre panienki płacą u pani po czterysta
ubli rocznie, a na innych pensjach... Szczerze po-
/iem, że ani myślałabym odbierać dzieci z takiej
/zorowej pensji, gdzie jest prawdziwie macierzyń-
ki dozór, porządek, piękne maniery, gdyby pani
godziła się na ośmset rubli rocznie... Bo nie uwie-
zy pani, co to za straszne czasy dla nas... Jęczmień
drożał o połowę, a chmiel... pani! Niech pani te-
az doda, że mamy trzy mile najgorszej drogi do ko-
ei, że mój biedny mąż ciągle choruje na pęcherz,
ja na przyszły rok znowu muszę jechać do Karls-
adu... Przysięgam pani, że niema dziś nieszczę-
liwszych ludzi, jak fabrykanci; a wszystkim się
daje, że nam brak tylko ptasiego mleka... — zakoń-
zyła dama, ocierając, tym razem webową chustką,
:y, płynące z oczu. Przeznaczenie koronkowej
hustki było inne.

— Niechże będzie dwieście rubli na ten raz —
dpowiedziała zwolna pani Latter.

— Droga, kochana pani! — zawołała dama,
ıkby chcąc rzucić się jej na szyję.

Pani Latter skłoniła się uprzejmie, wzięła dwie
turublówki i, wyciąwszy kwit z księgi, podała go
krągłej damie, na której twarzy radość i tkliwość
oniły się jak dwa obłoki na wypogadzającem się
iebie.

Wyprowadziwszy szeleszczącą i połyskującą

damę do poczekalni i zatrzymawszy się, aż wyjdzie, pani Latter rzekła do służącego:

— Poproś pannę Howard.

Wróciła do swego gabinetu i zaczęła chodzić rozdrażniona. Widziała przed sobą szklane oczy profesora, który trzymał wielki palec lewej ręki za klapą surduta i bez protestu zgodził się na zmniejszenie mu dochodów o 24 ruble miesięcznie, a obok— orzechową suknię i lśniące klejnoty damy, któr jej urwała 50 rubli na półroczu.

„Ach, trudno!... — rzekła do siebie. — Kto potrzebuje, ten musi ustępować. Tak było, jest i będzie...“

Zapukano do drzwi.

— Proszę wejść.

Drzwi się uchyliły i nie weszła, ale wpadł 18-letnia panienka, a potem nagle zatrzymała si wobec przełożonej. Była to osóbka średniego wzrostu, brunetka, o rysach okrągłych. Na niewysokie czole czarne loczki włosów rozrzuciły się jej, jak gdyby szybko biegła pod wiatr; szare oczy, śniad twarz i rozchylone karminowe usta tryskały zdro wiem, energią i wesołością, którą tylko obecnoś pani Latter hamowała od szalonego wybuchu.

— A, Madzia... Jak się masz? — rzekła pa Latter.

— Przychodzę powiedzieć — mówiła szybk panienka, kłaniając się po pensjonarsku — że była u Zosi Piaseckiej. Ma biedaczka trochę gorączk ale to nic groźnego i tylko martwi się, że nie będz jutro na lekcjach.

— Całowałaś ją?

— Nie pamiętam... Zresztą umyłam sobie twarz ręce... To, proszę pani, nie może być nic złego — odała z głębokiem przekonaniem — ona takie kohane, takie dobre dziecko...

Pani Latter uśmiechnęła się.

— Cóż to było w trzeciej klasie? — zapytała.

— Ach, proszę pani — nic. Profesor najzacniejzy człowiek, ale niesłusznie się obraził. Myślał, że danowska śmieje się z niego, a tymczasem było ak, że Sztenglówna pokazała jej na dachu komiiarza, no i ta w śmiech... Proszę pani — mówiła łagającym głosem, jakby chodziło o ułaskawienie d ciężkich robót — niech się pani nie gniewa na danowską. Ja już ułagodziłam pana profesora — iągnęła figlarnym tonem — wzięłam go za rękę, pojrzałam mu pięknie w oczy, i on już źle nie myśli Zdanowskiej. A tymczasem ta biedaczka tak płaze, tak rozpacza, że nawet mnie jest jej żal...

— Nawet tobie?... — odparła przełożona. — zy panna Howard jest na górze?

— Jest. Właśnie jest teraz u niej z wizytą Hela pan Kazimierz i rozmawiają o bardzo mądrych zeczach...

— Zapewne o samodzielności kobiet?

— Nie, ale o tem, że kobiety powinny na siebie racować, że nie powinny zanadto rozczulać się i że owinny być we wszystkiem takie, jak mężczyźni: akie mądre, takie odważne... Ale zdaje mi się, że właśnie idzie tu panna Howard.

— Przyjdź do mnie, Madziu, po szóstej, dam c
robotę — rzekła, śmiejąc się, pani Latter.

Panienka znikła w drzwiach, prowadzącyc
do poczekalni, a tymczasem środkowe drzwi otwo-
rzyły się gwałtownie i stanęła w nich słuszna dama
w czarnej sukni. Miała długą twarz jednostajnie ró
żowej barwy, włosy płowe jak woda wiślana pod
czas przyboru i figurę o tyle gładką, o ile wyprosto
waną. Zwysoka kiwnęła głową pani Latter i rze
kła kontraltem.

— Pani chciała się ze mną widzieć?... — Po
wiedziała to tonem, poza którym czuć było frazes

„Kto chce widzieć się ze mną, mógłby przyjś
do mnie".

Pani Latter posadziła nauczycielkę na kanapie
sama usiadła na fotelu i, ściskając pannę Howard z
długie ręce, rzekła serdecznym tonem:

— Chciałam z panią porozmawiać, pann
Klaro. Przedewszystkiem jednak proszę, ażeby pan
nie posądziła mnie o zamiar obrażania jej...

— Nie przypuszczam, ażeby ktokolwiek mia
prawo obrażać mnie — odpowiedziała panna Ho
ward, cofając z rąk przełożonej swoje ręce, któr
w tej chwili okryły się chłodną wilgocią.

— Ja bardzo szanuję, panno Klaro, zdolnośc
pani... — mówiła pani Latter, patrząc w blade ocz
nauczycielki, na której czole ukazała się zmarszczka

— Podziwiam wiedzę pani, pracę, sumienność

Różowe oblicze panny Howard zaczęło si
chmurzyć.

— Szanuję charakter pani, wiem o ofiarach, ıkie pani ponosi na cele ogólne...

Twarz panny Howard pochmurniała coraz ardziej.

— Z przyjemnością czytuję doskonałe artykuy pani...

W tej chwili na obliczu panny Klary błysnęło oś, jak snop słonecznego światła, który rozdarł hmurę brzemienną piorunami.

— Nie na wszystko zgadzam się — ciągnęła ani Latter — ale dużo nad niemi myślę...

Fizjonomja panny Howard już wypogodziła się.

— Walka z przesądem jest trudna — odparła ozpromieniona nauczycielka — więc uważam za ıajwyższy triumf dla siebie, jeżeli czytelnicy choćy tylko zastanawiali się nad memi artykułami.

— Zatem rozumiemy się, panno Klaro.

— Najzupełniej.

— A teraz pozwoli pani zrobić sobie jedną ıwagę? — zapytała przełożona.

— Proszę...

— Otóż, panno Klaro, dla dobra tej sprawy, której poświęciła się pani, niech pani będzie ostrożiejsza w rozmowach z uczennicami, osobliwie mniej ozwiniętemi i... z ich matkami...

— Sądzi pani, że zagraża mi jakie niebezpieczeństwo?... — zawołała panna Howard głębokim kontraltem.—Ja jestem zdecydowana na wszystko!...

— Na wszystko, rozumiem, ale chyba nie na to, ażeby przekręcano myśli pani. Przed chwilą

była u mnie osoba, z którą pani na górze rozmawiała o samodzielności kobiet...

— Czy Korkowiczowa, ta piwowarka?... Gęś prowincjonalna!... — wtrąciła panna Howard tonem pogardy.

— Widzi pani, pani jest w tem położeniu, że może ją lekceważyć, ale ja muszę się z nią rachować!... I czy wie pani, jak ona skorzystała z rozmowy o samodzielności kobiet?... Oto żąda, aby je córki uczyły się malować pastelami i grać na cytrze a przedewszystkiem, ażeby jak najprędzej wyszły zamąż.

Panna Howard rzuciła się na kanapie.

— Ja jej do tego nie namawiałam! — zawołała.—Wszakże w artykule o wychowaniu naszych kobiet wyraźnie protestuję przeciw zmuszaniu dziewcząt do fortepianu, rysunków, nawet do tańca, jeżeli nie mają talentu, albo chęci. A w artykule o powołaniu kobiety napiętnowałam te lalki, które marzą o zrobieniu karjery przez zamążpójście... Wreszcie z tą panią nie rozmawiałam, jakiemi powinny być kobiety? ale o tem: jak one wychowują się w Anglji. Tam kobieta kształci się jak mężczyzna uczy się łaciny, gimnastyki, konnej jazdy... Tam kobieta sama chodzi po ulicy, odbywa podróże... Tam kobieta jest istotą wolną i czczoną...

— Czy pani zna Anglję? — nagle zapytała pani Latter.

— Wiele o niej czytałam...

— A ja tam byłam — przerwała pani Latter — i zapewniam panią, że wychowanie Angielek inacze

wygląda w naszej wyobraźni, a inaczej w rzeczywistości. Czy pani naprzykład uwierzyłaby, że tam niekiedy panienki dostają rózgą?...

— Ale jeżdżą konno...

— Jeżdżą te, które mają konie, albo na konie, tak, jak i u nas.

— Więc dziewczęta można uczyć konnej jazdy i gimnastyki — rzekła stanowczo panna Howard.

— Można, ale na pensji nie można otwierać rajtszuli...

— Ale można założyć salę gimnastyczną, można wykładać buchalterję, rzemiosła... — niecierpliwie odparła panna Howard.

— A jeżeli rodzice nie życzą sobie tego, tylko chcą, żeby panny uczyły się malarstwa, albo tańczyły z chłopcami?...

— Ciemnota rodziców nie może być programem wychowania ich dzieci. Od tego są zakłady naukowe, ażeby reformowały społeczeństwo.

— A jeżeli z powodu reformy ucierpiałyby dochody zakładów naukowych? — spytała pani Latter.

— W takim razie kierowniczki zakładów, ożywione poczuciem obowiązku społecznego, muszą zdecydować się na ofiary...

Pani Latter potarła czoło ręką.

— Czy sądzi pani, że każda przełożona pensji może ponosić ofiary, że ma środki?...

— Kto nie ma środków, powinien ustąpić tym, którzy je mają — odpowiedziała panna Howard.

— Ach, tak?... — rzekła przeciągle pani Lat-

ter, znowu pocierając czoło. — Boli mnie głowa, tyle dziś miałam zajęć... Więc panna Malinowska stanowczo otwiera pensję?...

— Ona wolałaby zostać spólniczką jakiejś znanej firmy i... ja ją namawiam, ażeby rozmówiła się z panią...

Silny rumieniec wystąpił na twarz pani Latter. Przemknęła jej myśl, że taka spółka byłaby ratunkiem pensji, albo... może — jej ostateczną ruiną?... Spólniczka musiałaby dowiedzieć się o finansowem położeniu, miałaby prawo zapytać o każdego rubla, którego wydaje Kazio...

— Ja nie będę spólniczką panny Malinowskiej — rzekła pani Latter, spuszczając oczy.

— Szkoda! — odpowiedziała sucho nauczycielka.

— Ale pani, panno Klaro, będzie ostrożniejsza w rozmowie z uczennicami i... ich matkami?

Panna Howard podniosła się z kanapy.

— Tylko ja — rzekła — odpowiadam za własną nieostrożność, a przekonań moich zapierać się nie myślę...

— Nawet, gdybym ja skutkiem tego traciła pensjonarki, które ich matka chce umieścić na pensji tańszej i bardziej postępowej?... — mówiła wolno i dobitnie pani Latter.

— Nawet, gdybym ja sama miała stracić zajęcie u pani — odpowiedziała równie dobitnie panna Howard. — Należę do osób, które ani idei, ani obowiązków społecznych nie poświęcą widokom osobistym.

— Więc czego pani chce ostatecznie?...

— Chcę zrobić kobietę samodzielną, chcę ją vychować do walki z życiem, chcę nareszcie... uwolnić ją od zależności od mężczyzn, którymi pogardzam!... — mówiła nauczycielka, a jej blade oczy łonęły chłodnym blaskiem. — Jeżeli zaś pani sądzi, e jestem u niej zbyteczną, mogę usunąć się od Nowego Roku. Pani szkodzą, czy tylko gniewają moje oglądy, a mnie męczy borykanie się z rutyną, rachowanie się z każdem słowem, walka z samą obą...

Ukłoniła się ceremonjalnie i wyszła, stawiając łuższe kroki, niż zwykle.

— Histeryczka! — szepnęła do siebie pani Latter, znowu ściskając rękoma czoło.

„Chce tu zaprowadzić buchalterję, rzemiosła, wówczas, kiedy rodzice pragną, ażeby córki malowały pastelami i jak najprędzej wychodziły zamąż! ja, dla tego rodzaju prób, miałabym poświęcić moe dzieci?...“ — myślała pani Latter.

Z dalszych pokojów, przez otwarte drzwi, doleciała ją rozmowa:

— Otóż założę się z panią — mówił dźwięczny głos męski — że najpóźniej od dziś za miesiąc sama pani będzie żądała, ażebym ją całował w rękę... Jesteś świadkiem, Hela... Wszystko zależy od wprawy.

— Ale o co się zakładacie? — wtrącił głos żeński.

— Ja nie zakładam się — odparł drugi głos żeński. — Nie dlatego, ażebym bała się przegranej, ale, nie chcę wygrać...

— Tak odpowiadają kobiety naszej epoki! — odezwał się pierwszy głos ze śmiechem.

— Ach, dziecińevery!... — odpowiedział mężczyzna. — To wcale nie nowa epoka, ale stare, jak świat, ceregiele kobiece...

Do gabinetu weszła prześliczna para: córka i syn pani Latter. Oboje blondyni, oboje mieli czarne oczy i ciemne brwi, oboje podobni do siebie. Tylko w niej skupiły się wszystkie wdzięki kobiece a w nim siła i zdrowie.

Pani Latter z zachwytem patrzała na nich.

— Cóż to za zakłady? — spytała, całując córkę.

— A to z Madzią — odpowiedziała panna Helena. — Kazio chce ją całować po rękach, a ona nie pozwala...

— Zwykła uwertura. Dobry wieczór mateczce! — rzekł syn, witając się.

— Tyle razy prosiłam cię, Kaziu...

— Wiem, wiem, mateczko, ale to z rozpaczy...

— Na tydzień przed pierwszym?...

— Właśnie dlatego, że jeszcze tydzień!—westchnął syn.

— Na serjo już nie masz pieniędzy? — zapytała pani Latter.

— To są zbyt poważne sprawy, ażebym mógł żartować...

— Ach, Kaziu, Kaziu!... Ileż chcesz? — rzekła pani Latter, odsuwając szufladę, w której leżały pieniądze.

— Mateczka wie, że ja żadnemu pojedyńczemu

olorowi nie daję pierwszeństwa, ale lubię biały różowym i niebieskim. To przez miłość dla rzeczyospolitej francuskiej.

— Proszę cię, nie żartuj. Będziesz miał dosyć ięć rubli?...

— Pięć rubli, matuchno?... na tydzień?... — nówił syn, całując jej rękę i gładząc nią sobie twarz pieszczotą. — Przecież mateczka przeznaczyła mi to rubli miesięcznie, a więc na tydzień...

— Oj, Kaziu, Kaziu!... — szepnęła matka, liząc pieniądze.

— Proszę cię, Kaziu, postaraj się, ażeby prędzej zaprowadzono emancypację kobiet. Może wówczas twoja biedna siostra dostanie choć czwartą część tego, co ty... — odezwała się panna Helena.

Pani Latter spojrzała na nią z wymówką.

— Chyba tak nie myślisz — rzekła. — Czy ja robię między wami jaką różnicę? Czy ciebie mniej kocham, aniżeli jego?,,,

— Mój Boże, alboż ja mówię coś podobnego? — odpowiedziała panienka, naciągając na ramiona białą chusteczkę. — Swoją drogą panna Howard ma słuszność, że my, dziewczęta, jesteśmy pokrzywdzone wobec chłopców. Kazio naprzykład, nie skończywszy jednego uniwersytetu, jedzie za granicę na drugi i posiedzi tam ze cztery lata; a ja, ażeby pojechać zagranicę, musiałabym dostać suchot. To samo było w dzieciństwie, to samo będzie po wyjściu zamąż, aż do śmierci...

Pani Latter wpatrywała się w nią pałającemi oczyma.

— Więc i ciebie nawraca panna Howard i takie wykłada ci poglądy?...

— Co mateczka jej słucha — odezwał się pan Kazimierz, chodząc po gabinecie z rękoma w kieszeniach. — Przecież nie panna Howard namawia ją, ażeby jechała zagranicę, tylko ona sama chce tego. Panna Howard, przeciwnie, tłumaczy jej, że kobiety powinny pracować na utrzymanie, jak mężczyźni.

— A jeżeli mężczyźni nie robią nic i jeszcze nie wystarcza im sto rubli na miesiąc?...

— Helenko!... — upomniała ją matka.

— Niechże mateczka do tego, co ona mówi, nie przywiązuje wagi! — odezwał się syn z uśmiechem. — Przecież ona pół godziny temu rozprawiała, że: jak dąb musi dłużej rosnąć, aniżeli róża, tak mężczyzna musi kształcić się dłużej, aniżeli kobieta...

— Mówiłam, bo ciągle mi to powtarzasz; ale myślę co innego.

— Przepraszam cię, ja nie porównywam kobiet do róż, tylko do kartofli...

— O, widzi mama, jakiej nabrał ogłady w swoich towarzystwach!... Szósta, muszę iść do Ady... No, bądź zdrów, mój dębie — mówiła panna Helena, biorąc w obie ręce głowę brata i całując go w czoło. — Tak długo uczysz się i tyle jeszcze masz przed sobą nauki, że zapewne jesteś ode mnie o wiele mądrzejszy. Może dlatego niezawsze cię rozumiem... Do widzenia, mateczko—dodała—za godzinę przyjdziemy tu z Adą. Może nas mateczka zaprosi na herbatę...

Wyszła, śmiejąc się.

Pan Kazimierz chodził po gabinecie z rękami / kieszeni i, zwiesiwszy głowę na piersi, mówił:

— Po każdem takiem odezwaniu się Heli czu- ; wyrzuty sumienia. — Może ja naprawdę już nie owinienem się kształcić, tylko pracować na siebie? Ioże ja jestem dla mamy ciężarem?...

— Cóż ci znowu przychodzi do głowy, Kaziu? 'rzecie ja żyję tylko twojemi nadziejami, twoją rzyszłością...

— A ja daję mamie słowo honoru, wolałbym ie mieć suchego kawałka chleba, aniżeli być dla iebie ciężarem! Przecież rozumiem, że dosyć wy- aję i wydawać będę; ależ robię to dla zawiązania tosunków. A ile razy ogarnia mnie wstyd, że znajuję się w towarzystwie tej młodzieży utracjuszowkiej, zniszczonej, nie mającej poczucia żadnej wieliej idei... Ale muszę!... Szczęśliwym będę dopiero vówczas, kiedy, jako przedstawiciel mas, rzucę im v oczy...

Zapukano, i po chwili weszła ładna szatynka, wielkiemi ruchliwemi oczyma. Zapłoniła się, jak iebo o wschodzie słońca i rzekła cichym głosem:

— Proszę pani, moi krewni znowu mnie mę- zą, ażebym ich odwiedziła...

Rumieniec jej spotęgował się.

— Przecież dzisiaj twój dyżur, Joasiu — od- owiedziała pani Latter.

— Wiem, proszę pani, i dlatego jestem zakło- otana... Ale obiecała mnie zastąpić panna Howard.

Pan Kazimierz patrzył w okno.

— Długoż ci twoi krewni będą tu jeszcze? — zapytała chmurnie pani Latter.

— Jeszcze kilka dni, ale ja to wszystko odrobię... Całą zimę nie ruszę się...

— Bodajby. Ha, idź, jeżeli tak chcesz, moje dziecko.

Kiedy pan Kazimierz odwrócił się, szatynki już nie było.

— Nie podobają mi się te ciągłe spacery—rzekła, jakby do siebie, pani Latter.

— No, krewni, może jeszcze z prowincji... — wtrącił syn.

— Howard, to nieszczęście dla całej pensji — mówiła, wzdychając, pani Latter. — Ona musi się mieszać do wszystkiego, ona wam nawet przewraca w głowach...

— Mnie!... — roześmiał się pan Kazimierz. — Stara i brzydka, przytem mądra. Ach, te baby piszące, te reformatorki...

— Przecież i ty chcesz być reformatorem...

Pan Kazimierz pochwycił matkę w objęcia i, okrywając ją pocałunkami, mówił pieszczotliwie stłumionym głosem:

— A, mateczko, to się nie godzi... Jeżeli mateczka widzi we mnie takiego reformatora, który sąsiaduje z panną Howard, to już wolę wstąpić na kolej żelazną. Za dziesięć lat dojdę do kilku tysięcy rubli pensji, potem ożenię się, utyję... Bo może ja naprawdę jestem dla matuchny ciężarem?...

— Tylko tego nie mów, proszę cię.

— Dobrze, już nigdy nie powiem. Teraz na

obranoc pocałuję mamę w oczko, a teraz w drugie... Nie będę dziś na twojej herbatce, matuchno, muszę iść. Tak mi tu u was spokojnie, a tam...

— Gdzież idziesz?

— Wpadnę do teatru, a później wstąpię na kolację... Ach, jak mnie to czasami męczy!...

Znowu ucałował jej oczy, twarz i ręce, wychodząc, posłał jej z progu pocałunek i zniknął w poczekalni.

„Biedne dziewczęta — myślała pani Latter, — jak one muszą szaleć za nim“.

Ode drzwi spojrzenie jej machinalnie padło na szufladę biurka, skąd niedawno dała synowi dwadzieścia pięć rubli. Wstrząsnęła się.

„Co... Będę żałować tego, co jemu daję?... — myślała. — Więc ma wstąpić do służby na kolej?... Nigdy, póki ja żyję!“

II.

Dusze i pieniądze.

Godzina wieczornych posłuchań skończyła się. Z wieloletniego przyzwyczajenia, pani Latter usiadła przed swem męskiem biurkiem, skąd patrzył na nią zamyślony Sokrates, ogromny kałamarz i jeszcze ogromniejsze księgi. Dawnemi czasy w takiej chwili zabierała się do robienia rachunków, do czytania listów i do odpisywania na listy. Ale mniej więcej od roku, jej dawne zwyczaje uległy zmianie. Już nie przegląda rachunków, bo i co w nich zoba-

czy?... zapowiedź deficytu. Nie odczytuje listów bo dzisiaj wcale ich nie było; nie ma też chęci pisa listów, bo rezultat wie zgóry: niektórzy przyśl pieniądze, a inni będą prosili o prolongatę. Więc pc co pisać?

Czuła, że od pewnego czasu ma mniej władz nad biegiem wypadków; ale zato wypadki maj więcej władzy nad nią. Oto i w tej chwili, zamias rachować, projektować, obmyślać sposoby, on siedzi z rękoma opuszczonemi na poręcze fotel i patrzy na widziadła, jakie przed nią rozsnuw wyobraźnia. I znowu widzi tłustą jejmość, któr chce uczyć swoje córki malarstwa i gry na cytrz ale zato urywa 50 rubli od umówionej zapłat A potem widzi płowowłosą pannę Howard, któr chcąc kobiety zrobić samodzielnemi, pracuje na zrujnowaniem jej, kobiety od kilkunastu lat samc dzielnej!

Nareszcie przychodzi jej na pamięć spokojn twarz nauczyciela geografji, który bez protestu pc zwolił sobie urwać 24 ruble na miesiąc.

„Safanduła!—mówi pani Latter z gniewem.- Ciepłe kluski, nie mężczyzna...“

I owe ciepłe kluski przypominają jej, że nac chodzi termin rachunku z piekarzem i rzeźnikier i że za lokal trzeba zapłacić 2.500 rubli za półrocz

„No, dziś mogę o tem nie myśleć — powiad sobie i otrząsa się. — Helenka jest u Ady, a Kazi zapewne ubiera się do teatru...“

Lecz i dzisiejsza rozmowa z dziećmi nie na suwa jej przyjemnych wspomnień. Jak to może by

żeby Kazio do tej pory nie wyjechał za granicę? ie dlatego, że jest jej synem i że jest piękny, alc ajsurowszy sędzia musiałby przyznać, że jest to yjątkowy młodzieniec, o którym za kilka lat mó- ić będą w całej Europie.

Co za ambicja, jaka dojrzałość, jak on się wsty- zi swoich dzisiejszych przyjaciół, którzy nie mają ielkiej idei, i jakie to on sam musi mieć idee!... Czy odobna, Boże miłosierny, ażeby taki chłopiec nie ıógł jechać za granicę, jedynie dlatego, że matka ie ma gotowych tysiąca rubli?... Jak to może być, żeby społeczeństwo nie posiadało instytucji dla do- tarczania funduszów genjalnym młodzieńcom na yższą edukację? Zaraz poszłaby tam i, zastrzegł- zy tajemnicę, powiedziałaby członkom zarządu:

„Moi panowie, wychowałam kilka pokoleń wa- zych sióstr, żon i córek, lecz sama nie mam pienię- ży na dokończenie edukacji mego syna. Proszę ięc o pomoc, nie w imię moich zasług i pracy, ale e Kazio jest to chłopak dzielny, szlachetny, genjal- y. O, gdybyście wy tak znali go, jak ja, uwierzy- byście, że nawet choćby mi był obcym, jeszcze oszczyłabym się jego przyszłością. Bo tylko spoj- zyjcie na niego, zastanówcie się nad każdem jego łowem, spojrzeniem, ruchem... Ale poco to wszyst- o: tylko przyciśnijcie go do serca, jak ja, a prze- onacie się, co za nadzwyczajna dusza mieszka tym ukochanym...“

Pani Latter machinalnie załamuje ręce. Bo rzecież niema instytucji, która pomagałaby genjal- ym młodzieńcom, a choćby stworzono taką, czy-

liż członkowie zarządu uwierzyliby, że to, co o mówi o synu, jest świętą prawdą, owocem chłodn obserwacji, nie zaś macierzyńskiem uniesienien Czyliż ona nie zna ludzi, czy nie słyszała półsłówe rzucanych na rachunek Kazia?... Co się zresztą dz wić obcym, jeżeli rodzona siostra i jeszcze dziev czyna tak wyjątkowa, jak Helenka, niekiedy ża tuje z głębokich odezwań się Kazia? A nawet n pretensje, że wychowanie brata dużo kosztuje!...

„Czy ty nie rozumiesz — mówi w duchu d córki — jaka różnica istnieje między kobietą i mę czyzną? Wszak jesteście oboje podobni do siebi jak bliźnięta, a mimo to — porównaj siebie z nin jego głos, wzrost, spojrzenie, każdy ruch... Jeżeli t jesteś kwiatem stworzenia, on jest jego pane i władcą... A dalej — pomyśl: czem są siły kobiet wobec męskich? Ja, której podziwiają rozum i ene gję, ledwie mogłam was wychować i utrzymać si bie. Tymczasem mężczyzna utrzymuje siebie i ż nę, wychowuje kilkoro dzieci i jeszcze prowad fabryki, rządzi państwami, robi wynalazki...“

W tej chwili przed wyobraźnią pani Latt przesuwa się cień mężczyzny, na którego wido rysy jej wyrażają nienawiść... Zrywa się z fotel zaczyna chodzić po gabinecie i przymusza się d myślenia o czem innem.

Więc myśli, że od pewnego czasu, może c roku, dokoła niej zachodzą zmiany. Ubyła pewr liczba uczennic i pensjonarek, zmniejszyły się doch dy, należało zastąpić kilku droższych nauczycie tańszymi.., Jednocześnie coraz częściej słyszy fr

esy o samodzielności kobiet, jakby skierowane rzeciw niej samej.

Początkowo wyraz „samodzielność“ wymawiała tylko panna Howard, potem nauczycielki i daıy klasowe, a dziś — powtarzają go starsze uczenice i nawet ich matki.

„Co ma znaczyć ta ich samodzielność — myśli ani Latter. — Konna jazda i malarstwo?... To przeież rzeczy stare, jak świat. Walka z życiem?... leż, mój Boże, od ilu lat ja walczę z życiem... Więc iezależność od mężczyzny?... Ach, gdyby one wieziały, od jakiego ja się uwolniłam!... To, co one nówią, ja robię, albo zrobiłam oddawna i pomimo o, ja ich nie rozumiem, a one uważają mnie za przezkodę. To samo, co ja, robi tysiące kobiet w każlem pokoleniu; przecież nawet były takie, które hodziły na wojnę! Więc dlatego te rzeczy dziś głasza się jako wynalazek, w dodatku zrobiony rzez pannę Howard, która dużo mówi, ale nie zroiła nic pozytywnego? Jest dobrą nauczycielką tyle...“

— Czy nie przeszkadzam?... — odezwał się a nią słodki głos.

Pani Latter drgnęła.

— Ach, Madzia!... — rzekła — dobrze, żeś rzyszła.

Panienka, zwana Madzią, a przez uczennice anną Magdaleną, weszła do gabinetu w wesołym astroju ducha. Widać to było w jej figlarnych czach, śmiejącej się twarzy, w całej zresztą postai, która wyglądała tak, jakgdyby z panną Madzią

dopiero co tańczyły jej uczennice i jeszcze wycałowały ją na zakończenie.

Lecz, spojrzawszy na panią Latter, Madzia odczuła, że wesołość w tem miejscu nie jest właściwą. Zdawało się jej, że przełożona ma zmartwienie albo że się bardzo gniewa. Za co i na kogo?... Może na nią, zato że przed chwilą tańczyła z czwartoklasistkami, ona, dama klasowa!

— Chcę, Madziu, dać ci robotę. Wyręczysz mnie?... — rzekła pani Latter, siadając przed biurkiem.

— Czy pani może się o to pytać? — odpowiedziała Madzia.

I zarumieniła się, przyszło jej bowiem na myśl, że taka odpowiedź może wydać się pani Latter zuchwałą.

Usiadła na brzegu kanapy i, pochyliwszy głowę, przypatrywała się z pod oka przełożonej, chcąc odgadnąć: co jej dolega? Czy ona gniewa się, czy jest zmartwiona? Z pewnością gniewa się (naturalnie na nią) za tańce na górze. Przecież tyle razy mówiono jej, że: dama klasowa powinna zachować powagę, właściwą swemu stanowisku. A kto wie, czy pani Latter nie gniewa się i zato, że ona całowała Zosię Piasecką i mogła zarazić całą pensję jakąś niezdecydowaną chorobą. A może o to, że wstawiała się za Zdanowską?...

— Widzisz to, Madziu — odezwała się nagle pani Latter, wręczając jej paczkę papieru listowego i notatkę. — Tyle listów musisz napisać, rozumie się, jeżeli zechcesz.

— Tylko tyle?... Ja dopiero wtedy byłabym ·awdziwie szczęśliwą, gdyby mi pani kazała pisać szystkie listy — zawołała Madzia takim tonem, k żołnierz, który chce poświęcić życie za swego odza.

— Oj, ty nieuleczalna entuzjastko!... Ale może ty się kiedyś wyleczysz. Nawet prędzej, aniżeli ıyślę!... — rzekła zniżonym głosem pani Latter, potem dodała:

— Wyręczam się tobą w nudnej robocie, bo ądzę, że ci się to przyda. Czy ciągle projektujesz obie założyć pensję?

— Ach, pani, choćby dwu... choćby jedno-kla-ową... To moje najwyższe marzenie! — zawołała ladzia, składając ręce.

Pani Latter uśmiechnęła się.

— Mam nadzieję, że zmieni się i to twoje naj-vyższe marzenie — mówiła. — Już pamiętam ich ilka. W szóstej klasie marzyłaś o klasztorze, w pią-ej myślałaś o śmierci i o tem, ażeby cię pochowano oniecznie w blado-niebieskiej trumience, a w trze-iej klasie, jeżeli mnie pamięć nie zwodzi, chciałaś oniecznie zostać chłopcem.

— Ach, pani... pani... — wzdychała Madzia, za-łaniając rękoma twarz zarumienioną powyżej czo-a. — Ach, jaka ja jestem... ach, ze mnie nic nigdy ie będzie.

— Owszem, będzie, tylko pierwej wyrzekniesz się niejednego projektu, a przedewszystkiem tej ensji.

— To, proszę pani, będzie tylko wstępna klasa.

— Coraz lepiej! — uśmiechnęła się pani Latter. — Nim jednak założysz ową wstępną klasę, napisz listy do rodziców, wujów i ciotek naszych panienek. Pisz według tego szematu: u góry—Szanowny panie lub Szanowna pani, a niżej: Załączając stosownie do życzenia pani, (czy pana) kwit za pierwsze półrocze, mam honor przypomnieć, że do uzupełnienia rachunku należy nam się rubli... I liczbę wypiszesz wedle tej kartki.

— To oni aż tyle są winni?...—zawołała z przestrachem Madzia, przeglądając notatkę.

— Winni mi dwa razy więcej — odpowiedziała pani Latter. — Tylko niektórzy zwrócą dopiero po Nowym Roku, a znajdą się i tacy, którzy nie zwrócą nigdy.

Zerwała się z fotelu i, założywszy ręce na piersiach, zaczęła chodzić po gabinecie.

— Oto masz pensję, o której marzysz — mówiła, siląc się na spokój w głosie. — Oto są świetne dochody, za które panna Howard chce tu wprowadzić buchalterję, naukę rzemiosł, gimnastykę... Warjatka!... — syknęła pani Latter.

— A ja myślałam, że ona taka rozumna... — wtrąciła tonem zdziwienia panienka. — Ach, jak ona pięknie mówi!... Jak ona tłumaczy, że dzisiejsza kobieta jest ciężarem dla społeczeństwa i niewolnicą rodziny, że kobiety powinny pracować narówni z mężczyznami, że powinny mieć te same prawa i że całe wychowanie powinno być zmienione...

Drżąca z gniewu pani Latter zatrzymała się przed Madzią i poczęła mówić stłumionym głosem:

— Dowiedz-że się ty przynajmniej, co warte ądaniny tej... szalonej!... Widzisz, ile tysięcy rubli inni mi są i domyślasz się, ile tysięcy rubli ja po- zebuję mieć do Nowego Roku, ażeby nakarmić ieci i zapłacić nauczycielom... Jeżeli więc dziś za- odzę w głowę... Ach! co ja plotę!... — szepnęła, ąc czoło. — Więc sama obrachuj: skąd w tych wa- nkach wziąć pieniędzy na wykłady nowych przed- iotów, skąd dzieci znalazłyby czas na naukę?... łowa mnie boli!...

Przeszła się kilka razy, a potem, wziąwszy za ce przestraszoną nauczycielkę, rzekła spokojniej:

— Jestem trochę chora i zirytowana, a tobie am, moje dziecko, więc rozgadałam się. Wiem jed- ak, że...

— Pani... czy pani mogłaby przypuścić, że ja wtórzę?... — spytała Madzia. A potem, spogląda- c na panią Latter oczyma pełnemi łez i całując jej ce, dodała:

— Proszę pani, to... to ja zrzekam się mojej nsji...

Przełożona przycisnęła usta do jej rozgorącz- owanej głowy.

— Dzieciaku, dzieciaku!... Jakąż różnicę może i zrobić twoja biedna pensyjka, twoje piętnaście bli miesięcznie? Ani myśl o niczem podobnem...

W oczach Madzi błysnęła wielka myśl. Łzy j obeschły.

— Więc dobrze, proszę pani, ja będę brała nsję, ale pani mi zrobi jedną wielką łaskę...

I nagle uklękła przed panią Latter, która, śmie jąc się, podniosła ją.

— Cóż to za łaska?

— Ja mam po babci — szepnęła Madzia, spu szczając oczy — ja mam... trzy tysiące rubli... Wię pani będzie taka dobra... taka kochana...

— I wezmę od ciebie te pieniądze, czy tak?.. Ach, ty niepoprawna! Przypomnij sobie, ile już prze znaczeń miały twoje pieniądze? Masz założy pensję...

— Już nie założę...

— Wybornie; szybko się decydujesz. Miała pożyczyć pannie Howard tysiąc rubli... Chciała wziąć na swój koszt, aż do ukończenia edukacji...

— Pani się śmieje ze mnie! — załkała Madzia

— Nie, ja tylko rachuję. Bo przecie masz je szcze jechać za granicę i znowu na swój kosz wziąć Helenkę...

— Ach, pani, pani... — szlochała Madzia.

— Całe szczęście, że ani tych pieniędzy ni masz w ręku, ani nie masz prawa rozporządzać nie mi. Gdybyś była tak majętna, jak Ada... ha!... — rzekła, jakby do siebie, pani Latter.

Twarz Madzi znowu ożywiła się i oczy jej bły snęły radością.

— No, ale dość tego, moje dziecko. Idź na gó rę przez mój pokój sypialny, umyj buziaka i zabier się do listów. Tylko nie popisz jakich awantur, roz trzepańcze — zakończyła pani Latter.

Zawstydzona panienka zabrała papier i wyszła do sypialni, po drodze wylewając resztę łez. Był

j strasznie smutno i z tego powodu, że tak nagle
wiedziała się o pieniężnych kłopotach swojej prze-
żonej, i z tej racji, że samą siebie posądzała o speł-
enie tysiącznych niedorzeczności.

„Co ja naplotłam, co ja nagadałam głupstw!
ie, na całym świecie niema głupszego ode mnie
worzenia“ — myślała, szlochając.

Pani Latter patrzyła za nią. W jej wyobraźni
imowolnie zarysowały się, jedna obok drugiej,
vie fizjonomje: ruchliwa twarz Madzi, na której
chwilę płonęło inne uczucie, i—posągowo piękne
licze jej córki Heleny. Tamta współczuła wszyst-
emu i wszystkim, ta była wiecznie spokojna.

„Bardzo dobre dziecko, ale Helenka ma więcej
dności. Ona tak nie zapala się“ — myślała pani
atter z dumą.

A tymczasem Madzia, zanim usiadła do pisania
stów, odmówiła pacierz, ażeby Bóg jej pozwolił,
ocby ofiarą własnego życia, dopomóc pani Lat-
r. Potem przypomniała sobie wiele innych osób,
wnież mających kłopoty: chorą Zosię, okradzio-
go stróża, pewną uczennicę z piątej klasy, która
chała się bez nadziei w panu Kazimierzu Norskim,
— znowu uczuła potrzebę ofiarowania się i dla
ch nieszczęśliwych.

A ponieważ przyszło jej na myśl, że Pan Bóg
c zrobić nie zechce za modlitwę tak marnej jak
a istoty, więc, pełna zwątpień i rozpaczy, usiadła
pisania listów, nucąc półgłosem:

„Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa...“
ławało się jej, że właśnie ta melodja najlepiej od-

powiada jej nicestwu i niemożności poświęcenia s
za cały świat wogóle, a w szczególności za pan
Latter, chorą Zosię, okradzionego stróża i nieszczę
sną piątoklasistkę, która kochała bez nadziei.

III.

Świtanie myśli.

Od kilku dni panna Magdalena jest jakaś nie
swoja. Oczy jej straciły blask, a zyskały głębię
śniada twarz pobladła, czarne włosy są prawi
gładkie, co ich właścicielce nadaje wyraz żałobny

Młoda osoba od kilku dni źle sypia i źle jada
Jeżeli śmieje się, to tylko przez pomyłkę; jeże
śpiewa, to przez zapomnienie, a jeżeli zrobi par
tanecznych turów z którą ze swoich uczennic, t
całkiem automatycznie. Dusza panny Magdaleny ni
bierze udziału w żadnym z tych objawów wesoło
ści; panna Magdalena wie o tem, że jej dusza ni
bierze dziś najmniejszego udziału w wesołości, i ni
gniewałaby się, gdyby cały świat wiedział o tym
interesującym nastroju jej duszy, pełnej troski i po
ważnych tajemnic.

Ten okropny stan tak ciąży pannie Magdale
nie, że mimowoli szuka jakiegoś towarzystwa i roz
mowy.

I dlatego, sama nie wiedząc kiedy, młoda nau
czycielka znajduje się na progu sali piątej klasy
i, sama nie wiedząc poco, wywołuje z niej pewną
ładniuchną piątoklasistkę, która nieszczęśliwie ko

ıa się w panu Kazimierzu, a w tej chwili pracuje ıd ćwiczeniem niemieckiem. Kilka panienek · bronzowych sukienkach przybiega do Magdaleny, ałuje jej twarz, włosy i szyję, ubolewa nad jej nutkiem i nad tem, że rosół przy obiedzie był taki iedobry, ale nadewszystko nad tem, że z powodu eszczu nie mogły wyjść na spacer. Panna Magdana przytakuje im, ale robi to złamanym głosem. Więc panienki cofają się w głąb sali, potem, wziąwzy się pod ręce, idą w róg sali, coś szepcą i wskaują na nauczycielkę, z oznakami tak niewątpliwego spółczucia, że Magdalenie robi się lżej na sercu. V jednej chwili ma ochotę, wobec całej klasy, odryć swoją wielką tajemnicę; lecz w następnej hwili przypomina sobie, że owa tajemnica nie jest ·j tajemnicą i—robi się jeszcze smutniejszą, jeszcze ardziej zamkniętą w sobie.

Tymczasem zbliża się do niej owa piątoklastka, na której współczucie Magdalena rachowała ajwięcej, ale ma taką minę, jakby tajemnica nauzycielki nic a nic jej nie obchodziła, ponieważ ona ama nosi troskę, której wszystkie damy klasowe ie potrafiłyby zaradzić. Mimo to panna Magdalena rowadzi ją do gościnnego saloniku, sadza obok sieie na kanapie i mówi z westchnieniem:

— Jakaś ty szczęśliwa, moja Zosiu!

Piątoklasistka zapomina o wypracowaniu nieıieckiem i wybucha płaczem.

— Więc pani wie wszystko?... — mówi, tuląc ię do jej ramienia.

— Szczęśliwa jesteś — powtarza panna Ma-

gdalena — boś jeszcze za młoda nato, ażeby zr
zumieć, jakie są dziwne stany duszy...

Siedemnastoletnia uczennica ze zdumienie
spogląda na osiemnastoletnią nauczycielkę i odp
wiada, marszcząc brwi:

— Pani tak mówi, jak on powiedział, kied
pierwszy raz spotkaliśmy się w kurytarzyk
w tym... wie pani. Ja myślałam, że spalę się z
wstydu, a on mruknął: „Jaki to śliczny smarkacz!..
Słyszała pani coś podobnego?... Myślałam, że g
rozedrę, i w tej chwili uczułam, że go już nigdy k
chać nie przestanę...

Ciche łkania przerwały jej mowę.

— Powiadam ci, Zosiu, że są niepokoje go
sze aniżeli miłość...

— Ach, Boże, wiem, wiem... Ale zawsze p
chodzą z miłości...

— Jesteś głuptasek, moja Zosiu! — przeryw
jej z godnością panna Magdalena. — Póki kobiet
kocha, jest szczęśliwą, chociaż... nie powinnam z t
bą mówić o takich rzeczach... Nieszczęście zaczyn
się dopiero wtedy, kiedy kobieta zaczyna myśleć
sprawach poważnych, jak mężczyzna... Kiedy na
przykład myśli o pieniądzach, cudzych interesach
o uratowaniu kogoś z ciężkiej sytuacji...

— O, jeżeli o mnie chodzi — wybucha Zosi
z pałającemi oczyma — mnie nikt nie uratuje!... O
chwili, kiedy Jadzia Zajdler widziała, jak całowa
pannę Joannę, życie moje zostało złamane. Więc o
nie dla mnie zaglądał do sal, nie mnie szukał, gd
patrzał na nasze okna z podwórka, i dlatego ni

odniósł róży, którą mu wyrzuciłam... Ale ja nie
ędę im przeszkadzać; umrę, rozumie się, że nie
la tej kokietki, tylko dla niego... Niech zostanie
zczęśliwy z kim chce, chociaż... mam przeczucie...
e mnie kiedyś pożałuje...

Mówiąc to, Zosia zalewa się łzami, a panna
Iagdalena patrzy na nią zdumiona.

— Moja Zosiu, co ty wyplatasz? Kto całował
pasię?...

— A któżby, jeżeli nie pan Kazimierz?... Zbałamuciła go ta drapieżnica, bo jej zazdrość...

Panna Magdalena uroczyście podnosi się z kaapy i mówi:

— Panna Joanna jest damą klasową i osobą
rzyzwoitą, która nigdy nie pozwoliłaby się całować
anu Kazimierzowi.

— Czy pani jest tego pewna?... — pyta Zosia,
kładając ręce.

— Jestem najpewniejsza, a teraz żałuje, że
ybrałam cię na powiernicę...

— O, panno Magdaleno!... — błaga ją Zosia,
łacząc i śmiejąc się.

— Jesteś dziecko — przerywa jej surowo
anna Magdalena — więc nie rozumiesz, że w żyiu kobiety mogą być rzeczy ważniejsze, aniżeli jaieś tam uniesienia sercowe. Przekonasz się, kiedy
aczniesz myśleć o cudzych interesach i znajdziesz
ię w konieczności ratowania kogoś...

— Ja już jestem uratowana... już nie umrę,
anno Magdaleno... Teraz wszystko rozumiem! Jazia musi się sama w nim kochać, więc rzuca

oszczerstwa, ażeby mnie zniechęcić... O, ja dom
śliłam się tego!...

Całuje pannę Magdalenę bez miary i liczb
ociera oczy i ucieka z sali gościnnej.

„Jaka ona głupiutka!... — myśli panna Magd
lena o swojej młodej przyjaciółce. — Gdyby j
pani Latter powiedziała to, co mnie, i gdyby jej prz
szło obmyślać sposoby dopomożenia przełożon
zarazby miłość wywietrzała... Swoją drogą A
musi przełożonej pożyczyć pieniędzy; ale co ty
czasem stanie się z moją głową!...“

Pannie Magdalenie jest coraz smutniej i cięż
Już nie o to jej chodzi, ażeby podzielić się z ki
wielką tajemnicą, ale żeby dowiedzieć się: c
w każdym człowieku budzenie się świadomej my
łączy się z takim niepokojem? Przecie już we wstę
nej klasie, a nawet jeszcze w domu, kazano jej m
śleć; przecież już siedem lat myślała, według szko
nego programu, będąc na pensji, a potem rok b
programu, będąc damą klasową, i — jeszcze nigd
myślenie nie wydało jej się czemś tak nowem i or
ginalnem!

Czuła, że po owej rozmowie z panią Latt
w duszy jej wytrysło źródło psychicznych proc
sów, których dotychczas nie odgadywała, choć
pierwszej klasy nazywano ją dzieckiem myśląc

„Pewnie musiała się zbudzić we mnie sam
dzielność, o której mówi panna Howard — rzek
do siebie Magdalena. — Nie — myślała dalej —
nie powinnam unikać tej kobiety, bo ona jedna mo
mi wytłumaczyć stan mojej duszy...“

Pod wpływem tej uwagi skierowała się do zwi pokoju panny Howard; usłyszawszy zaś roz-owę — zapukała.

W pokoju były trzy osoby. Przedewszystkiem nna Howard, która, siedząc na fotelu, z założo-mi na piersiach rękoma, rozprawiała. Naprzeciw ej, na wyplatanem krześle kręcił się, niedbale ubra-r, ale zato bardzo nieuczesany student uniwersy-tu, z wytartą czapką w ręku. Zaś na taburecie, arta o poręcz fotelu panny Howard, jakby kryła ę za nauczycielką, prześliczna szóstoklasistka Ma-a Lewińska, odznaczająca się twarzą dziecka, oczyma dojrzałej kobiety.

Magdalena spostrzegła, że Mania Lewińska trzy na studenta z wyrazem spokojnego zachwy-, że panna Klara pożera go wzrokiem, i że on ogląda na pannę Howard, lecz myśli o ukrytej za j fotelem Mani.

— Prosimy! — zawołała panna Howard, wy-ągając rękę. — Pan Władysław Kotowski, panna agdalena Brzeska.

Zaprezentowani ukłonili się sobie, przyczem zczochrany student miał minę niezadowoloną z no-ego gościa. Gdy jednak Magdalena usiadła w ten osób, że nie zasłoniła Mani Lewińskiej i nie mo-a śledzić jego spojrzeń, uspokoił się.

— Szkoda, że pani nie przyszła przed kwa-ansem — rzekła panna Howard. — Właśnie czy-łam mój artykuł, który pan zabiera do „Przeglą-". Rozwijam pomysł, ażeby nieprawym dzieciom ństwo dawało nazwiska, edukację i uposażenie;

a im lepsze będą nazwiska i wyższa edukacja, te
więcej będą szanowane nieprawe dzieci i, co z teg
wynika, kwestja zostanie rozwiązana. Bo, dopó
kobiety, nawet w tak naturalnych rzeczach, musz
się oglądać na mężczyzn...

Magdalena myślała, że zapadnie się pod zi
mię, lecz Mania, jakby nie słysząc, patrzała dobrer
oczyma na studenta, który kręcił się, rumienił i mi
tosił czapkę.

— Sądzisz pan — zwróciła się panna Howa
do studenta — że w moich słowach kryje się ni
dorzeczność?...

— Ja, proszę pani, nic nie sądzę — odparł ni
ledwie przestraszony student.

— Ale pan tak myślisz... O, bo ja, jak w otwa
tej księdze, czytam w duszy pańskiej, nawet tajen
nice, które pragnąłbyś ukryć przed samym sobą

Usłyszawszy to, Mania oblała się rumieńcer
a niemniej zawstydzony pan Władysław zrobił ruc
jakby miał zamiar schować głowę pod krzesło.

— Zapominasz jednak — ciągnęła panna H
ward — że ja nie mówię wogóle o mężczyznach, a
o tym jednym, którego kobiecie narzuca dzisiejsz
społeczeństwo, a który nazywa się mężem...

W ten sposób panna Howard mówiła jeszcz
kilka minut pięknym kontraltem, ale — o czem?
Magdalena nie umiałaby powtórzyć. Zdawało jej s
tylko, że różowa i płowowłosa apostołka samodzie
ności kobiet mówi (wobec studenta!) rzeczy ta
nieprzyzwoite, że dla niesłyszenia ich potrzeba m
śleć o czem innem. A ponieważ własne myśli pląta

ę jej, więc zaczęła odmawiać w duchu: Ojcze nasz Zdrowaś Marja. I rzeczywiście, obie te modlitwy tyle pochłonęły jej uwagę, że patrzyła na pannę oward, słyszała jej głos dźwięczny, lecz nic nie ɔzumiała.

Ale student musiał rozumieć, gdyż wyciągał bo zginał nogi, podnosił brwi, zaczesywał bujną :uprynę to prawą, to lewą ręką i wogóle zachowy- ał się, jak delikwent na torturach. Magdalenie ·zyszło na myśl, że młody człowiek nie doznawał- y tych udręczeń, gdyby, tak samo, jak ona, odma- iał przynajmniej Zdrowaś Marja. Lecz ponieważ st zapewne bezbożnikiem, jak wszyscy studenci, nie wierzy w skuteczność modlitwy, więc biedak e może nie słyszeć okropnego wykładu panny lary.

Nareszcie panna Howard, skończywszy mowę, ɔszła do biurka i zaczęła rozwiązywać, odwijać, potem znowu zawijać i zawiązywać jakąś rurkę apieru, na którym znajdował się jej interesujący rtykuł o tych... tam dzieciach... Przez ten czas Ma- ia zbliżyła się do studenta i zaczęli półgłosem roz- ɩawiać:

— Do widzenia! — mówiła dziewczynka. — we wtorek pan przyjdzie?

— Wątpi pani o tem?

— I odniesie pan Krasińskiego?

— Z objaśnieniami.

— Zapracuje się pan... Do widzenia...

— Do widzenia...

Student ledwie dotknął jej ręki, ale jak oni pa-

trzyli na siebie!... Z taką braterską czułością, a prz tem tak smutnie, jakby żegnali się na wieki, ch rozstawali się tylko do wtorku. Magdalena mia ochotę ucałować ich oboje, śmiać się z nimi, płaka słowem — robić wszystko, czegoby od niej zażąda tacy wydawali się jej piękni i nieszczęśliwi z te powodu, że zobaczą się dopiero we wtorek.

W tej chwili panna Howard oddała zwitek p pieru studentowi, który pożegnał ją dość niedba i szybko wybiegł, zapewne sądząc, że może jeszc raz spojrzy na Manię, która wyszła przed nim.

Panna Howard była promieniejąca. Znowu rz ciła się na fotel i, patrząc w sufit, jakby tam snu się jej marzenia, rzekła do Magdaleny:

— Przyszła pani na pogawędkę? Prawda, ja to interesujący młody człowiek?... Lubię śledzi kiedy w świeżej duszy kiełkuje i rozwija się jak wzniosła idea, albo uczucie...

— O, tak! — potwierdziła Magdalena, myśl o studencie i Mani.

— Więc pani także dostrzegła?

— Naturalnie, to przecież jest widoczne...

Panna Howard zrobiła minkę skromnie zakł potaną.

— Nie pojmuję, doprawdy — mówiła zniż nym głosem — co mu się we mnie mogło podobać.

Magdalena drgnęła ze zdziwienia.

— Zapewne wspólność dążeń... poglądów... - ciągnęła, coraz bardziej rozmarzając się, panna H ward. — Tak, jest jakieś powinowactwo dusz... Al nie mówmy o tem, droga panno Magdaleno, mówm

czej o pani... Co za entuzjasta!... Jak on słucha oich artykułów... Ja, dopiero mając takiego słuiacza, zrozumiałam, że można — pięknie słuchać... le dość już o tem, panno Magdaleno, mówmy o pa. Czy może i pani ma jaką troskę?... Oryginalny łody człowiek!... Więc cóż panią do mnie sprowaziło? Zapewne także budzi się duszyczka... Prawa, że zgadłam? O, bo my, kobiety, jesteśmy czególnemi istotami: gardzimy zwierzęcym tłuiem mężczyzn, lecz jeżeli znajdzie się człowiek wytkowy... Pani ma coś na sercu, panno Magdaleno, iówmy o tem, co pani mi chce powiedzieć...

Magdalena była tak zmieszana, słysząc poeckie szczebiotanie panny Howard, jakgdyby przezucono ją do nieznanej okolicy. Więc to ona, ta ztywna, gniewna, a niekiedy złośliwa panna Hoard, ta, której obawia się pani Latter, ta, która ypowiadała nieprzyzwoite rzeczy wobec młodego tudenta?... Ona mówi o powinowactwie dusz i o serowych troskach?...

Magdalena nie mogła pohamować się; wyuch, przygotowujący się od kilku dni, nastąpił. padła na kolana przed panną Howard, objęła ją za zyję i, ucałowawszy kilka razy, rzekła drżącym łosem:

— Ach, pani, jaka pani dobra!... Ja myślałam, e pani jest tylko bardzo mądra, ale że nie ma serca. le co ja wyrabiam!... — dodała, zrywając się z klęzek i siadając na taburecie, obok fotelu.

— Entuzjastka... entuzjastka! — mówiła panna

Howard pobłażliwie. — I któż jest ten, któremu po
wierzyłaś swoje serce?

— Pani myśli, że ja jestem zakochana?... Nie!..

Po różowem obliczu panny Howard przesuna
się cień niezadowolenia.

— Ja tylko chciałam — mówiła Madzia — po
rozmawiać z panią, bo pani jest taka rozumna, tak
energiczna, a mnie bardzo potrzeba otuchy...

— Więc ma pani jakiś poważny zamiar?—za
pytała panna Howard tonem mistrza, który zajmuj
się udzielaniem wskazówek we wszystkich poważ
nych zamiarach.

— O, bardzo poważny! — mówiła gorączkow
Magdalena — tylko jest to tajemnica, którą musz
zabrać z sobą do grobu... Zresztą — dodała, głębo
ko odetchnąwszy — pani jest tak rozumna, a dzi
przekonałam się, że i szlachetna, dobra, kochana..

— To jeszcze niepewne, figlarko!... — wtrą
ciła z uśmiechem panna Howard.

— O, bardzo kochana; przynajmniej ja ubó
stwiam panią... Więc przed panią powiem wielk
tajemnicę... Ja — wyszeptała Magdalena — muszę
chociażbym miała umrzeć, muszę wystarać się o pie
niądze dla...

— Dla kogo? — zapytała zdumiona panna Ho
ward.

— Dla pa-ni Lat-ter... — szepnęła jeszcze
ciszej Magdalena.

Panna Howard wysoko podniosła ramiona.

— Ona panią o to prosiła?...

— Niech Bóg broni!... Ona nawet nie domy-
a się...

— Więc ona potrzebuje pieniędzy, ta wielka
ıma?... — mówiła panna Howard.

Zapukano do drzwi.

— Wejść!

Wszedł służący i zawiadomił Magdalenę, że
·osi ją panna Ada.

— Zaraz idę — odpowiedziała Magdalena. —
Vidocznie Bóg ją natchnął w tej chwili. Ale droga,
ajdroższa panno Klaro, ani słówka o tem, nikomu.
marłabym, odebrałabym sobie życie, gdyby się
to dowiedział!...

I wybiegła z pokoju, zostawiając pannę Ho-
vard pogrążoną w oceanie zdziwienia.

„Więc Latterowa nie ma pieniędzy, a ja chcę
nią traktować o reformie wychowania!...“ — my-
lała panna Howard.

IV.

Brzydka panna.

Panna Magdalena wstępuje na chwilkę do sy-
ıialni, w której mieszka. Po drodze ściska pewną
iczbę pensjonarek, wita parę dam klasowych, które
ıa jej widok uśmiechają się, i — mówi „dobry wie-
czór“ pokojówce, ubranej w biały fartuch. A tym-
czasem rozmyśla:

„Panna Howard, oto kobieta, a ja dopiero dziś
poznałam się na niej! Ktoby przypuścił, że to takie

dobre, czułe stworzenie?... Ale pan Władysław je niegodziwiec: bo, że kocha pannę Howard, nic dziw nego (chociaż ja wolałabym Maniusię), ale dl czego on bałamuci Manię? Ach, ci mężczyźni! zda się, że panna Howard ma zupełną słuszność, poga dzając nimi...“

W kurytarzu wysokie drzwi na prawo i lewo prowadzą do sypialni. Panna Magdalena wch dzi do jednej z nich. Jest to spory, niebieski saloni w którym pod jedną i drugą ścianą stoją po trz łóżeczka, nogami zwrócone na środek sali. Łóżk żelazne, każde pokryte białą kapą, na każdem jedn poduszka, przy każdem mała szafeczka w głowac i drewniane krzesełko w nogach. Podłoga jest pocią gnięta olejną farbą, a na ścianach, nad każdem łó żeczkiem wisi albo Pan Jezus na krzyżu, albo Matk Boska, niekiedy oboje razem: wyżej Matka Bosk niżej Pan Jezus. Tylko nad łóżkiem Judyty Rozen cwejg, która jest żydówką, znajduje się zwyczajn święty Józef z lilją w ręku.

Jeden róg sali, oddzielony od reszty szafirowym parawanikiem, stanowi własny gabinet panny Ma gdaleny. W tej cząstce sypialni wszystko zdaje si być obrachowane nato, ażeby pensjonarki należyci oceniały przepaść, jaka oddziela je — od damy kla sowej. Już sam parawan niewątpliwie obudza w nic podziw i szacunek, a uczucia te zapewne potęguj się na widok szafirowej kapy i dwu poduszek n łóżku, tudzież wyplatanego krzesełka i stoliczka, n którym znajduje się bronzowy lichtarz ze szklan profitką i kawałkiem świecy stearynowej.

Na nieszczęście, Magdalena, którą starsze ko-
!anki uważały za osobę roztrzepaną, dobrowolnie
dkopywała urok swego stanowiska, pozwalając
nsjonarkom korzystać z lichtarza z profitką, wbie-
ć za parawan, a nawet nie broniąc im w ciągu
ia kłaść się na swem łóżku. Ponieważ jednak
;zyscy kochali Magdalenę, więc inne damy klaso-
: podobne dowody braku taktu liczyły na karb
niedoświadczenia. Zaś pani Latter, od czasu do
asu, spoglądała na nią w sposób, który zapewne
naczał, że ona wie i o lichtarzu z profitką i o wy-
pianiu się pensjonarek za parawanem Magdaleny.

Przyczesawszy włosy nieco potargane w obję-
ıch panny Howard i zabrawszy ze stolika jakąś
iążkę, Magdalena ostatecznie wybrała się do cze-
jącej na nią Ady. Przez kurytarze i schody szła
'olna, chwilami zatrzymywała się i, kiwając gło-
ı, albo przykładając palec do ust, rozmyślała:

„Naprzód powiem jej, ile pani Latter wydaje
lokal i utrzymanie pensji, a ile na nauczycieli...
:. Naprzód powiem, że są rodzice, którzy ociągają
z zapłatą do wakacyj, a po wakacjach także nie
ıcą... Ach, nie!... Powiem jej poprostu: moja Ado,
ybym ja miała twój majątek, to zaraz pożyczy-
ıym pani Latter z 50.000 rubli... Nie, nie, wszystko
:... O, jakaż ja jestem!... Tyle dni myślę i nie mogę
'myślić nic rozsądnego...“

Panna Ada Solska jest bardzo majętną sierotą.
prawdzie kocha nad życie swego brata, Stefana,
ırawdzie ma bliższą i dalszą familję, która znowu
kocha nad życie, wprawdzie od półtora roku skoń-

czyła pensję i mogłaby wejść w świat, który, ja mówiono, czeka na nią z utęsknieniem, lecz — mim to wszystko — panna Ada mieszka u pani Latte Płaci tysiąc rubli rocznie za lokal, opiekę i życi i mieszka w domu pani Latter, bo naprawdę (ja sama utrzymuje), nie ma gdzie mieszkać. Famil która ją kocha nad życie, ona nie lubi, a ubóstwian przez nią Stefan, 30-letni mężczyzna, ma taką manj że wciąż odwiedza zagraniczne uniwersytety, ch zapewniał, że byle Ada skończyła pensję, już n rozdzielą się oboje. I albo on z nią osiądzie w jedny z rodzicielskich majątków, albo ona z nim będz objeżdżała Europę, wyszukując uniwersytety d tychczas nie odkryte przez nikogo.

Gdy zaś Ada odważała się kiedy wątpić o spe nieniu tych projektów, brat odpowiadał krótko:

— Moja Adziu, musimy, choćbyśmy nawet n chcieli, pilnować się wzajemnie do końca życia. T jesteś tak bogata, że każdy zechce cię oszukać, a jestem tak brzydki, że mnie nikt nie odbierze tobi

— Ależ Stefanie — oburzała się siostra—ska ci się przyśniła twoja brzydota?... To ja jestem szk radna, nie ty...

— Ale Adziu, mówię ci, że bredzisz! — ir tował się brat. — Ty jesteś bardzo miłą, kompletn przyjemną panienką, tylko trochę nieśmiałą, a ja! Gdybym był mniej brzydki, strzeliłbym sobie w łe ze wstrętu do samego siebie; lecz z temi wdziękam jakiemi niebo mnie obdarzyło — muszę żyć. W te sposób służę ludziom, bo którykolwiek spojrzy n

nie, mówi: jakim ja szczęśliwy, że nie jestem po-
bny do tego magota!

Ada na pierwszem piętrze zajmuje dwa pokoje. jednym jest żelazne pensjonarskie łóżeczko, okry- białą kapą, przy niem szafka, i tylko garnitur me- li, obitych szarą jutą, wskazuje, że tu nie mieszka nsjonarka. Drugi pokój z dwoma oknami jest bar- o oryginalny: wygląda bowiem na pracownię nau- wą. Jest w nim duży stół obity ceratą, kilka sto- cych półek, napełnionych książkami i atlasami, arna tablica na sztalugach z kredą i gąbką, które idocznie są w ciągłem użyciu, a nareszcie wielka afa, pełna przyrządów fizycznych i chemicznych. tam dokładne wagi, kosztowny mikroskop, zwier- adło wklęsłe, kilkucalowa soczewka, machina elek- yczna i cewka Rumkorfa. Nie brak też retort, słoi- w i flaszek z odczynnikami, jest globus astrono- iczny, szkielet jakiegoś ptaka, tudzież niezbędny okodyl, na szczęście bardzo młody i już wypchany.

Wszystkie te przedmioty, budzące podziw uczennicach młodszych, a kłopot w starszych, któ- m niezawsze udawało się określić różnicę mię- y mikroskopem i elektroskopem, wszystkie te zedmioty były osobistą własnością panny Solskiej. na nietylko je kupowała i utrzymywała w porząd- , ale nawet umiała się z niemi obchodzić. Były to j balowe suknie, jak mawiała, uśmiechając się ła- dnie i smutnie.

Gust do nauk przyrodniczych obudził w niej ary nauczyciel jej brata. Upodobanie to podtrzy- ywał brat, sam zapalony wielbiciel nauk dokład-

nych, a resztę — zrobiły zdolności panny Ady i je niechęć do życia salonowego. Nic jej nie ciągnęł do liczniejszych towarzystw, od których odstraszał ją wiara we własną brzydotę. Więc kryła się w swo jej pracowni, dużo czytała i ciągle brała lekcje o najlepszych profesorów.

Zamożni członkowie jej rodziny uważali Ad za egoistkę, a bogaci za osobę chorą. Nietylko bo wiem oni, ale nawet żaden z ich gości, znajomyc i przyjaciół nie mógł zrozumieć tego, że dziewiętna stoletnia bogata panna przekładała naukę nad salo ny i nie myśli o zamążpójściu.

Dopiero wówczas zaczęto pojmować dziwac twa bogatej dziedziczki, gdy w salonach rozeszła si wieść, że w Warszawie, obok demokracji i pozyty wizmu, wybuchła nowa epidemja, zwana — eman cypacją kobiet. Zaczęto rozróżniać dwa gatunk emancypantek, z których jeden palił cygara, ubiera się po męsku i wyjeżdżał za granicę uczyć się z męż czyznami medycyny; drugi zaś gatunek, mniej zu chwały, czy też więcej moralny, ograniczał się n kupowaniu bardzo dużych książek i unikał salonów

Adę zaliczano do drugiego gatunku, dzięki cze mu w pewnych sferach powstało oburzenie na pa nią Latter. Ponieważ jednak panienki z tej sfer uczyły się na pensjach chyba wyjątkowo, wię gniew dystyngowanych osób zredukował się do tego że jedna z ciotek Ady, która ją czasem odwiedzała zaczęła obojętniej witać się z panią Latter. Na co pa ni Latter odpowiadała jeszcze większą obojętności słusznie czy niesłusznie dopatrując źródeł niechęc

etyle w nauce Ady, ile w jej majątku. Zdawało jej ę, że gdyby Ada była ubogą panienką, jej bliższe łalsze ciotki nie trwożyłyby się ani tem, że siostrzeca kupuje duże książki, ani tem, że w Warszawie ıczęła grasować emancypacja.

Pode drzwiami mieszkania Ady Magdalena szcze raz zatrzymała się, jeszcze raz położyła pac na ustach, jak uczennica, która przypomina sobie kcje, nareszcie przeżegnała się i — szeroko otwoywszy drzwi, weszła z wielkim rozmachem.

— Jak się masz, Adziu!—zawołała, siląc się na esołość. — Cóż się stało tak nagłego?... Właśnie ybierałam się do ciebie, kiedy przyszedł Staniaw... Jak się masz złotko... możeś ty chora?...

I, ucałowawszy Adę, zaczęła z uwagą przypaywać się jej żółtawej cerze, skośnym oczom, barzo wysokiemu czołu, bardzo szerokim ustom i barzo małemu noskowi. Rzuciła okiem na jej niezbyt ęste włosy ciemno-blond, ogarnęła jej drobniutką gurkę, odzianą w czarną suknię i usadowioną na órzanym fotelu, lecz — nigdzie nie odkryła oznak ıoroby. Natomiast spostrzegła, że Ada pilnie przyıtruje się jej, i to ją zmieszało.

— To nie mnie, to tobie coś jest, Madziu? — łezwała się powolnym i łagodnym głosem panna ɔlska.

Magdalenę od głowy do nóg oblało gorąco. Już ıciała rzucić się w objęcia Adzie i szepnąć: „porcz, kochanko, pieniędzy pani Latter!“, ale zdjął ją rach, że może wszystko zepsuć, i głos w niej zaarł. Upadła na krzesło obok Ady i niby ostro pa-

trzyła jej w oczy, siląc się na uśmiech. Wreszc
rzekła:

— Jestem trochę zmęczona... ale to przejdz
Adziu... Już przeszło.

Na żółtej twarzyczce Ady odmalował się ni
pokój; powieki zaczęły jej drżeć, a szerokie us
składać się jakby do płaczu.

— Bo może, Madziu — odezwała się jeszcze c
szej panna Solska — bo może... obraziłaś się na mn
zato, żem posłała do ciebie Stanisława?... Ja prz
cie wiem, że sama powinnam pójść do ciebie, a
zdawało mi się, że tu, na dole będzie ciszej...

Magdalena w jednej chwili odzyskała energ
Pochyliła się na fotel, schwyciła swoją przyjaciółk
w objęcia, śmiejąc się tak szczerze, jak tylko o
jedna umiała na całej pensji.

— Ach, niepoczciwa Ado! — zawołała — ja
możesz mnie posądzać o coś podobnego?... Czy kied
widziałaś, ażebym ja obraziła się na kogokolwie
a tem bardziej na ciebie, taką dobrą, taką kochan
takiego... aniołeczka!...

— Bo widzisz, ja się boję obrażać... Ja już i ta
robię ludziom przykrość moją osobą...

Dalszy ciąg wyznań przerwała jej Magdalen
pocałunkami, i — wzajemne obawy panien zosta
usunięte.

— Bo widzisz, ja ci to chciałam powiedzieć —
zaczęła Ada, kładąc swoje drobne rączki wzdłuż p
ręczy fotelu. — Wiesz, że Romanowicz lekcyj na
dawać nie może, skoro opuścił pensję...

— Naturalnie.

— Jego miejsce zajął pan Dębicki...

— Ten, co wykłada geografję w niższych kla-
ach? Jaki on zabawny...

— Żebyś wiedziała, to wielki uczony: fizyk
i matematyk, a nadewszystko matematyk. Stefek
awno go zna i nieraz mówił mi o nim.

— A, jeżeli tak... — wtrąciła Magdalena. — Ale
a dziwnie wygląda. Panna Howard, mówię ci, nie
oże patrzeć na niego, odwraca głowę...

— Panna Howard! — odezwała się niechętnie
da. — Od iluż ona osób odwraca głowę, choć i sama
e jest piękna. Zresztą, Dębicki nie jest brzydki:
ką on ma twarz łagodną, a czy ty zauważyłaś jego
ojrzenie?

— Prawda, że oczy ma ładne: niebieskie, duże.

— Jeszcze Stefek mówił mi, że Dębicki ma
adzwyczajne spojrzenie. Stefek bardzo pięknie to
kreślił. Powiedział tak: „kiedy Dębicki patrzy na
złowieka, to się czuje, że on wszystko widzi
wszystko przebacza“...

— Prawda! co za cudowne określenie — za-
ołała Madzia. — I, czy podobna, ażeby taki czło-
iek wykładał geografję w niższych klasach?...

Na twarz panny Ady padł cień smutku.

— Jemu też Stefek przepowiadał — rzekła —
e nie zrobi karjery, bo jest za skromny. A ludzie
ardzo skromni...

Machnęła ręką.

— Masz rację! On właśnie dlatego dziwacznie
ygląda, że jest nieśmiały... W drugiej klasie był

tak zmieszany, że dziewczęta zaczęły chichotać, w
obraź sobie!...

— On tu był u mnie przed godziną z panią L
ter i także wyglądał na zakłopotanego. Ale kie
wyszła pani Latter, i zaczęliśmy rozmawiać o Stef
i kiedy potem zaczął mi stawiać pytania, powiada
ci — inny człowiek. Inne spojrzenie, inne ruch
inny głos... Był, powiadam ci, imponujący — m
wiła Ada.

— To może on będzie wstydził się wykład
nam trzem? — nagle zapytała Magdalena.

— Ale, gdzież tam. Nawet zdziwisz się, gdy
powiem, że on nietylko zauważył i ciebie i He
ale i każdą ocenił...

— Ocenił mnie?...

— Tak! O tobie powiedział, że musisz być ba
dzo pojętna, tylko łatwo zapominasz...

— Czy podobna?

— Jak Stefka kocham, a o Heli — że mało d
o matematykę.

— Ależ to jest prorok!... — zawołała Madz

— Naturalnie, że prorok, bo z Helą już ma
zmartwienie. Nie była dziś u mnie cały dzień, ch
kilka razy przechodziła pode drzwiami i śpiewała
mówiła z żalem Ada.

— Czegóż ona chce?

— Albo ja wiem. Może obraziła się na mni
a najpewniej... już mnie nie lubi... — szepnęła Ad

— Ale, dajże spokój...

Usta Ady zaczęły drżeć i na twarz wystąpi
rumieńce.

— Ja rozumiem, że mnie nie można lubić — wiła — wiem, że nie zasługuję na żadne wzglę-, ale to przykro... Ja dlatego tylko, ażeby z nią dłużej, nie wyjeżdżam za granicę, chociaż ciotka ega na mnie od wakacyj i nawet Stefek wspoiał... Ja przecież niczego od niej nie żądam, chcę ko czasami spojrzeć na nią. Wystarcza mi jej s, choćby nawet mówiła nie do mnie. To tak mało, j Boże, tak mało, a ona mi i tego odmawia... A ja ślałam, że ludzie piękni powinni mieć lepsze ser- aniżeli inni...

Magdalena słuchała z błyszczącemi oczyma; tanowienie jej dojrzało.

— Wiesz! — zawołała, klasnąwszy w ręce— ci to wytłumaczę.

— Ona gniewa się, że nam Romanowicz nie e lekcyj?...

— Ale gdzież tam!... Ona — mówiła Magda- a półgłosem, schyliwszy się do ucha Ady — ona si okropnie się martwić.

— Czem?... Przecie dzisiaj śpiewała na kory- zu...

— To właśnie!... Bo im więcej kto jest zrozpany, tem bardziej stara się ukryć. O, ja wiem, bo a najgłośniej śpiewam wtedy, kiedy się czego ?...

— Cóż jej jest?

— Widzisz, jest tak—szepnęła Magdalena, po- wszy rękę na ramieniu. — Teraz ogromna drona, rodzice naszych panienek nie płacą za pensję,

ociągają się, i pani Latter — może zabraknąć pien
dzy na wydatki...

— A ty skąd wiesz? — zapytała Ada.

— Pisałam listy do rodziców od pani Latt
Ale skąd ty wiesz?

— Ja?... od pani Latter — odpowiedziała A
skubiąc cienkiemi palcami suknię.

— Ona ci powiedziała?... Więc cóż?...

— No, nic... Już jest dobrze.

Magdalena odsunęła się od niej, a potem na
schwyciła ją za ręce.

— Ada, ty pożyczyłaś pani Latter?...

— Ach, Boże, więc i cóż z tego!... Ale, Mad
zaklinam cię, nie mów o tem nikomu... Nikomu...
gdyby się Hela dowiedziała... Zresztą ja ci powi
wszystko...

— Jeżeli sekret, nie chcę słyszeć!... — bron
się Magdalena.

— Przed tobą nie mam sekretu. Widzisz,
już dawno myślałam prosić Helę, ażeby pojech
ze mną za granicę. Wiem, że pani Latter pozw
łaby nam wyjechać z ciocią Gabrjelą, ale straszi
się boję, że gdyby Hela dowiedziała się o tych...
niądzach, to obrazi się i nie pojedzie?... Ona zer
ze mną.

— Zmiłuj się, co mówisz?... Ona cię jesz
bardziej powinna kochać i będzie kochać...

— Mnie nikt nie kocha — szepnęła Ada.

— Ach, ty zabawna!... Ja pierwsza kocham
tak, że za tobą skoczyłabym w ogień... Czy ty
rozumiesz, że jesteś dobra jak anioł, mądra, zdo
a nadewszystko... taka dobra, taka dobra... Prze

oby nie kochał takiej, jak ty, nie miałby rozumu, i serca... Najmilsza, złota, jedyna...

Wykrzyknikom towarzyszył deszcz pocanków.

— Zawstydzasz mnie — odpowiedziała Ada, miechając się ze łzami w oczach. — To ty jesteś jlepsza... Dlatego zaprosiłam cię tutaj i chcę cię osić, ażebyś ostrożnie zaczęła namawiać Helę do yjazdu za granicę.

— Ja myślę, że jej nawet namawiać nie pozeba.

— Ale widzisz — ze mną...

— Właśnie z tobą. Gdzież ona znajdzie lepszę warzystwo i przyjaciółkę?

— Ona mnie nie lubi.

— Mylisz się, ona cię bardzo kocha, tylko ona st trochę dziwna.

— Może lubiłaby mnie, gdybym była ubogą, tak... jest zanadto dumna... Więc widzisz, Madziu, k musimy z nią być ostrożnie. Nic, nic... ani ówka o tych nieszczęśliwych pieniądzach.

— Bądź spokojna — odpowiedziała Magdale. — Zaraz do niej pójdę i tyle nagadam o panu Dęckim, że sama przyjdzie podziękować ci za niego.

V.

Piękne panny.

Gdy Madzia opuściła pokój Ady, już zapadał rok, spotęgowany chmurami, z których lał się

deszcz, pomieszany z topniejącym śniegiem. Na k rytarzu zapalono lampy. Przy ich świetle Madz zobaczyła zbiegającą ze schodów koleżankę, pan Joannę, ubraną jak na bal. Miała szeleszczącą kr mową suknię, z wybornie dopasowanym stanikie otwartym zprzodu, jak drzwi uchylone, z poza kt rych ostrożnie wyglądał gors, podobny do listkó białej róży.

— A ty gdzie, Joasiu? — zapytała Magdalen

— Teraz do panny Żanety, a później na ko cert ze znajomymi.

— Ślicznie wyglądasz, cóż to za suknia?...

Joanna uśmiechnęła się.

— Ach, Madziu — rzekła tonem łagodnie szym — zastępuje mnie panna Żaneta, ale ty jej p możesz, prawda?

— Naturalnie.

— I jeszcze, Madziu, pożycz mi kochanko bra soletki.

— Owszem, weź ze stolika.

— A wachlarza nie dasz mi?

— Ależ weź wszystko. Wachlarz jest tak w stoliku.

— Więc wezmę i twoją koronkę na głowę.

— Dobrze, jest pod stolikiem, w pudełku kapelusza.

— Dziękuję ci, moja droga.

— Baw się dobrze. A nie widziałaś Helenki

— Na górze niema jej, zapewne jest u siebi Do widzenia.

Zniknęła na zakręcie korytarza, i tylko słychać ło szelest jej sukni.

„Jaka ta Zosia niemądra? — pomyślała Magda-a. — Gdzieżby Joasia pozwoliła“...

W gabinecie Helenki było pusto. Już Magda-a miała cofnąć się, gdy na progu trzeciego pokoju azało się jasne widziadło, dające jej znaki ręką. ła to Helena.

Madzia cicho przeszła po dywanach aż do sy-lni pani Latter, napół oświetlonej przez różno-lorową lampkę.

— Patrz, jaki on zabawny! — szepnęła Helena, gnąc Madzię do niedomkniętych drzwi gabinetu ni Latter.

Na kanapce, przeznaczonej dla gości, siedział n siwy i otyły, z sinemi rumieńcami na policzkach ozmawiał z panią Latter.

— Opiekun Mani Lewińskiej... — szepnęła la.

— Bardzo jestem zadowolony, mości dobro-ejko — mówił pan — bo dziewczyna co kwartał daje mi się lepszą. A rozsądne to, gospodarne awy, mościa dobrodziejko, naleje i herbatę umie arzyć... Kiedy po wakacjach odjechała do War-wy, kąta znaleźć nie mogłem... Tfy! nawet ka-łeczek kobiety ożywił dom; cóżby to zaś było, by tak, mościa dobrodziejko, osiadła w nim go-dyni całą gębą, kobieta rozumna, dojrzała, po-na...

— Dom pański bardzo zyska, gdy Mania skoń- pensję, a szczególniej, gdy wyjdzie zamąż. Bo

nawet w tym wypadku zapewne nie puści jej p
od siebie — odpowiedziała pani Latter.

— A, mościa dobrodziejko, czym ja już ta
niedołęga, że sam nie mogę się ożenić?... O dziecia
przyznam się, nie projektuję, za późno, mościa dobr-
dziejko; ale żony — nie myślę się wyrzekać.

Pani Latter odchrząknęła.

— Tak, proszę pani. Majątek mam nienajgo-
szy, bez długu, i gotówczyna się znajdzie; dom m-
rowany, obszerny, nad rzeką... Ryby, grzyby, pol-
wanie, kąpiele... co, mościa dobrodziejko, chce.
Tylko pod słowem honoru, bez kobiety wytrzym
nie mogę, a osobliwie, jak przyjdzie zima...

— Może pan chce zobaczyć Manię? — prz-
rwała pani Latter.

— Wszystko jedno, Mania mi nie ucieknie, a
skorzystam z czasu, ażeby potrochu wyrobić sob,
mościa dobrodziejko, interes. Ani twoje grymas,
ani mędrkowania, ani zagadywania nie pomogą, b
prędzej, czy później, ja sprawę wyłuszczę bez ogr-
dek, nóżki na stół, mościa dobrodziejko, a pani
musisz zaakceptować...

Helenka, zasłaniając usta, uciekła do swego p-
koju, a za nią Magdalena, z wyrazem nieukonten-
wania na twarzy.

— Jak można, Helu, podsłuchiwać i jeszc
mnie ciągnąć? Jestem pewna, że mamie zrobiło
to przykrość.

— Ach, jakie to paradne! — śmiała się pan
Helena. — Wyobrażam sobie minę Kazia, gdyby

ı powiedziała, że będziemy mieli trzeciego tatkę...

— Helu...

— Naturalnie, że nie powiem, bo jeszcze więj wydawałby pieniędzy... Murowany, obszerny m nad rzeką... Może to pałac?... W każdym razie praszam cię, Madziu, na ryby, grzyby, kąpiele olowania...

Magdalena rozchmurzyła się, przyszło jej boiem na myśl, że położenie pani Latter nie jest złe, żeli może wyjść za majętnego człowieka.

— Nie byłaś dzisiaj u Ady — rzekła, zmieniaj przedmiot rozmowy...

Panna Helena usiadła na kanapie i, bawiąc się ronką niebieskiego szlafroczka, przestała śmiać się, zaczęła ziewać.

— Nudzi mnie Ada swojemi obawami i zalrością — rzekła. — Oddaliła Romanowicza, że się e mnie kochał, a umawia się z obrzydliwym Dęckim, który wygląda, jak żaba.

— Lepiej na tem wyjdziesz, jeżeli, zamiast koetować profesora, będziesz słuchała lekcyj.

— A, także mnie znasz!... Wasza fizyka ani gebra nic mnie nie obchodzą, ale kokietować koś muszę, choćby Dębickiego. Zobaczysz, jak będie na mnie słodko spoglądał, co chyba do rozpay doprowadzi Adę.

— Czy ty możesz tak mówić o Adzie? — odarła Magdalena. — Ona, biedactwo, tak ciebie kola...

— Piękne biedactwo, miljonowa panna!...

— Ale ona nie wyjeżdża za granicę, dlateg ażeby dłużej być z tobą.

— Niech mnie zabierze, to będzie ze mną j szcze dłużej.

Madzia klasnęła w ręce z radości.

— Ona o tem tylko marzy! — zawołała. — J żeli zechcesz, pojedzie choćby jutro, każdej chwili.

— A tymczasem czeka, ażebym ja ją prosił Tego nie zrobię. Moje towarzystwo jest przyna mniej tyle warte, ile dochody panny Solskiej.

— Helu — mówiła Madzia, ściskając ją za rę ce — widzisz, jak ty nie rozumiesz Ady. Ona sam poprosiłaby ciebie, ale nie śmie, boi się, ażebyś si nie obraziła...

— Cha! cha! cha!... a czemże się tu obrażać Przecie pieniędzy na podróż mama nie odmówi, cho dzi tylko o okazję i przyzwoitą opiekę. A że opiek da mi panna Solska i jakaś tam jej ciotka, więc j zależę od nich — i dlatego — one powinny wystą pić z propozycją. Ach, wyjadę za granicę!...

— Jeżeli tak, to sprawa skończona — rzekł Magdalena. — Ada poprosi cię... Tylko, Helu, wstą do niej na chwilę, ona tak tęskni za tobą.

Panna Helena oparła głowę o poręcz kanapk i przymknęła oczy.

— Jaka szkoda — mówiła — że ona tęskni z mną, a nie jest chłopcem. Gdy równie bogaty chło piec tęskniłby za mną, wiedziałabym, co mu powie dzieć... O, Madziu! gdybym ja istotnie mogła wyje chać za granicę, choć na pół roku! Bo tu zmarnuję życie, tu niema dla mnie ani towarzystwa, ani partji.

ɔże, być piękną i... nazywać się córką przełożonej
nsji, a co gorsza, całe dnie spędzać na pensji, cią-
ɜ brać jakieś niedorzeczne lekcje... Aaa!...

— Więc pójdziesz do Ady...

— Pójdę, pójdę... Zresztą ja wiem, że ona jest
bra dziewczyna i przywiązana do mnie; ale cza-
mi nudzą mnie jej wylęknione spojrzenia i wieczne
ırtwienie się tem, że — ja nie kocham tylko jej
łnej... Śmieszni ludzie! Każdy wielbiciel chce,
ebym myślała wyłącznie o nim i każda przyja-
ɔłka to samo. Tymczasem ja jestem jedna, a ich
e!...

Madzia obojętnie pożegnała Helenę i zwolna
szła na górę. Było jej dziwnie. Znała Helenę, przy-
ıchiwała się jej poglądom od kilku lat, ale dopiero
tej chwili uderzyły ją one w sposób nieprzyjemny.
uła rozdźwięk pomiędzy bezinteresownem przy-
ązaniem Ady a pretensjami Heli. I ogarnął ją
tyd na myśl, że podróż tej lekceważącej panny,
ɔkój jej matki, a może byt pensji zależą dziś od
ładnej i pokornej Ady, która uważała, że ludzie,
zyjmując od niej usługi, robią jej łaskę.

„Co się ze mną dzieje od kilku dni? — myślała
ıgdalena. — Czy świat się zmienił, czy może ja
nagle zestarzałam się i zaczynam patrzeć, jak
zie starzy? A może to choroba umysłowa?... mo-
malarja?...“

Na górze, w sali klasowej, otoczyły Magdalenę
ısjonarki, witając ją, wypytując o Adę, albo dono-
ıc, że panna Joanna poszła na koncert i że jest —
ześlicznie ubrana. Potem niektóre rozsiadły się

w ławkach, inne kolejno wychodziły na środek sa z książkami i kajetami, prosząc o objaśnienia. Jedn nie mogła dać sobie rady z arytmetyką, druga z wy pracowaniem francuskiem, inna odrobiła wszystk zadania, ale koniecznie chciała wydać jutrzejsz lekcje przed Madzią. Każda na środku sali piękn dygała przed nauczycielką, kładła kajet na stole, p tem, zbliżywszy głowę do Madzi, rozmawiała z n półgłosem, następnie mówiła: „aha! już wszystk rozumiem...“ następnie przekonywała się, że nic n rozumie, ale wkońcu wracała na miejsce zadow lona.

Siedząca w pierwszej ławce piękna brunetk z aksamitnemi oczyma, Malwinka, bawi koleżan opowiadaniem, że ona już od godziny umie lekc i że ona zawsze najprędzej uczy się lekcyj, poni waż jest najzdolniejsza. Poinformowawszy z wszystkie koleżanki o swoich zdolnościach, zaczy na słuchać tego, co się dzieje przy katedrze; ile ra zaś zrozumie, o co chodzi, wybiega na środek, chw ta za rękę uczennicę, rozmawiającą z Magdalen i mówi:

— Moja Franiu, poco panią fatygujesz, ki dy wiesz, że ja ci to wszystko wytłumaczę?...

— Idź na miejsce, Malwinko — prosi ją na czycielka.

Malwinka wraca na miejsce, lecz w kilka m nut później, zapomniawszy o przestrodze, wybieg znowu, mówiąc do innej koleżanki:

— Moja Stasiu, poco panią fatygujesz, kied wiesz, że ja ci to doskonale opowiem!

— Idź na miejsce, kochana Malwinko — prosi agdalena.

— Bo, proszę pani, ja już od godziny umiem szystko; ja zawsze uczę się najprędzej...

Ciągłe wybieganie Malwinki stanowiło tak nieędną część wieczornych zajęć, że gdyby jej nie ło, Magdalenie i pensjonarkom brakłoby czegoś klasie.

Nareszcie skończyły się korepetycje. Dziewynki rozmawiały ze sobą w ławkach, albo douczasię pamięciowych lekcyj, a Malwinka znalazła pakoleżanek, które przed nią i przed któremi ona ydawała historję powszechną pokolei, lub na wywki. Magdalena wzięła się do roboty włóczkowe szalika na drutach, spoglądając od czasu do czapo klasie.

Boże, Boże, jak jej doskonale jest na pensji, cy tu wszyscy dobrzy i za co ją tak kochają? Bo zecież ona wie najlepiej, że nie zasługuje na ludzką iłość, jako istota zła, brzydka i głupia. Poprostu a trochę szczęścia, a jeżeli ma, więc któż zaręczy, nie spełnią się jej najgorętsze marzenia i że, od ziś za rok, nie sprowadzi tu swojej dwunastoletniej ostrzyczki Zochny, która, biedactwo, musi się czyć na prowincji, bo rodzicom coraz trudniej wyawać na edukację!...

Może istotnie Zochna, od dziś za rok, będzie edziała za pulpitem, naprzeciw niej, jak te oto. Naralnie będzie miała bronzowy mundurek i czarny rtuch i będzie taka ładna jak Mania, ta szatynka rozpuszczonemi włosami, która, podparłszy ręką

brodę, patrzy na krąg światła, rzucający się od lam-
py na sufit. Tylko jej siostra będzie jeszcze tak p-
na, jak ta blondynka, Henrysia, która zatkała sob
uszy i powtarza lekcję, ażeby nie opuścić ani w-
razu, ani przecinka. Oprócz tego Zochnę tak będ
kochały jej koleżanki, jak dziś kochają Stasię, któ
obsiadły ze wszystkich stron. W żadnym zaś wy-
padku Zochna nie będzie taka chytra, jak Frani,
która ciągle wydobywa z kieszeni karmelki i, zaj-
dając je, zasłania sobie ręką usta, ażeby tego inn
nie spostrzegły.

Nagle bieg jej marzeń przerywa jedna z pen-
sjonarek, zapytując z ławki:

— Proszę pani, co to jest jajko Kolumba?

Dziewczynki zaczęły się śmiać, Frania o ma
nie udławiła się karmelkiem, a Malwinka zawołała

— Moja Kociu, poco ty panią fatygujesz, kied
ja ci to wytłumaczę.

Ponieważ Magdalena zapomniała, co znacz
owo jajko, więc, schyliwszy się nad robotą, słuch
objaśnień Malwinki i dowiaduje się, że Kolumb by
to taki pan, który odkrył Amerykę i że Malwink
ma w Ameryce bardzo bogatego stryja, który nie
dawno wyjechał z Warszawy i już zrobił majątek

Zadzwoniono na kolację i pensjonarki, pod do
wództwem dam klasowych, przeszły do dwu sal
w których znajdowały się długie stoły, obite ceratą
zastawione szeregami szklanek herbaty i bułeczek
z szynką. Zaczęło się odsuwanie krzeseł, siadanie
żądanie cukru, albo mleka, wymiana bułek między
koleżankami. Damy klasowe uspakajają młodsz

iewczęta; służące w białych fartuchach krążą ko-
stołów z tacami bułek; w salach panuje gwar.

Nagle wszystko umilkło, krzesełka odsunęły
z łoskotem, uczennice i damy klasowe powstały,
aprzód w jednej, potem w drugiej sali pochyliły
głowy, jak pszenica na wietrze. Czarno ubrana,
okojna, z twarzą niby wyrzeźbioną w kamieniu,
zesunęła się pani Latter, co kilka kroków lekko
aniając sie damom klasowym. Zdawała się nie pa-
rzeć na nikogo; ale każda nauczycielka, pensjonar-
czy służąca czuła na sobie jej wzrok ognisty.
ż znikła, lecz w jadalniach jest tak cicho, że z ko-
tarza doleciał jej głos, kiedy zapytała lokaja, dla-
ego nie otwarto okien w piątej klasie?

„Boże! — myślała Magdalena — i to jej, takiej
ólowej, ja chciałam pożyczyć trzy tysiące rubli?
ośmieliłam się ją protegować u Ady, ja nędzny
łek?... Co będzie, jeżeli ona dowie się kiedy o mo-
rozmowie z Adą? Naturalnie, że wypędzi mnie
z miłosierdzia... Nawet nie potrzebuje wypędzać,
jeżeli spojrzy na mnie i zapyta: coś ty niegodzi-
mówiła?... ja zaraz umrę...“

Po kolacji uczennice przeszły do sal rekreacyj-
ch i zaczęły się bawić: jedna partja w ślepą bab-
, druga w kotka i myszkę. Któraś z panien usiadła
fortepianu i, myląc się co kilka taktów, zagrała
alca. Kilka dziewczynek przybiegło do Madzi, pro-
ąc, aby potańczyła z niemi za chłopca.

Ale Madzia wymówiła się od zabawy; poszła
jednej z pustych sal, którą przewietrzano i, sta-

nąwszy w otwartem oknie, obryzgiwana kroplan
padającego deszczu, myślała z rozpaczą:

„Ja już nigdy nie będę miała rozumu! Jak
śmiałam powiedzieć Adzie, że pani Latter potrzebu
pieniędzy? Przecie jeżeli ona zażąda, cała Warsz
wa złoży jej choćby i sto tysięcy rubli... O, dlaczeg
pierwej nie umarłam!...“

Około jedenastej wieczór, kiedy wszystk
uczennice spały pod opieką świętych obrazków
a Magdalena za swoim parawanikiem czytała prz
świecy, do sypialni weszła pani Latter. Rzuciła okie
na łóżeczka, jednej z dziewczynek poprawiła zsuni
tą kołdrę, wreszcie zajrzała za szafirowy parawa

„Pewnie mnie wypędzi!“ — pomyślała Magd
lena, czując, że jej serce bić przestało.

— Joasi jeszcze niema? — zapytała pani La
ter półgłosem.

— Nie wiem, proszę pani.

— Dobranoc, Madziu! — rzekła przełożon
tonem łaskawym i opuściła sypialnię.

„Ach, jaka ona dobra, jaka ona szlachetna!“ –
unosiła się w duchu Madzia, myśląc z trwogą, jakb
jej było okropnie znaleźć się na dworze w jedn
koszuli w taki deszcz. Co naturalnie musiałoby j
spotkać, gdyby pani Latter dowiedziała się o roz
mowie z Adą.

— Jestem bezwstydna! — szepnęła do siebi
gasząc świecę.

Deszcz padał coraz większy, szeleścił na da
chu, bębnił w okna, skwierczał w wylotach rynien
szumiał na asfalcie podwórza. Niekiedy rozlegał si

ırkot dorożki i chlapanie kopyt końskich w wodzie, łynącej całą szerokością ulicy.

„Jak zimno musi być tym, którzy wracają do omu“ — pomyślała Madzia.

Przebiegły ją dreszcze, więc mocniej owinęła ę w kołdrę i zasnęła. Śniło jej się, że pani Latter cale nie gniewa się na nią, że Zochna jest już na ensji pierwszą uczennicą i że codzień nosi ponsową okardę za wzorowe sprawowanie. Jest zaś tak yjątkowo pilna i grzeczna, że dla odróżnienia jej d najpilniejszych i najgrzeczniejszych uczennic, pani atter każe jej nawet sypiać z ponsową kokardą.

Sen ów wydaje się Madzi tak niedorzecznym. e wybucha śmiechem i budzi się.

Budzi się i — siada na łóżku, ponieważ w korytarzu słychać pukanie do drzwi naprzeciwko. Jednocześnie w sali szepce ktoś:

— Maniu, słyszysz?...

— Nie mów do mnie, bo ja okropnie boję się...

— Może to złodziej?...

— Co ty mówisz?... Trzeba zbudzić pannę Iagdalenę...

— Ja nie śpię, dzieci — odzywa się panna Iagdalena i drżącą ręką zapala światło.

A ponieważ pukanie słychać znowu, więc szybo wdziewa pantofelki, narzuca szlafroczek i idzie ze wiecą do drzwi.

— Ach, niech pani nie chodzi na korytarz, tam ıuszą być zbójcy!... — mówi jedna z dziewczynek chowa głowę pod poduszkę.

Inne nakrywają głowy kołdrami tak starannie,

że niektórym widać gołe stopy, a nawet kolana. Je-
na zaczyna drżeć — już drżą wszystkie, druga z-
czyna szlochać — wszystkie szlochają.

Madzia zbiera całą energję i otwiera drzwi n
korytarz; dziewczynki w płacz.

— Kto tu? — mówi Madzia, podnosząc świe
wgórę.

— Ja, czy nie widzisz?

Dziewczynki, usłyszawszy rozmowę, umilkły
lecz gdy Madzia mówi do nich:

— Uspokójcie się, dzieci, to Joasia... to pan
Joanna...

Zaczynają płakać i krzyczeć na cały głos.

Madzia osłupiałym wzrokiem patrzy na Joasi
Patrzy i nie wierzy własnym oczom, widząc, ż
piękna kremowa suknia Joasi jest zlana deszcze
i zabłocona, że włosy Joasi są potargane, twarz pł
nie, a w oczach tlą się dziwne blaski.

— Czego mi się przypatrujesz? — z gniewe
odzywa się panna Joanna. — Od godziny nie mog
dostać się tu... musiałam przejść przez pokój lok
jów, a teraz pukam, bo ten smarkacz Zosia drzw
przede mną zamknęła!...

— Zosia?... — powtarza Magdalena, nie wie
dząc, czy ma stać na korytarzu, czy uspokajać sw
je dziewczątka, które płaczą coraz głośniej.

Wtem od schodów pada blask, rośnie, pokazu
je się płomień świecy i—jakaś osoba, ciemno ubran
Madzia cofa się i, zatrzaskując drzwi, rzuca roz
krzyczanym dziewczętom dwa wyrazy:

— Pani Latter!...

W jednej chwili sypialnię zalega cisza. Obawa rzełożonej tłumi strach przed zbójcami i zapobiega)iorowym spazmom. W korytarzu słychać ostry łos:

— Co to znaczy, Joasiu?...

Przez chwilę ktoś szepce, potem pani Latter odpowiada równie jak pierwej ostro, lecz ciszej:

— Zrobiłaś awanturę...

Znowu szeptanie, i znowu pani Latter odpowiada szeptem:

— Chodź do mnie.

W korytarzu słychać oddalające się kroki. Mazia wchodzi do łóżka, gasi świecę i słyszy przez ianę, że w sąsiedniej sypialni także rozmawiają.

Zegar wybił drugą.

VI.

Taka, której się nie powiodło.

Madzia nie pamiętała wypadku, któryby tak nią strząsnął, jak owo spóźnienie Joasi.

Nie mogła zasnąć, choć w salach i na korytau było cicho. Zdawało jej się, że ktoś chodzi, to, słychać woń spalenizny, to znowu, że w deszczu, sto padającym, dźwięczy jakaś melodja. Nadeszystko jednak spać przeszkadzał jej bieg właych myśli.

Marzyła, że jutro na pensji zdarzy się coś ropnego. Najpewniej Joasia straci miejsce damy

klasowej, zato, że tak późno wróciła; a może i Z-
się wydalą, że zamknęła drzwi na klucz.

„Biedna Joasia — wzdychała Magdalena, prz-
wracając się na łóżku — jej już nic nie uratuje. P-
miętam, jeszcze w trzeciej klasie, pani Latter w-
mówiła miejsce pannie Zuzannie, zato, że bez op-
wiedzenia się wyszła przed południem. Albo — dw
lata temu — co się stało z panną Krystyną? Ra
jeden nie nocowała w domu i — żegnam panią.
Nie wiem nawet, czy dostała miejsce na inn
pensji?...“

„I co tej Zosi strzeliło do głowy?... Bała się
ale na korytarz nikt nie mógłby wejść. A może ca
przez zazdrość o pana Kazimierza?... Niegodziwa
dziewczyna, naturalnie, że zrobiła to przez za-
zdrość...“

„A może pani Latter i mnie wydali, zato, że
wyszłam na korytarz?... Ha, powiem, że dziewczy-
ki ogromnie bały się i chciałam je uspokoić“.

Tym razem myśl wydalenia z pensji przeraz-
ła ją. Co ona powie rodzicom, jak pokaże się in
straciwszy miejsce?... I co będzie robić w domu, w-
pędzona, okryta wstydem?...

Usiadła na łóżku i schwyciła się rękoma za
głowę.

„Boże! Boże! — myślała — ja już tracę prz-
tomność! Za cóżby mnie pani Latter wydalała i... c
się ze mną dzieje, że mi takie dziwne rzeczy snu
się po głowie?... Ja muszę być chora...“

Uspokoiwszy się, że jej nie mogą wydać

pensji zato, że wyszła na korytarz, zaczęła zkolei apić się obfitością własnych myśli.

Niedawniej, jak przed kilkoma tygodniami, yślała tylko o swoich dziewczynkach i ich lekach, o tem, że porozmawia z Adą, albo, że wyjzie na spacer z klasą. A dziś? Niepokoi się dochoami pani Latter, chce dla niej zaciągnąć pożyczkę, znowu troszczy się losem Joasi...

— Oczywiście, mam początki pomieszania nysłów!... — szepnęła.

Wybiła trzecia, kwadrans na czwartą, wpół... adzia postanawia spać. Lecz im mocniej zamyka zy, tem wyraźniej widzi przed sobą Joasię w zaoconej sukni, a w głębi korytarza ciemną figurę ıni Latter ze świecą w ręku. Potem kremowa sukа Joasi zrobiła się pomarańczową, a płomień viecy czerwonym; potem ciemna figura pani Latr zrobiła się zielonawą, a płomień białym. Potem asia, pani Latter i jej świeca posunęły się wgórę kby na sufit, zaczęły się rozpływać w nieokreślo- plamy, znikły, znowu pokazały się, ale już w inch kolorach i nareszcie...

Nareszcie w korytarzu rozległ się głos dzwon-., przypominający, że pora wstawać. Pokojówki dawna poodnosiły wyczyszczone buciki i suknie, ka uczennic pobiegło do łazienki myć się, na koryrzu było słychać otwieranie i zamykanie drzwi, odzenie i mówienie sobie „dzień dobry".

Ubrawszy się, Madzia wyszła na korytarz ajrzała do sypialni naprzeciw. Panienek nie było,

ale służąca, która otwierała okna, nie pytana o(
zwała się:

— Panna Joanna spała dziś u pani przełożor
a teraz poszła do lazaretu...

— Do lazaretu?... Cóż jej jest?...

Służąca uśmiechnęła się tak dziwnie, że M
dzię oblał rumieniec. Wyszła z sali obrażona i pos
nowiła już nie dowiadywać się o Joasię. Uważ
jednak, że dokoła niej wszyscy rozmawiają o Jo
Stojąca obok piątej klasy panna Żaneta opowiad
uczennicom, że wczoraj Joasia musiała wrócić póź
do domu, bo ta pani, z którą była na koncercie,
słabła i nie miał jej kto pilnować.

Lecz o kilka kroków dalej, pod pierwszą k
są, pani Meline opowiadała innej nauczycielce,
Joasia spóźniła się, ponieważ sama zasłabła po wc
rajszym koncercie, który podobno był bardzo ład
Zaś na schodach lokaj Stanisław, który niekiedy p
nił obowiązki szwajcara, gromił jedną z pokojów

— Co pannie do tego?... Co panna masz plo
roznosić?... Była w restauracji, czy nie była, u
się, czy nie upiła, to nie nasza rzecz...

„Pewnie mówią o pomywaczce" — pomyśl
Madzia.

O dziewiątej zaczęły się lekcje, i Madzia, a
pewne i wszystkie panienki zapomniały o Jo
Ale o dwunastej, kiedy Magdalena zaniosła dzien
do pani Latter, stanąwszy w gabinecie przełożo
usłyszała w drugim pokoju głos pana Kazimie
który mówił:

— ...Przeciwnie, pomyślą wszyscy, że traktu-
ıy nauczycielki, jak członków rodziny.

— Wolałabym jednak, ażebyś ty do tego nie
eżał — odpowiedziała mu pani Latter tonem su-
vym.

Madzia tak głośno położyła dziennik na biurku,
rozmawiający umilkli, a następnie weszli do ga-
etu.

— No, niechże nas panna Magdalena osądzi —
kł pan Kazimierz. Był zarumieniony, oczy mu
szczały i nigdy jeszcze nie wydał się Madzi tak
nym, jak dziś. — Niech powie panna Magdale-
.. — dodał.

— Proszę cię, ani słowa!... — przerwała mu
ıi Latter. — Dobrze, moje dziecko, możesz wró-
na górę — rzekła do Magdaleny.

Madzia szybko opuściła gabinet, lecz spostrze-
, że pani Latter jest bardzo zmieniona. Oczy mia-
ogromne i ciemniejsze niż zwykle, twarz żółtą;
wało się, że od wczoraj schudła.

„Pani Latter jest bardzo piękna" — pomy-
a Madzia, idąc na schody. Ale przed wzrokiem
duszy stał obraz nie pani Latter, tylko jej syna.

Zanim dziewczynki rozeszły się na obiad, już
całej szkole opowiadano o Joasi najdziwniejsze
orje. Z jednej strony słyszano od stróża, że pan-
Joannę w nocy odprowadził do domu jakiś młody
, bardzo zasłonięty; z drugiej strony, ktoś z mia-
utrzymywał, że pannę Joannę widziano po kon-
cie w restauracji, gdzie była w towarzystwie pa-
v i pań, w osobnym gabinecе, i śpiewała przy

fortepianie. Nareszcie lokaj, który jej drzwi otw rzył, szepnął jednej z pokojówek, że od panny Joa ny, kiedy weszła, czuć było wino.

Na pensji nikt nie wątpił, że Joasia straci mie sce, jeżeli go już nie straciła; znano bowiem sur wość pani Latter. To też nauczycielki i pensjonarl nie wyłączając Zosi, tej samej, która zamknęła drz sypialni, wszystkie żałowały Joanny.

Tylko panna Żaneta twierdziła, że to plotl i utrzymywała, że pani Latter nie oddali Joasi, p nieważ bardzo energicznie ujęła się za nią pani Howard.

Po obiedzie Magdalena z biciem serca posz do lazaretu odwiedzić Joasię, której, pomimo wspó czucia, nikt nie odwiedzał. Znalazła ją w łóżku n zerną, a przy niej pannę Howard, która, zobacz wszy Madzię, zerwała się z krzesła.

— Tylko niech pani nie myśli — zawołała że ja tu pielęgnuję chorą!... To zajęcie dla bab, a nie dla kobiety, czującej ludzką godność...

— Jaka pani dobra! — rzekła Joasia, wyci gając do niej rękę.

— Ja nie jestem dobra!... — oburzyła się pa na Howard, podnosząc wgórę płowe brwi i chu ramiona. — Ja tylko przyszłam złożyć hołd kobi cie, zbuntowanej przeciw tyranji przesądów... Co jest, ażeby kobieta nie miała prawa wracać o dr giej w nocy, jeżeli mężczyznom wolno wracać cho by o piątej nad ranem?... Gdybym była panią La ter, rozpędziłabym niegodziwych lokajów, któr

ią robić uwagi, i wydaliłabym z pensji tego smar-
:za, Zosię...

— Ja nie mam do nich żalu — przerwała
ısia.

— Ale ja mam! — zawołała panna Howard. —
: również mam szacunek dla pani Latter, że na-
zcie zerwała z przesądami...

— Cóż ona zrobiła?... — pyta Madzia.

— Nie wszystko, ale, jak na nią, dość dużo;
ıała bowiem, że panna Joanna jest istotą samo-
elną i ma prawo przychodzić do domu wówczas,
dy jej się podoba. Zresztą — dodała panna Ho-
rd — oświadczyłam jej dziś rano, że, jeżeli Joa-
straci miejsce, ja wyjdę z domu na całą noc...

— Ach, Boże, co pani mówi?... — przerwała
Madzia ze śmiechem.

— Wypowiadam moje najświętsze przekona-
. Tak jest, wyszłabym na całą noc i — niechby
ie jaki nikczemnik ośmielił się zaczepić!...

Twarz panny Howard stała się ponsową, a na-
t włosy przybrały jeszcze bardziej niezdecydo-
ıy kolor, kiedy wypowiadała te poglądy.

Nareszcie, chwilkę odpocząwszy, zwróciła się
Madzi i rzekła, mocno ściskając ją za rękę:

— No, zostawiam panią przy chorej i jestem
owolona, że i pani ma odwagę wielkich przeko-
. Za rok, dwa, najwyżej trzy, będzie nas mi-
y!...

„Nas?... — pomyślała Madzia, rumieniąc się.—
: ona myśli, że i ja zostanę emancypantką?...“

Po wyjściu panny Howard, która dla zado-

kumentowania swoich najświętszych przekonań ta tizasnęła drzwiami, że cały pokój zadrżał, Madz usiadła przy chorej. Dostrzegła w niej zmianę. Pa na Joanna leżała z rękoma opuszczonemi, a na j rzęsach było widać łzy.

— Co tobie, Joasiu? — szepnęła Magdalen.

— Ach, nic... nic!... Niczego nie żałuję... Ch gdybyś widziała moją podróż przez dziedziniec!. Nie miałam dziesiątki dla stróża i słyszałam, jak mr czał, że kto nie ma pieniędzy, nie powinien włóczy się po nocach... Na dziedzińcu potknęłam się i ca suknia na nic... A jak spojrzał na mnie ten fagas!. Ale wiesz co?... To robi mi przyjemność. Czase zdaje mi się, że chciałabym ciągle upadać w bło i być wytykana palcami, tak... Przypominają mi s dziecinne lata. Kiedy mnie ojciec bił, ja gryzłam s bie palce, i robiło mi to taką samą przyjemność, ja wczorajszy powrót....

— Ciebie bił ojciec?... Za co?...

— O i jak!... Ale nic ze mnie nie wybił, n nic...

— Jesteś bardzo rozdrażniona, Joasiu... Gdzi ty była wczoraj?

Panna Joanna usiadła na łóżku i, grożąc za śniętemi pięściami, zaczęła szeptać:

— Raz na zawsze proszę was, nie zadawajc mi takich pytań. Gdzie byłam, z kim byłam? — moja rzecz. Dość, że do nikogo nie mam pretens do nikogo, słyszysz?... Nie ten, to ów, wszystko je no... Wszystkie drogi wiodą do Rzymu...

Upadła na łóżko i, ukrywszy twarz w poduszce, :lochała. Madzia, stojąc nad nią, nie wiedziała, co ıcząć. Duszę jej przebiegały najsprzeczniejse uczu- ıa: zdumienie, wstręt, a jednocześnie coś, jakby za- :lrość...

— Potrzeba ci czego? — zapytała niechętnie.

— Niczego mi nie potrzeba, tylko idźcie sobie ıie nasyłajcie mi dozorczyń! — odpowiedziała Joa- a, nie podnosząc twarzy.

— Do widzenia.

Madzia wyszła powoli, myśląc:

Poco ja mówię: do widzenia, kiedy nie chcę j widzieć?... Zresztą, co mnie to obchodzi, ja prze- e nie poszłabym z mężczyznami do restauracji, za skarby całego świata nie chciałabym być w ta- m dziwnym stanie, więc jej nie zazdroszczę... jednak dlaczego ona to zrobiła, czego żadna z nas e robi? Czy ona nie taka, jak my wszystkie, czy psza od nas?"...

W korytarzu spotkała gospodynię pensji, pan- ę Martę, osobę kaszlącą i wysoką, w białym cze- eczku, która była nadzwyczajnie silna i trzymała ę pochyło.

— Ach, co się u nas dzieje, paniuńciu! — rzekła ospodyni, składając żylaste ręce i schylając głowę żej, niż zwykle. — Jak jestem tu dziesięć lat, nie łarzyło się nic podobnego... A biedna pani prze- ożona...

— Cóż pani przełożona?...

— Aaa!... Ona to dopiero chora; wygląda jak

z krzyża zdjęta, jakby z trumny wstała... Bo to i nie pięknie i dla pensji niedobrze....

Obejrzała się, czy kogo niema w korytarzu i dodała cicho, zbliżywszy usta do ucha Madzi:

— Oj, te dzieci, te dzieci!... Szczęśliwe my, pa niuńciu, że nie mamy dzieci...

I prędko odeszła, trzęsąc wielkiemi rękoma

„Dzieci?... Co ona mówi o dzieciach?... Prze cież Joasia nie jest córką pani Latter. Panna Mart widocznie dostała bzika“...

Nagle przypomniał jej się pan Kazimierz, za rumieniony, z rozrzuconemi włosami, kiedy w połu dnie mówił do matki: „No, niechże nas panna Mag dalena osądzi“... Jaki on był piękny w tej chwil i ciekawa rzecz, w jakiej sprawie odwoływał się d jej sądu? Czyby Joasia z nim?...

Magdalena zdrętwiała. Niepodobna, ażeby Joa sia z panem Kazimierzem była dzisiejszej nocy w re stauracji, nie! On nie zrobiłby tego... On — z Joasią!...

Nie mogła wierzyć, ale na samą myśl o tem poczuła, że nienawidzi Joasi...

. . . .

VII.

Której się powodzi.

W początkach grudnia, kiedy Joasia już wró ciła do zdrowia i obowiązków damy klasowej, a na pensji ucichły plotki z powodu jej nocnego powrotu

początkach grudnia zdarzył się wypadek, który
agdalenie nasunął myśl, że Helenka Norska nie ma
obrego serca.

Zdarzyło się to z panem Dębickim, na lekcji
atematyki, w pokoju Ady, gdzie uczyło się ich
zy: Ada, Helenka i Madzia.

Przedewszystkiem Madzia od pierwszej lekcji
ostrzegła (co ją nawet oburzyło), że Helenka ko-
etuje pana Dębickiego. Nosi rękawy, z których
oskonale widać jej prześliczne ręce, wysuwa nóżki,
edy profesor wykłada coś przy tablicy, a czasami
uca takie spojrzenia, że Madzi wstyd za nią. Tem
ardziej wstyd, że pan Dębicki, który z początku
ieszał się wobec Heleny, później, nietylko nic so-
e nie robił z jej kokieterji, ale nawet uśmiechał
ę swoim dobrym i rozumnym półuśmieszkiem,
którym czuć było ironję.

„Dziwna ta Hela — myślała Madzia. — Jak
na może robić podobne miny wobec człowieka
zeszło 50-letniego, który nie jest piękny, nawet tro-
ię łysy, a nadewszystko—nigdy się z nią nie ożeni?
ajgorsze zaś, że pan Dębicki, który jest bardzo ro-
umnym, widzi, co ona dokazuje, i drwi z niej".

Helenę, którą uwielbiali nawet 60-letni pano-
ie, zachowywanie Dębickiego poczęło drażnić; ko-
etowała go więc w sposób coraz bardziej wyzy-
ający, nie szczędząc jednak i szyderstwa, jeżeli
darzyła się sposobność.

W początkach grudnia, Dębicki tłumaczył
zem pannom dwumian Newtona w przypadku wy-
ładników ułamkowych; a tłumaczył tak jasno, że

Madzia nietylko wszystko rozumiała, ale wprost upoiła się jego wykładem. W szczególny sposób działał na nią ten cichy, łagodny, wiecznie zafrasowany człowiek, który przy wykładzie zmieniał się w natchnionego. Rzadkie włosy jeżyły mu się, jasne oczy nabierały głębokich cieniów, nalana twarz — posągowych rysów, a głos przejmującej dźwięczności. Ada z Madzią nieraz mówiły sobie, że lekcje Dębickiego są prawdziwemi koncertami, o ile profesor zapali się do przedmiotu; bo na pensji, osobliwie geografję, wykładał nudnie.

Otóż Dębicki, wyłożywszy dwumian Newtona, zapytał panie, czy która nie zechce powtórzyć? Magdalena mogła powtórzyć, ale przez grzeczność chciała ustąpić głosu Adzie; Ada zaś zwróciła się do Helenki.

— Kiedy ja nic nie wiem — odpowiedziała ze śmiechem Hela, wzruszając ramionami.

— Nie rozumiała pani? — zapytał zdziwiony Dębicki.

Helena odrzuciła wtył głowę i, patrząc przymrużonemi oczyma na Dębickiego, rzekła:

— Tak zasłuchałam się w melodję pańskiego głosu, że nie rozumiałam nic. Panu to nie robi przyjemności?

— Nasi słuchacze — odparł Dębicki spokojnie — mogą nam robić tylko jeden rodzaj przyjemności, mianowicie — uważać. Mnie pani zawsze tego odmawia.

„Dobrze jej tak!“ — pomyślała Madzia, lecz, spojrzawszy na towarzyszki, zmieszała się. Ada wy-

ęknionemi oczyma spoglądała to na Helenkę, to na Dębickiego, Helenka zaś była zarumieniona z gniewu, a jej piękna twarz miała jakiś koci wyraz, kiedy, odnosząc się z krzesełka, odpowiedziała z uśmiechem:

— Widać, że nie mam zdolności do wyższej matematyki, choć profesor popiera ją nawet wykładami moralności. Nie przeszkadzam państwu...

Kiwnęła głową Adzie, ukłoniła się Dębickiemu opuściła pokój.

Biedny profesor był bardzo zakłopotany. Upucił kredę, wsadził wielki palec lewej ręki za klapę urduta i pozostałemi palcami zaczął bębnić. Twarz mu zmartwiała, spojrzenie zamąciło się i cichym łosem odezwał się do Ady:

— Może... może ja paniom przeszkadzam?...

Ada milczała, bo zbierało jej się na płacz, co postrzegł Dębicki i rzekł, biorąc za kapelusz:

— Na następną lekcję przyjdę, gdy panie dazą mi znać.

Ukłonił się niezgrabnie, patrząc w sufit, a gdy zedł do drzwi, Madzia zauważyła, że podnosił koına bardzo wysoko.

— Boże, co tu się dzieje! — zawołała Ada, płaczem tuląc się do Madzi. — I co ja teraz mam obić?...

— A cóż tobie, Adziu? — odezwała się Magdaęna. — Przecie on do ciebie nie ma pretensji!

— Tak, ale ja znowu muszę przerwać lekcję, o Hela śmiertelnie obraziłaby się na mnie. A to ıki doskonały profesor, taki nieszczęśliwy człowiek

i przyjaciel Stefka... Musimy wyjechać z Warszaw,
bo ja się tu rozchoruję.

W godzinę już na całej pensji mówiono, że D-
bicki zrobił impertynencję Helenie, a panna H-
ward głośno na korytarzu wykładała kilku damo
klasowym, że jest to gbur i obrzydliwa ropuch
w której, pod pozorami niedołęstwa, kryje się na
większy nieprzyjaciel kobiet.

— Trzy razy badałam go, ażeby poznać, c
myśli o samodzielności kobiet, a on tylko uśmiech
się!... Za te uśmieszki zrzuciłabym go ze schodów -
zapewniała panna Howard.

Zaś pani Latter, spotkawszy wieczorem M
dzię, rzekła do niej tonem, w którym czuć było gnie

— Cóż ten safanduła już odgryzł się na n
szych lekcjach, jeżeli zaczyna robić impertynencje
Nieostrożny, nieostrożny!...

Magdalena nie odpowiedziała, choć silny r
mieniec zdradził, że nie podziela zdania przełożon
W tych kilku słowach czuła zapowiedź dymisji d
Dębickiego i pierwszy raz w życiu przyszło jej r
myśl, że pani Latter nie jest sprawiedliwą. Biedn
profesor może stracić posadę dlatego, że Helen
nie pozwolił żartować z siebie; ale Joasia, która zr
biła skandal, jest ciągle damą klasową i nawet za
czyna podnosić głowę.

„Poco ja o tem myślę?... co mnie do tego?...-
wyrzucała sobie Madzia. — I co się ze mną dziej
że zaczynam sądzić ludzi, a nawet potępiać ich. Jo
sia jest dumna, może z obawy, ażeby jej kto nie r
bił wymówek, chociaż... niepotrzebnie szykanu

osię. A swoją drogą Marta miała słuszność, mó-
'iąc, że pani Latter cierpi przez dzieci... Hela nie
:st dobra, kiedy Dębickiego naraża na utratę lekcyj,
matkę na niesprawiedliwość...

Obok Helenki przyszedł jej na myśl pan Ka-
imierz, który coraz rzadziej bywał u pani Latter,
le zato coraz częściej jego imię łączono z imie-
iem Joasi. Lecz w takich chwilach Madzia zasła-
iała uszy przed podszeptami własnych myśli i po-
'tarzała sobie z uporem:

— To nie może być, ażeby on był w restaura-
'i z Joasią... To wszystko plotki!... On, taki piękny,
ıki szlachetny...

Pomimo obaw Magdaleny, że Dębicki może
racić posadę, sprawa jego nagle poprawiła się i to
kilka dni po zajściu z Helenką. Wpłynął na to
rzyjazd pana Stefana Solskiego, brata Ady, o czem
ladzia dowiedziała się z ust samej Helenki.

— Wiesz — zawołała panna Helena, ciągnąc ją
swego pokoju. — Wiesz, jest Stefan... Dziś z rana
rzyjechał z zagranicy, a za tydzień... za tydzień my
Adą i jej ciotką jedziemy!... Ja jadę za granicę, ja...
już Boże Narodzenie spędzimy w Rzymie!... Czy ty
yszysz, Madziu?...

Zaczęła całować Magdalenę i tańczyć po po-
oju. Nigdy nie była tak ożywioną.

— Oryginalny człowiek ten Stefan — mówiła
pałającemi oczyma — brzydki, podobny do Ady,
e siedzi w nim djabeł. W głowie mi się kręci,
edy pomyślę, że ten człowiek ma miljon rubli...
le, ale, pogodziłam się dziś z Dębickim... Zrobiłam

to dla Ady i dla Stefana... Co za energja w tym cz
wieku! Ledwie przywitał Adę, zaraz jej powiedzi
„Od dziś za tydzień wyjeżdżacie panie". To sa
powiedział mojej mamie, którą zawojował w kw
drans... Powiadam ci, coś nadzwyczajnego...

Istotnie, na drugi dzień przyszli na pensję t
garze i zaczęli wynosić książki Ady i jej narzęd
fizyczne, przy których pakowaniu był Dębicki. Te
samego dnia zgłosił się do pani Latter jakiś je
mość, przysłany przez pana Solskiego do załatw
nia formalności paszportowych dla Helenki. Da
klasowe i pensjonarki mówiły tylko o Solskim i r
jedna wyglądała ze szczytu schodów na dół, sądz
że zobaczy tego pana, który jest bardzo brzyd
ale ma dużo pieniędzy i nie lubi, ażeby mu się spr
ciwiano. Madzia nawet usłyszała, jak dwie trzec
klasistki mówiły między sobą:

— Widzisz, widzisz... To pewnie on!...

— Eh, nie... To ten safanduła Dębicki...

— Ludwisiu — odezwała się przechodzą
około nich Magdalena — jak możesz wyrażać się
o panu Dębickim?

— Przecie tak nazywa go pani Latter!
śmiało odparła dziewczynka.

Madzia udała, że nie słyszy, i prędko zbie
ze schodów.

Biegła do Ady i, kiedy do niej weszła, zast
w pokoju niskiego pana, z szerokiemi ramiona
i dużą głową, który rozmawiał z Helą. Na wid
Magdaleny, Ada podniosła się z fotelu i rzekła:

— Stefku...

Pan z dużą głową zerwał się, bystro popatrzył
ıdzi w oczy i, ściskając ją za rękę, powiedział:

— Pani, jestem przyjacielem tych, którzy ko-
ıją moją siostrę.

Potem usiadł na krześle i zwrócił się do Hele-
. Był podobny z fizjognomji do siostry, tylko miał
duże wąsiki i różową bliznę na prawym policzku.

— Nie przekonał mnie pan — mówiła Helenka
uśmiechem, ale bojaźliwie patrząc na Solskiego,
trochę zdziwiło Madzię.

— Życie panią przekona — odpowiedział. —
ękność słusznie nazywają paszportem, który jej
aścicielowi, czy właścicielce, wyrabia stosunki
ędzy ludźmi.

— Tak, odrazu. Ale potem?...

— Następstwa zależą od dalszych czynów.
każdym razie, świat hojniej wypłaca pięknym
ługi, wiele im wybacza i bardzo często kocha ich
vet wówczas, gdy tego nie są warci.

— Może być — odpowiedziała Helenka — ale
dobrze nie rozumiem. O moim bracie naprzykład
wią wszyscy, że jest przystojny; ja jednak nic mu
wybaczam... A... zakochać się... w tak ładnym
żczyźnie, jak on, nie potrafiłabym. Mężczyzna po-
ıien być energiczny, odważny... oto jego piękność.

Na te słowa Madzia zarumieniła się, Ada spu-
a oczy, a Solski umilkł; lecz po wyrazie jego
ırzy nie można było poznać, czy zgadza się z teo-
ni Helenki, które Madzi wydały się dosyć nowe,
awet niespodziewane.

Jeszcze kilka minut rozmawiano o podróży, p
czem Solski podniósł się do wyjścia.

— Więc nieodwołalnie wysyła nas pan we śr
dę? — zapytała Helenka, obrzucając go spojrzenie

— Czy możesz nawet pytać?—wtrąciła Ada.
Przecie widzisz, co zrobił z moją pracownią...

— We środę, wieczornym pociągiem, jeżeli p
nie raczą — odpowiedział Solski i zaczął żegn
panny.

Wkrótce po jego odejściu i Helenka opuśc
salonik Ady, która, zostawszy sam na sam z Madz
rzekła:

—Cóż ty na to, Madziu?

Przytem patrzyła na nią w sposób tak smut
i dziwny, że Madzia zastanowiła się.

— O czem mówisz, kochanko, czy o w
jeździe?

— Ach, o wyjeździe i nie o wyjeździe... O ró
nych rzeczach — odpowiedziała Ada. Nagle uś
snęła ją i, przytuliwszy głowę do jej ramienia, sze
nęła:

— Ty nawet nie wiesz, Madziu, jaka ty jest
dobra, szlachetna, prosta... I, powiem ci, że chy
mniej znasz świat, aniżeli ja, choć dopiero zaczyna
go poznawać troszeczkę, troszeczkę...

— To tak, jak ja — zawołała Madzia. — I
nawet niedawno, od kilku tygodni jakoś inacz
patrzę...

— To tak, jak ja... Czy myślisz i o Joasi?...

— I o Joasi i o różnych innych rzeczach.
A ty?...

— O i ja, ale o tem niema co mówić — ekła Ada.

. . . .

Na kilka dni przed wyjazdem za granicę mie-kanie Helenki zamieniło się na szwalnię. Pani Lat-sprowadziła trzy specjalistki: krojczynię, maszy-tkę i wykończarkę i kazała im zrobić przegląd ca-garderoby córki. Z kuchni do gabinetu wnie-ino prosty stół, na którym pochylona krojczyni, netrem na szyi i nożyczkami w rękach, cały dzień dcina i poprawia staniki i spódnice. Od siódmej no do jedenastej wieczór kiwa się nad warczącą iszyną blada maszynistka, której siedząca pod ok-m wykończarka od czasu do czasu przypomina:

— Czekam, panno Ludwiko...

Albo też:

— Ścieg niedobry, panno Ludwiko, trzeba po-iwić łódkę.

Na łóżku i na biurku Heli leżały stosy bielizny, atłasowych mebelkach spódnice i kaftaniki, dy-n był zarzucony skrawkami rozmaitych materja-v. Nożyczki zgrzytały na stole, maszyna warcza-i wtórowało jej pokasływanie maszynistki. Ma-ę raził tu panujący hałas i nieporządek, ale He-ka gotowa była siedzieć od rana do nocy, przy-erzać po kilka razy każdą suknię i wtrącać się robotnic.

Ile razy weszła Madzia do gabinetu Helenki, a pewna, że zastanie ją przed lustrem w coraz in-n staniku lub spódnicy, mówiącą:

— Czy dobrze leży? Zdaje mi się, że w pasie

jest zanadto luźny i marszczy się na plecach... spó-
nicy niech pani nie skraca ani o cal, bo to dalej
poważniej; w krótkiej sukni żadna kobieta nie p-
trafi być dumną.

W podobnych chwilach krojczyni i wyko-
czarka krążyły około Helenki, jak gołębie nad gni-
zdem: mierzyły, znaczyły, wbijały szpilki w sukn-
wspinały się na palcach, albo padały na kolana. To-
turowana zaś Helenka miała rozmarzone oczy i w-
raz twarzy osoby świętej, albo zakochanej.

„Jacy niemądrzy są mężczyźni — pomyśla
Madzia, patrząc na piękną pannę. — Im się zdaje,
panny wyglądają interesująco tylko przy nich...“

Wyraz anielskiego rozmarzenia i zachwytu
twarzy Helenki spostrzegła Madzia nietylko w czas
przymierzania sukien.

W poniedziałek przed południem Hela wyw-
łała Madzię z klasy.

— Moja droga — rzekła — zastąpi cię tu pan
Joanna, a ty jedź ze mną. Stefan przysłał dla Ad
karetę, ale, że ona zostaje, więc tylko my dwie p-
jedziemy za sprawunkami.

Madzi wstyd było wsiąść do karety i lękała s
dotknąć jej atłasowego obicia swoją wełnianą s-
lorką. Ale Helenka czuła się tu, jak u siebie. Spuści
szybę i patrzyła na przechodniów z wyrazem dum

— Bawi mnie to — rzekła — kiedy sobie prz-
pominam, że i ja chodziłam, jak te panie, albo jeźdz-
łam obszarpanemi dorożkami.

— A mnie się zdaje, że częściej będziemy je-
dziły dorożkami aniżeli karetą — wtrąciła Madzi

— Zobaczymy! — szepnęła Helenka, patrząc
jakiś punkt nieokreślony.

„Zabawna dziewczyna“ — pomyślała Madzia,
zypomniawszy sobie, że pani Latter musiała poży-
yć pieniędzy od Ady na prowadzenie pensji.

W mieście Helenka miała kupić dwa łokcie je-
vabnej materji, parę bucików i złoty krzyżyk dla
nny Marty. Lecz na tych sprawunkach upłynęło
ze trzy godziny.

U jubilera Helenka nabyła krzyżyk za dwa ru-
e, ale przy okazji kazała pokazać sobie naszyjnik
pereł i dwa garnitury: jeden z szafirów, drugi
brylantów, zapytując o cenę i o to, czy jubiler nie
uściłby czego? U szewca przymierzyła kilkana-
ie sztuk bucików i pantofelków, zanim wybrała
lną parę. W magazynie, zanim kupiła swoją ma-
ję, kazała podać tyle sztuk w rozmaitych kolo-
ch, że dokoła niej utworzyła się tęcza z jedwa-
ów białych, różowych, niebieskich, żółtych. Było
tak piękne, że nawet Madzia przez chwilę zapo-
niała, czem jest i gdzie jest, i zdawało jej się, że to
zystko należy do niej. Lecz wnet oprzytomniała,
ojrzawszy na Helenkę, której drżały usta ze
ruszenia.

— Chodźmy już, Helu — szepnęła Madzia, wi-
ąc, że starszy subjekt przypatruje się Helence ze
śliwym uśmiechem.

Zapłaciły i wyszły. Kiedy znalazły się w kare-
, Helenka wybuchnęła gniewem i żalem:

— I pomyśleć — mówiła — że ja na to wszyst-
nie mam pieniędzy!... Piękna sprawiedliwość na

świecie. Ada rodzi się dzieckiem miljonerów, a ja córką przełożonej pensji. Ona za roczny doch mogłaby kupić cały magazyn, a mnie ledwo stać dwie sukienki.

— Wstydź się, Helu...

— O tak, ludzie, którzy nie mają pienięd zawsze powinni się wstydzić... Ach, gdyby naresz przyszedł ten przewrót społeczny, o którym cią słyszę od Kazia...

— Czy myślisz, że wówczas chodziłabyś w j dwabiach?

— Naturalnie. Bogactwa należałyby do mą rych i pięknych, nie do brzydalów i niedołęgów, kt rzy nawet ocenić ich nie umieją.

— Pan Kazimierz z pewnością tak nie myśli wtrąciła Madzia.

— Rozumie się, że nie myśli, tylko używa siebie i za mnie... Ale może przyjdzie i moja kol

Od tej rozmowy Madzia jeszcze więcej zni chęciła się do Helenki.

„Boże! — myślała — jeżeli miałabym być ta córką i kobietą, jak ona, to niech umrę, bodaj dziś!... Hela, gdyby mogła, zrujnowałaby matkę".

Wkrótce po ich powrocie do domu na pen skończyły się lekcje. Madzia stanęła w oknie i p trzyła na podwórko, gdzie w tej chwili śnieg zacz padać. Widziała rozbiegające się dziewczynki, j hałaśliwy rój pszczół, który odlatuje w pole; pote widziała nauczycieli, idących po dwóch i pojedyńcz a nareszcie spostrzegła Dębickiego, koło którego kr cił się jakiś fircyk, ubrany, pomimo śniegu, tyl

obcisłą kurteczkę i mały kapelusik. Dębicki szedł 'zez podwórze zwolna, niekiedy przystając, a fircyk ıbiegał mu z prawej strony, z lewej strony, chwytał › za guziki futra i o czemś bardzo żywo rozprawiał.

Śnieg na chwilę ustał, jednocześnie fircyk vrócił się twarzą do okna i Madzia poznała w nim— ına Solskiego. Mimowoli nasunęło się jej porów- ınie między ubogą Heleną, która tęskniła za jedwa- em i brylantami, a miljonerem, który w wąskiej ırteczce wychodził na takie zimno.

Rozmawiając, znikli w bramie, a Madzia po- yślała:

„O czem oni mówią, czy nie o Helence?... Je- li Dębicki powie panu Stefanowi o jej zachowaniu ; na lekcjach, to, będąc na jej miejscu, wyrzekła- 'm się podróży za granicę...“

VIII.

Plany ratunku.

Rzeczywiście, Dębicki i pan Stefan mieli w tym asie ważną rozmowę o pani Latter.

Przedewszystkiem poszli na obiad do wykwint- j restauracji na Krakowskiem, gdzie zajęli najcia- .ejszy gabinet, odznaczający się tem, że miał go- :kie krzesła, obite zielonym utrechtem, i dwa du- lustra, na których powierzchni właściciele pier- onków z brylantami wypisywali sentencje, odzna- ıjące się jędrnością i niewybrednym smakiem. Elegancki kelner we fraku i białym krawacie,

z włosami rozdzielonemi nad czołem, podał im ka
i zaczął nasuwać projekta obiadu.

— Najprzód wódeczka i przekąska — mó
kelner.

— Za wódkę dziękuję — odparł Dębicki.

— A ja proszę — rzekł Solski.

— Mamy świeżutkie ostrygi.

— Bardzo dobrze — dopowiedział Solski.

— Więc po wódeczce mogę służyć ostryga
Cały tuzin?...

— Po wódce proszę o dwa solone rydze.

— Dwa rydzyki i tuzin ostryg?

— Dwa rydze bez ostryg — odparł Solski.
A może profesor chce ostryg?

— Paskudztwo — mruknął Dębicki.

— A na obiad? — pytał kelner.

— Dla mnie — barszcz... Potem może być k
wałek sandacza... No, kawałek sarny i kompot...
mówił Solski.

— To samo, tylko, zamiast sarny — kotlet w
łowy — dodał Dębicki.

— A wino?

— Pół butelki czerwonego — rzekł Solski
a profesor?

— Wody sodowej.

Kiedy kelner wyszedł z gabinetu, zastąpił n
drogę gospodarz, pytając:

— Jaki numer?

Kelner machnął ręką.

— Będzie ze dwa ruble.

— A tak! — westchnął gospodarz. — Taki

sze skąpi, choć pieniędzmi mógłby w piecu palić. e szanuj go, bo dobry dla służby, to pan Solski.

— Który to, panie, starszy czy młodszy? — ytał ciekawie lokaj.

— Młodszy, młodszy, ten, co go w zimie nie ać na futro.

Kelner usługiwał znakomicie. Dawał potrawy czas, wchodząc, chrząkał, wychodził na palcach tytułował Solskiego jaśnie panem. Goście jedli, zmawiając.

— Więc profesor nie pije nic, nawet kawy — ówił Solski. — Czy to nie fałszywy alarm z tą chobą serca?

— Nie. Z każdym rokiem posuwa się nazód — odpowiedział Dębicki.

— Tem większy powód, ażeby profesor zajął naszą bibljoteką; bieganina po piętrach nie może ć dobrą — rzekł Solski.

— Od wakacyj, od wakacyj... Nie mogę rzucać nsji, na którą mnie łaskawie przyjęto i do tego niezwykłym czasie.

— Jak profesor chce. A co się tyczy pensji, am prośbę do profesora.

— Słucham.

— O pani Latter mówią źle—ciągnął Solski.— oje kuzynki zarzucają jej, że wprowadza na pensję rsa emancypacji, że jakaś panna Howard chce nawałt robić dziewczęta istotami samodzielnemi...

— Narwana baba — uśmiechnął się Dębicki.

— O nią mniejsza, choć jej propaganda może sztować panią Latter kilka uczennic. Gorszy jest

skandal jej syna z jakąś guwernantką, o czem słychać w Warszawie.

Dębicki kiwał głową.

— I to mnie nic nie obchodzi — prawił Solski — bo jużci młode kobiety są od tego, ażeby je bałamucili piękni chłopcy. Ale niedobrze jest, że ludzie znający tutejsze stosunki, określają położenie pani Latter w ten sposób: długi — zmniejszone dochody — wielkie wydatki na syna, co wszystko razem zapowiada bankructwo.

— Ja słyszałem, że ona ma majątek — wtrącił Dębicki.

— I ja tak myślałem. Tymczasem nasz plenipotent zna niejakiego Zgierskiego, któremu pani Latter płaci 600 rubli procentu.

— I ja znam Zgierskiego. Wygląda na pokątnego finansistę.

— Otóż to — mówił Solski. — A ilu innych z tego gatunku kręci się około pani Latter.

Dębicki podniósł brwi i wzruszył ramionami.

— Rozumiem — rzekł Solski. — I ja nie mieszałbym się do cudzych interesów, gdyby nie siostra, która zapowiedziała mi, że — nie pozwoli na bankructwo pani Latter. Pojmuje pan moje położenie. Nie mogę z tą sprawą iść do pani Latter, bo wyrzuci mnie za drzwi i będzie miała słuszność; boję się użyć naszego plenipotenta, albo adwokata, bo sytuacja stałaby się jeszcze drażliwszą. Z drugiej strony, jakkolwiek chwalę siostrze przywiązanie do kobiety, która ją wychowała, to znowu nie pozwolę, ażeby majątek Ady umożliwiał panu Norskiemu bałamu-

enie guwernantek. Niech bałamuci, ale nie za pieiądze mojej siostry, która, o ile ją znam, nietylko ie zgodziłaby się na popieranie tego rodzaju przediębiorstw, ale nawet bardzo ubolewa nad ich rzeomemi ofiarami.

— Nie widzę tu roli dla siebie — rzekł Dębicki.

— A może pan mieć wielką — odparł Solski. — 'ywając na pensji, zrozumie pan, czy stan jest rzezywiście groźny i co dałoby się uratować: pensję ani Latter, czy tylko — panią Latter? Następnie postrzeże pan chwilę, kiedy dla pani Latter pomoc każe się niezbędną.

— Cóż dalej?

— Wówczas powie pan słówko naszemu plenipotentowi, a on resztę załatwi. Może być, że po konerencji z nim, pani Latter sprzeda pensję, albo zgozi się na jakiego spólnika, któryby kontrolował dohody i wydatki... Nie wiem, co postanowi... W każym razie nie będzie musiała zamykać pensji w ciąu roku, i uspokoi się co do własnej osoby.

— Mnie się zdaje, że wszystko polega na nieorozumieniu, bo pani Latter ma pieniądze — zauważył Dębicki.

— Mój profesorze — odpowiedział Solski — rzed panem nie myślę bawić się w sekreta. Pani atter ma pieniądze, gdyż Ada pożyczyła jej sześć ysięcy rubli, za co plenipotent zrobił mi awanturę. le interesa pani Latter muszą być zawikłane, ponieaż dała na komorne tysiąc rubli, zamiast dwóch ysięcy pięciuset. Nareszcie mam wskazówki, że jej

kłopoty nie są i nie będą chwilowemi, bo pan No ski nietylko dużo wydaje, ale jeszcze gra w karty.

Obiad skończył się, a Dębicki wciąż kiwał gł wą i rozmyślał.

— Profesor spełni moją prośbę? — zapyt Solski. — Nie chodzi tu przecież o interwencję strony pańskiej, lecz tylko o uchwycenie moment kiedy pani Latter znalazłaby się wobec bankructw

— Owszem, mogę to zrobić, o ile potrafię; a boję się, ażebym nie zepsuł sprawy, ponieważ... n jestem tam lubiany — odparł Dębicki, krzywiąc si

— Wszystko wiem, znam zatarg z panną H leną, a nawet trochę rozumiem i samą pannę Helen czego ona zdaje się nie przypuszczać... Mimo to pr szę pana, ażebyś podjął się zawiadomić naszeg plenipotenta, że — wtedy a wtedy może odwiedz panią Latter. Proszę zaś pana nie ja, ale moja si stra — zakończył uroczyście Solski, jakgdyby s dził, że prośba siostry powinna rozstrzygać wszelki kwestje.

— Zdolna kobieta z panny Ady — rzekł Dę bicki. — Co ona myśli robić?

— Ba! gdybym wiedział—odparł z uśmiecher Solski. — Może zechce zostać profesorką w jakin amerykańskim uniwersytecie?... Bo pan wie, że te raz kobiety chcą być deputowanymi, sędziami, je nerałami... No, ale niech robi, co jej się podoba moja rzecz służyć jej opieką zawsze, a radą, kied mnie o nią zapyta.

— Panna Magdalena Brzeska także bardz zdolna, bardzo zdolna!... — wtrącił Dębicki.

Solski wziął go za rękę i, patrząc w oczy, rzekł:

— O zdolnościach nie wiem, ale zdaje mi się, dla mojej siostry byłaby ona właściwszą przyjaółką, aniżeli panna Norska. Boję się, ażeby Ada e doznała przykrych rozczarowań, ale co pan cesz?... Co my możemy zrobić z kobiecemi symtjami?...

Opuścili restaurację, i pan Stefan odprowadził ębickiego w stronę jego domu. Na pożegnanie ekł:

— Więc, kochany profesorze, sprowadź się pan bibljoteki jak najprędzej. Pokoje opalają się, słucy czeka...

— Od wakacyj, od wakacyj... — odparł Dęcki.

— Taki jest pański termin, a mój — choćby tej chwili.

— Więc we środę jedziesz pan z siostrą?

— Nie. Panie pojadą z naszą ciotką, a ja poczę się z niemi dopiero około Nowego Roku Rzymie.

Uścisnęli się. Dębicki poszedł dalej, a Solski trzył za nim i myślał:

„O, jakto widać, że ten człowiek nosi w sobie ś kosztownego i kruchego. Jak on ostrożnie stąpa, ując, że, byle się poślizgnął, upadnie aż na dno obu... Ciężki los, kiedy życie schodzi tylko na ronieniu życia!...“

Nagle medytacje jego zmieniły kierunek.

„No, a ja — mówił do siebie — a ja?... Mnie na em schodzi życie?... Ten, ciężko chory, pracuje na

własne utrzymanie, opiekuje się małą siostrzenic
uczy dziewczęta zoologji i geografji, ba! pracuje n
jakimś nowym systemem filozoficznym. To wszys
ko robi inwalid, któremu lada chwila może pękn
serce i bynajmniej nie z miłości. Ja zaś jeste
zdrów jak koń, mam podobno rozum i energję, du
majątek, rwę się do działalności i — nie robię nic!
Mogę wszystko kupić: rozrywki, kochanki, wiedzę
Tylko nie kupię — celu dla działalności... Nie mieć c
czego przyczepić się, oto choroba, niegorsza od w
dy serca. Albo też być wiecznym kandydatem n
przewodnika tam, gdzie nikt nie potrzebuje prz
wodników, bo nigdzie się nie wybiera... Oto now
żytny tantalizm!... Będę ostatniego gatunku sz
brawcem, jeżeli nie zmarnuję się, razem z mojen
aspiracjami do wielkich dążeń..."

Wsadził ręce w kieszenie wąziutkich spod
i szedł zwolna ulicą, rozmarzony, smagany śniegien
w twarz, potrącany przez przechodniów, którzy sp
glądali na niego, jak na biedaka albo warjata.

IX.

Przed wyjazdem.

W środę rano, w dzień wyjazdu Ady i Helenk
za granicę, w czasie przerwy między lekcjami, p
Madzię przybiegło dwoje posłańców: Stanisław o
Heli i pokojówka od Ady.

Wyszedłszy z klasy, Madzia spotkała na kory
tarzu idące naprzeciw siebie rywalki: pensjonark

osię i nauczycielkę pannę Joannę... Spotkanie ich wało ledwie sekundę, lecz krótkość czasu nie przeszkodziła pannie Joannie szepnąć wyrazu: „podła!“, zego zresztą nie słyszała Zosia, a Zosi pokazać język pannie Joannie, czego znowu nie spostrzegła anna Joanna.

Oburzyło to Madzię, więc, zbliżywszy się do ątoklasistki, rzekła półgłosem:

— Wstydź się, Zosiu, pokazywać język, jakś dopiero była w pierwszej klasie.

— Bo ja nią pogardzam! — odpowiedziała głoło Zosia.

— Bardzo źle, bo ty zrobiłaś jej krzywdę, amknąwszy wtedy drzwi. Pamiętasz?

— Jabym ją zabiła, kokietkę. O niego już nie bam, jeżeli dał się uwieść tej zalotnicy, ale jej nie aruję, nie daruję, nie daruję!...

Widząc, że ani jej nie przekona, ani ułagodzi, adzia kiwnęła głową Zosi i zbiegła na dół. Czuła, ona sama nie lubi Joasi, ale także było jej przyo, że Zosia kocha się w panu Kazimierzu.

„Nieznośny dzieciuch — mówiła do siebie. — e wolałoby to pilnować książki, a nie myśleć niedorzecznościach“...

I ciężko westchnęła.

Helenkę zastała w gabinecie rozgorączkowaną płaczącą: na podłodze leżała podarta chusteczka.

„Czy tak martwi się, że wyjeżdża?“—przyszło myśl Magdalenie.

— Muszę ci coś powiedzieć — zaczęła Helenka nem, w którym czuć było gniew. — Przed Adą nie

zwierzę się, wstyd mi za mamę, ale tobie powie, bo gdybym milczała, piersiby mi pękły...

Zaczęła łkać.

— Ależ ja, Helu, ja kogo zawołam... — rzek przestraszona Madzia.

— Nikogo!... — odparła Helenka, chwytając za rękę. — To już przeszło...

Jeszcze parę razy zaniosła się od płaczu, le wnet oczy jej obeschły, i mówiła spokojniej:

— Wiesz, ile mama przeznacza mi na drogę? Trzysta rubli... Słyszysz, trzysta rubli!... Puszc mnie za granicę, jak podrzutka, bo za te pienią nie kupię nawet dwóch sukien, no — nic!...

— Helu — przerwała Madzia ze zgrozą — wi o to masz pretensję do matki?... A jeżeli ona nie m pieniędzy?...

— Dla Kazia przeznaczyła tysiąc rubli — o- parła Helenka z gniewem.

— I ty, wyjeżdżając, Bóg wie na jak dług, myślisz o podobnych rzeczach?... Rachujesz, i matka przeznacza pieniędzy bratu?...

— Mam do tego prawo. Jestem takiem dzie- kiem mojej matki jak i on, mam tego samego ojc, te same rysy, to samo poczucie godności, jak o, a mimo to jestem wobec niego poniżona i krzyw- dzona. Dla mamy nie skończyły się widać te czas, kiedy dziewcząt nie uważano za ludzi: sprzedawa się je bogatym mężom, albo osadzało w klasztorac, byle synom nie uszczuplić majątku. Ale to się j zmieniło!... My jesteśmy inne i choć nie mamy s do zwalczenia niesprawiedliwości, czujemy ją dosk

ıle... O, panna Howard, to jedyna mądra kobieta tym domu. Ja dopiero dziś rozumiem wartość ıżdego jej zdania.

Madzia zbladła i łagodnie, ale niezwykłym niej tonem odpowiedziała:

— Jesteś rozdrażniona, Helu, i mówisz rzeczy, órych za chwilę będziesz się wstydzić. Ja tego ıkomu, ale to nikomu nie powtórzę, nawet sama zaımnę... Idę teraz do Ady, więc jeżeli zechcesz zoıczyć się ze mną, tam przyślij.

Odwróciła się i wyszła.

— Boże miłosierny! — szepnęła — już rozuıem, co mówiła panna Marta o dzieciach... Biedna ɔja mamo, czy i ja jestem taka dla ciebie?... Wolaɔym umrzeć, uciec w świat, pójść do służby...

Wpadła do pustego pokoju panny Żanety, naa się wody, chwilę posiedziała i, spojrzawszy lustro, udała się do Ady. Zastała ją spacerującą pracowni i wzruszoną, ale uśmiechniętą.

— Jesteś! — zawołała panna Solska.

— Posadziwszy Madzię na swoim fotelu, zaęła ją całować i przepraszać za to, że posyła po ı.; wreszcie rzekła, rumieniąc się.

— Ach, Madziu, zanim wyjadę — wiesz, dzij wyjeżdżamy! — muszę przed tobą odwołać jedı rzecz...

Rumieniec jej i zakłopotanie zwiększyły się.

— Pamiętasz naszą rozmowę tego dnia, kiedym ɔrzedstawiła Stefka?... Mówiłam wtedy rozmaite dorzeczności: że ja nie znam życia, że myślę o Jo-

asi i o innych rzeczach... Pamiętasz?... Mówiąc
byłam bardzo niegodziwa...

— Niegodziwa? — powtórzyła Madzia.

— O, tak... Bo widzisz — mówiła ciszej —
niesłusznie myślałam źle o Heli. Zdawało mi
(jeszcze nie pogardzasz mną?...), zdawało mi się,
Hela kokietuje Stefka i że on się w niej koch
No, a rozumiesz, że gdyby oni pokochali się, to m
przestaliby kochać oboje, a ja... umarłabym, gdy
mi przyszło stracić Stefka... Przecież ja mam ty
jego, nikogo więcej, Madziu... Ani rodziców,
bliskich...

W oczach jej kręciły się łzy.

— Więc rozumiesz, dlaczego posądziłam He
ale dziś odwołuję wszystko... Hela jest dobra dzie
czyna, choć trochę zimna, a Stefek... Ach, ty go
znasz!... Jaki on mądry... Wyobraź sobie, że on n
tylko nie kocha Helenki, ale nawet jest do r
uprzedzony: posądza ją o egoizm i kokieterję...

Madzia pomyślała, że pan Stefan musi b
istotnie mądrym człowiekiem.

— Widzisz, jaka byłam niesprawiedliwa
Heli — ciągnęła Ada — ale nie miej o mnie złe
wyobrażenia... Ja mam taką wadę, że jeżeli mnie
zaboli, to w pierwszych chwilach nie umiem pa
wać nad sobą...

— Ależ, Ado, ty nic nie powiedziałaś na H
lenkę — przerwała Madzia.

— Tak, ale myślałam... Zresztą nie mów
o tem, bo mi wstyd... Może mi kiedy wybacz

uwierzysz, że ja tylko mimowolnie jestem zła przewrotna...

— Ado, Ado, co ty mówisz?... Ty jesteś najszlachetniejsza...

Długi czas ciągnęły się pocałunki, zwierzenia, odwoływania i przekonywania. Nareszcie Ada uspokoiła się i, błagalnie patrząc na Madzię, rzekła:

— Zrób mi jeszcze jedną łaskę i nie odmów...

Z temi słowy wcisnęła w rękę Madzi małe pudełeczko, owinięte w bibułkę.

— Co to jest? — zapytała zmieszana Madzia.

— Nic... pamiątka... Przecież mi nie odmówisz?... Pamiętasz, jakeśmy w trzeciej klasie zamieniły przed wakacjami kajeta?... A pamiętasz, jak dałaś mi śliczny obrazek, ten ponsowy, przeźroczysty, który sam zwijał się na ręku?... Ileś ty mi zrobiła przyjemności!... Widzisz, to jest zegarek, ale taki malutki, że mówić o nim nie warto. Zresztą, ja mam w tem wyrachowanie. Na kopercie jest napisane moje imię i lata, które spędziłyśmy na pensji; więc ile razy spojrzysz, musisz pomyśleć o mnie... Ja, widzisz, zrobiłam to przez egoizm.

Rozpłakały się obie, a w tej chwili Madzię zawołano na górę. Idąc, wyrzucała sobie interesowność i brak ambicji, a nawet mówiła, że będzie podłą, jeżeli przed wyjazdem Ady otworzy pudełko. Lecz już na drugiej kondygnacji schodów przyszło jej na myśl, że byłoby niewdzięcznością nie obejrzeć daru przyjaciółki. Więc otworzyła safjanowe pudełeczko, w którem cicho kołatał złoty zegarek, wysadzany brylancikami. Madzię ogarnął strach i wstyd, że

mogła przyjąć tak kosztowny prezent; lecz g
przypomniała sobie błagalny wzrok Ady i jej p
szczoty, uspokoiła się.

X.

Pożegnanie.

Ósma wieczór, na dworze noc, pogodna
grudniowa. Pani Latter, skrzyżowawszy ręce
piersiach, chodzi po gabinecie, spoglądając to
córkę, to na okno, za którem widać oświetlone br
gi Wisły. Panna Helena siedzi na skórzanej kanap
patrzy na popiersie Sokratesa, jakby mówiła do
bie: „a to brzydal!...“, i czasami niecierpliwie ude
w dywan obcasem. Za oknem, na tle pogodn
nieba, widać ciemne domy Pragi, szarożółte kan
nice warszawskiego Powiśla i czarną linję żelaz
go mostu, wszystko zasypane światłem. Świate
w domach, światełka na drugim brzegu, światełka
moście, jakby kto rzucił na Powiśle rój świętoj
skich robaczków, które w jednych miejscach sk
ły się w bezładne gromady, w innych uszykow
w pogięte szeregi i na coś czekają.

„Na co one czekają?... — myśli pani Latter
Rozumie się, że na wyjazd Helenki, aby ją po
gnać. Potem Helenka odjedzie, ale one zostaną i
dą mi ją przypominały. Ile razy spojrzę na te św
tełka, które nigdy nie zmieniają miejsca, pomyślę
i ona tu jest i że zobaczę ją, bylem odwróciła głow

że, daj jej szczęście, za wszystko, co ja wycierłam... Boże, chroń ją, opiekuj się nią...“

Nagle pani Latter drgnęła. Na korytarzu rozgło się stąpanie kilku ludzi z ciężarem i głos Stasława:

— Trochę wyżej... o tak!... A teraz ty skręć, lko ostrożnie z poręczą...

— Już niosą kufry — rzekła pani Latter.

— Widzi mama, dopiero niosą kufry — odeała się w tej samej chwili panna Helena.—Spóźny się...

Pani Latter westchnęła.

— Mateczka jest jakby niezadowolona — móła panna Helena, podnosząc się z kanapy i obejjąc matkę. — Napróżno matuchna ukrywa się, ja widzę. Czy zrobiłam co złego?... Niech mahna powie, bo inaczej zepsuje mi całą podróż... ja złota... najdroższa... .

— Ależ nic nie zrobiłaś — odparła pani Lat, całując ją.

— Ja wprawdzie nie poczuwam się do niczego, może mateczka coś dostrzegła, co wydaje się jej właściwem?... Niech mi matuchna powie wręcz...

— Czy nie rozumiesz, że sam twój wyjazd że mi... może mnie rozstrajać...

— Wyjazd?... — zapytała Helenka. — Alboż to długo, czy tak daleko?...

— Na długo! — powtórzyła pani Latter, ze utnym uśmiechem. — Pół roku, czy nie długo? le rzeczy może się stać przez ten czas...

— Boże! — roześmiała się panna Helena — mateczka zaczyna miewać przeczucia?...

— Nie, kochanko, życie moje jest zanadto ujęte w karby, ażebym znalazła w niem miejsce na przeczucia. Ale jest miejsce na tęsknotę...

— Za mną?... — zawołała Helenka. — Mama tak ciągle zajęta, że widywałyśmy się ledwie przez godzinę na dzień, a czasami i tego nie...

Pani Latter cofnęła się od niej, zamyśliła się i odpowiedziała, smutnie chwiejąc głową:

— Masz słuszność, widywałyśmy się ledwie przez godzinę na dzień, a czasem i tego nie!... Pracuję, wiesz przecie. Ale nawet nie widząc was, jestem pewna, że jesteście blisko mnie, i że was zobaczę, gdy znajdzie się wolna godzina... Ach, ile wycierpiałam, kiedy pierwszy raz przyszło mi żegnać Kazia, choć wiedziałam, że co kilka miesięcy mieć będę go w domu... Z tobą, było mi jeszcze gorzej: ile razy wyszłaś na ulicę, myślałam z trwogą, czy ci się co nie stało, a każda minuta spóźniona

— Boże, jak matuchna musi być rozstrojona! — zawołała ze śmiechem Helenka, całując matkę. — Czy mogłabym przypuszczać coś podobnego...

— Bo nigdy nie mówiłam o tem, bo zamiast pieścić moje dzieci, jak inne, szczęśliwe matki, mogłam tylko pracować dla nich. Ale sama zobaczysz mając własne, jaka to wielka ofiara trzymać się zdala od dziecka, choćby dla jego dobra...

Na korytarzu rozległy się kroki, a Helenka nagle zawołała:

— Ada już wychodzi!...

Pani Latter odsunęła się od córki.

— Jeszcze nie — rzekła sucho.

Potem usiadła na fotelu i, spuściwszy oczy, mó-
ła zwykłym tonem:

— Dam ci jeszcze dwadzieścia pięć rubli, wy-
łcznie na marki, ale... pisuj do mnie codzień.

— Codzień, matuchno?... Przecież mogą być
i, kiedy wcale nie wyjdę z domu... O czemże wte-
pisać?

— Mnie nie chodzi o opisy miejscowości, które
niej więcej znam, ale o ciebie... Zresztą pisuj, kiedy
cesz i jak chcesz.

— W każdym razie dwadzieścia pięć rubli nie
iarnują się!... — rzekła z przymileniem panna He-
ia. — Ach, te pieniądze... Dlaczego ja nie jestem
elką panią?...

— Masz kredyt u Ady, prosiłam ją... Ale He-
iko bądź oszczędna... bądź oszczędna... Wiem, że
trafisz być rozsądną, więc w imię rozsądku, je-
sze raz proszę cię: bądź oszczędna!...

— Matuchna przypuszcza, że ja będę garściami
rzucać pieniądze?...—zapytała panna Helena, ro-
c grymasik.

— O tem nie myślę, bo na to nie masz. Ale
awiam się, ażeby ci nie zabrakło... Nasze położe-
, widzisz... nasze położenie majątkowe nie po-
ala na zbytki...

Panna Helena zbladła i pochyliła się na opar-
kanapy, chwytając ręką za poręcz.

— Więc może ja... więc może lepiej nie je-
ać?... — spytała zdławionym głosem.

— Jechać możesz... Owszem, jedź i rozerw się: ale pamiętaj, że podróż powinna być oszczędn. Mówię o naszem położeniu dlatego, ażeby cię uchr-nić od omyłek.

Panna Helena rzuciła się matce na szyję, m-wiąc ze śmiechem:

— A, rozumiem! Mateczka straszy mnie dl-tego, ażebym była rozsądna i myślała o jutrze. K jednak zaręczy, że ja już dziś o tem nie myślę i moja podróż nie opłaci mi się lepiej, aniżeli wszys-kie projekta Kazia?... Ja także mam rozum — d-dała figlarnie — i kto wie, czy nie przywiozę mam stamtąd bogatego zięcia... Przecież chyba warta j-stem miljonera...

Twarz pani Latter rozjaśniła się, oczy błysn-ły; lecz wnet powrócił surowy spokój.

— Moje dziecko — rzekła — nie myślę ukr-wać przed tobą, że jesteś piękna i masz prawo d najlepszych partyj, tak samo jak Kazio. Ale musz cię ostrzec. Ja także byłam podobna do ludzi, mi łam szczęście...

Podniosła się z fotelu i zaczęła chodzić po g binecie.

— O, tak, miałam szczęście! — mówiła ironicz nym tonem. — No, i wszystko mnie zawiodło, wy jąwszy pracy i zgryzot... Miłość stygnie, piękność mija, tylko praca i zgryzota zostają. Na nie możes rachować, więcej na nic... W każdym razie — d dała, zatrzymując się przed panną Heleną i patrzą jej w oczy—nic nie rób, nawet nic nie planuj, bez po rozumienia się ze mną. Mam przeszłość tak bogat

v doświadczenie, że ono — przynajmniej dzieciom noim powinnoby oszczędzić zawodów. A ty masz yle rozsądku, że powinnać mi ufać.

Panna Helena objęła matkę za szyję i, oparłszy łowę na jej ramieniu, rzekła cicho:

— Więc między nami, mateczko, niema niepoozumień?... Mama nie gniewa się na mnie?...

— Skąd ci znowu przyszło do głowy!... Będzie ni smutno, bardzo smutno... Ale, jeżeli ty znajdziesz zczęście...

Do gabinetu zapukano. Wszedł służący i zawiaomił, że przyjechały karety.

— A, czy kamerdyner pana Solskiego już st? — zapytała pani Latter.

— Ten, co z panienkami ma jechać za granicę? Właśnie czeka.

— A Ludwika gotowa?

— Żegna się ze służbą, ale jej rzeczy już odezły na kolej.

— Więc poproś pannę Adę, ażeby siadła z panią Magdaleną i z kamerdynerem, a my zaraz przyedziemy z Ludwiką.

Służący wyszedł, pani Latter pociągnęła córkę o swojej sypialni, gdzie nad klęcznikiem wisiał krzyżowany Pan Jezus z kości słoniowej.

— Dziecko moje — mówiła pani Latter zmieionym głosem — Ada jest szlachetną dziewczyną, j miłość wiele znaczy dla ciebie, ale... nie zastąpi ka matki... Więc w chwili, kiedy wyrywasz się pod mojej opieki, polecam cię Bogu... Pocałuj ten rzyż...

Helenka dotknęła krzyż ustami.

— Klęknij tu, dziecko...

Uklękła, trochę ociągając się i patrząc na mat-kę ze zdziwieniem.

— O co ja się mam modlić, mamo?... Czy t tak daleko, czy na długo wyjeżdżam?...

— Módl się o wszystko: ażeby Bóg cię ni opuścił, chronił cię od przygód i... ażeby dla mnie ze-słał ukojenie... Módl się, Helu, za siebie i za mnie.. Może Bóg chętniej wysłucha modlitwy dziecka.

Zdziwienie panny Heleny rosło. Klęczała n jednem kolanie i, oparta o klęcznik, z niepokojem patrzyła na matkę.

— Czy zawsze jest się usposobionym do mo-dlitwy?... — zapytała nieśmiało. — Poco to, ma-tuchno?... Przecie Bóg i bez pacierza zrozumie na-sze intencje, jeżeli... jeżeli je usłyszy...

I zwolna podniosła się z klęcznika.

— Boże miłosierny... Boże sprawiedliwy!... — szeptała pani Latter, chwytając się za głowę.

— Co mateczce jest?... Matuchno!...

— Nieszczęśliwa jestem — mówiła cicho — najnieszczęśliwsza z matek, bo nawet nie nauczyłam was modlić się... Tamten nie wierzy w nic, drwi... ty wątpisz, czy Bóg usłyszy modlitwę, a ja... nawet nie umiem cię przekonać... Zaczyna się dla mnie dzień sądu z wami i ze wszystkiem...

Pochwyciła córkę w objęcia i całowała ją, pła-cząc.

— Ja chyba zostanę... — rzekał Helenka z roz-paczą w głosie.

Pani Latter odsunęła ją i otarła oczy.

— Ani mi się waż myśleć o tem!... Jedź, rozer-vij się i wracaj doświadczeńsza... O, gdybyście wy naleźli dla siebie odpowiednie stanowiska, byłabym zczęśliwsza, choćby mi przyszło zostać gospodynią a jakiej pensji... Jedźmy... jestem rozdrażniona i mó-vię, sama nie wiem co...

— Ależ naturalnie, że matuchna jest rozdraż-iona... Ja się tak zlękłam... A mamie chyba przy-omniały się te dawne czasy, kiedy ludzie, jadąc Warszawy do Częstochowy, albo nawet do Pru-zkowa, kupowali nabożeństwo za szczęśliwą po-róż. Dziś niema ani takich niebezpieczeństw, ani na-wnej wiary... Matuchna sama czuje to doskonale...

Matka słuchała jej ze spuszczonemi oczyma. Wyszły do gabinetu i pani Latter dotknęła zwonka. W chwilę ukazała się pokojówka Ludwi-a, gotowa do drogi i zapłakana.

— Pomóż panience ubrać się — rzekła pani .atter. — Czego płaczesz?

— Bo strasznie jechać tak daleko, proszę pa-i — odpowiedziała, szlochając. — Jeszcze panienki ıówiły, że tam, gdzieś, ziemia się zakrzywia... Gdy-ym pierwej wiedziała, nie ważyłabym się na taki raj świata... Tyle się tylko uspakajam, że już jest aszport i że zobaczę Ojca Świętego...

W kilka minut obie panie i Ludwika siadły do arety, pożegnane przez pensjonarki, które Helence fiarowały bukiet z porady panny Żanety i kilka-ziesiąt łez z własnego popędu, choć bez dostatecznej rzyczyny.

W drodze pani Latter była milcząca, Helenka upojona. Przejeżdżając przez ulice oświetlone dwoma szeregami latarń i okien sklepowych, patrząc na ruch powozów, dorożek i omnibusów, na gęste łańcuchy przechodniów, których twarzy ani ubiorów nie można było dojrzeć w pomroce, Helenka wyobrażała sobie, że już jest w Wiedniu albo w Paryżu, że już spełniło się jej marzenie tylu lat!...

Wpobliżu dworca kolei i na dworcu tłok powozów był tak wielki, że kareta parę razy stawała. Nareszcie stanęła u pojazdu i panie wysiadły, a raczej utonęły w ciemnej fali tłumu, który kipiał u drzwi przysionka. Pani Latter była zakłopotana, jak osoba, która rzadko widuje ciżbę; ale zachwyt Helenki wzrastał. Wszystko jej się podobało: zmarznięci dorożkarze, spoceni tragarze, obładowani futrami podróżni. Przypatrywała im się z ciekawością, odróżniając między nimi tych, co rwali się naprzód, i tych, którzy oglądali się za siebie, i nareszcie takich, którym było wszystko jedno, gdzie są: na dworcu czy w domu.

Jakże ją bawił zgiełk, tłok, potrącanie — po tej ciszy i porządku, wśród którego dotychczas upływało jej życie.

„Oto jest świat!... Tego mi potrzeba!“ — myślała.

Kamerdyner Solskiego zabiegł im drogę i wprowadził do sali pierwszej klasy. Trafiły na moment, kiedy Ada i pan Solski sadowili na kanapie swoją ciotkę, od stóp do głów zawiniętą w aksamity i futra, z pod których prawie nie było widać osoby,

tylko słychać urywane francuskie zdania, wyrażające obawę: czy noc nie będzie zanadto zimna, czy można spać w wagonie, i wiele innych w tym rodzaju.

Pani Latter usiadła obok starej damy, a Helenka ledwie miała czas przywitać się z nią, gdyż została otoczona przez gromadkę osób, które chciały ją pożegnać. Pierwszy przysunął się profesor Romanowicz, piękny brunet. Podał Helence bukiet róż i, melancholijnie patrząc w oczy, rzekł półgłosem:

— I cóż, panno Heleno?...

— I już!... — odpowiedziała, śmiejąc się, zarumieniona Helenka.

— Jeżeli tak... — zaczął, ale musiał ustąpić panu Kazimierzowi Norskiemu, który, wręczywszy bukiet Adzie, podał siostrze pudełko cukierków, mówiąc:

— Nie żegnam się z tobą, tylko do widzenia, najdalej za miesiąc.

— Do widzenia za miesiąc? — powtórzyła zdziwiona Helenka. — Przecie ty jedziesz do Berlina, nie do Rzymu...

— Berlin, Rzym, Paryż, to wszystko leży pod jednym dachem, kiedy się raz wyjedzie za granicę...

I cofnął się przed panną Solską, która pocichu spytała Helenkę, czy nie jest za lekko ubrana i, rumieniąc się, szepnęła, że pan Kazimierz jej, Adzie, dał prześliczny bukiet.

Rozległ się pierwszy dzwonek, na peron zaczęli tłoczyć się pasażerowie drugiej klasy, a i w

pierwszej otworzono drzwi. Helenka odciągnęł Madzię na bok.

— Wiesz — mówiła prędko — przed chwil miałam scenę z mamą... istny wyjątek z dramatu!. Kazała mi klęknąć i modlić się, słyszałaś!

— Przecież modlimy się codzień, nawet prze pójściem do łóżka, a nie dopiero przed taką podró żą — odparła Madzia.

— Ach ty i pensjonarki, wielka rzecz!... Al nie o to chodzi... Mama wydała mi się bardzo roz strojona, więc proszę cię, uważaj na nią i napisz m gdyby...

— Helu! — zawołała pani Latter.

Wszyscy zaczęli się żegnać. Pan Solski, ubra ny tym razem w palto, podał bukiet Helenie, na któ rą gniewnie i melancholijnie spoglądał pan Romano wicz, gładząc ładne wąsy. Ada rzuciła się na szyj Madzi, pan Kazimierz zajął się odtransportowanien do wagonu aksamitnej ciotki. Ścisk, ruch, zgiełk po większył się, i Madzia, ocierając łzy za Adą, znala zła się na szarym końcu, obok pana Romanowicza

— Już rozumiem — rzekł piękny profesor — dlaczego panna Helena bagatelizuje dawnych ado ratorów, ma Solskiego...

— Co też pan mówi! — oburzyła się Madzia.

— Czyliż nie widzi pani jego bukietu i jej spojrzeń?... Sapristi! takiego bukietu jeszcze nie było na naszej kolei...

— Zazdrość mówi przez pana.

— Nie zazdrość — odparł z gniewem — ale znajomość kobiet wogóle, a panny Heleny w szcze-

;ólności. To mnie tylko pociesza, że jak ja dziś zbla-
łłem przy panu Solskim, tak on zblaknie przy ja-
cim zagranicznym magnacie, albo...

Pociąg ruszył. Do Madzi zbliżyła się pani Lat-
er i ciężko oparła się na jej ręku. Solski pożegnał
obie panie z wielkim szacunkiem, a w chwilę po nim
pan Kazimierz.

— Nie odwiedzisz mnie, Kaziu? — zapytała
natka.

— Jeżeli mateczka każe... Choć umówiłem się
: hrabią...

— Umówiłeś się, to idź — szepnęła, mocniej
opierając się na ramieniu Madzi.

Pan Romanowicz, który patrzył na nią zbo-
ku, ukłonił się grzecznie, ale zdaleka, i, odchodząc,
westchnął. W duszy Madzi powstała wątpliwość,
:a czem on wzdycha: za Helenką, czy za dziesięcio-
:łotowemi lekcjami u pani Latter? Ale natychmiast
powiedziała sobie, że, posądzając pana Romanowi-
:za, jest głupia i przewrotna — i to ją uspokoiło.

Kiedy wsiadły do karety i wracały do domu,
pani Latter, spuściwszy okno, wychyliła się parę ra-
;y, jakby jej brakło powietrza, a potem zaczęła mó-
wić prędko i z ożywieniem:

— To nic, niech się dziewczyna rozerwie. Ty
przecież wiesz, Madziu, że ona nigdzie nie wyjeż-
lżała, a dziś i kobieta musi poznać świat. W podró-
:ach żyje się prędzej, obserwuje się ludzi i wartość
:ycia. Jak to smakuje łóżko po nieprzespanej nocy
v wagonie; a jak człowiek tęskni do domu po ho-

telach!... I prędzej chce wracać, aniżeli zdawało m
się przed wyjazdem.

Ostatnie zdania wypowiedziała ze śmiechen
Lecz ile razy w głąb karety padł blask mijanej la
tarni, Madzia spostrzegała na twarzy pani Latte
przykry wyraz, który nie godził się ani z jej śmie
chem, ani z wielomównością.

— Bardzo jestem kontenta — mówiła dalej pa
ni Latter — że ty wracasz ze mną. Obecność dobre
go człowieka przynosi ulgę, a ty jesteś dobre dziec
ko... Gdybym mogła mieć jeszcze jedną córke
chciałabym ciebie...

Madzia milczała, tuląc się w głąb karety i czu
jąc, że strasznie rumieni się. Ma też pani Latter z
co chwalić ją, głupią i złą dziewczynę, która od ko
leżanek przyjmuje złote zegarki, a nie ma serca d
Heleny!...

— Ty, Madziu, kochasz rodziców? — zagad
nęła nagle pani Latter.

— Ach, pani!... — szepnęła Madzia, nie wie
dząc co odpowiedzieć.

— A przecie nie jesteś w domu już siedem lat.

— Ale jakbym chciała być!... — przerwała
jej Madzia. — Teraz to nawet nie lubię jeździć na
święta, bo kiedy trzeba wracać do Warszawy, zda
je mi się, że umrę z żalu... Choć mi tu bardzo dobrze

— Płaczesz, wyjeżdżając z domu?... — zapy
tała pani Latter niespokojnie.

Madzia zrozumiała, o co chodzi.

— To jest... ja płaczę — rzekła — bo jesten

ksa... Ale gdybym miała rozum, to pocóż płakać?...
raz zapewne nie płakałabym...

— I nie mniej kochasz rodziców, choć tak rzad-
widujesz ich?

— Ach, pani, jeszcze więcej ich kocham... Na-
awdę zrozumiałam, co to są rodzice, dopiero wów-
as, kiedy mnie odwieźli na pensję i nie mogłam
dywać ich codzień...

— Matka pieściła cię?

— Czy ja wiem?... Alboż dziecko tylko za
szczoty kocha? Moja mama nawet nie pieści nas
, jak pani Helenkę — mówiła Madzia, wysilając
na dyplomację. — I przecież mama tak nie pra-
ie jak pani. A swoją drogą, kiedy sobie przypo-
ię, jak mama zajmowała się obiadem dla nas, jak
ana dawała nam bratki z mlekiem, jak cały dzień
yła albo naprawiała nasze sukienki... Nie mogła
m dać nauczycieli i guwernantek, o, nie! ale my
a to ją kochamy, że sama nauczyła nas czytać.
eczorami siadaliśmy przy niej: Zdzisław na krze-
, ja na stołeczku, a Zosia na dywanie. To był taki
sty dywanik, mama uszyła go z kawałków...
ęc wieczorami opowiadała nam mama różne rze-
, nawet uczyła nas w ten sposób Pisma świętego
istorji. Taka mała nauka, nie profesorska, a prze-
ż my jej tego nigdy nie zapomnimy. Nareszcie sa-
oglądała nasze łóżeczka, czy dobrze posłane,
kała z nami do pacierza, a potem, otulając nas
ałując, mówiła: „śpijcie z Bogiem urwisy!...“
ja, proszę pani, byłam taki urwis, jak Zdziś,
vet łaziłam po drzewach. Raz spadłam... Ale

Zosia jest zupełnie inna, ach, jaka to kochana dzie-czynka!...

Nagle Madzia umilkła, spojrzawszy na pa Latter, która zasłoniła twarz rękoma, szepcząc:

— Boże! Boże!...

„Czy ja co złego mówiłam? — myślała pr rażona Madzia. — O, ja jestem strasznie...“

Kareta zatrzymała się przed domem. Kie wchodząc na oświetlone schody, Madzia spojrz na panią Latter, zdawało jej się, że twarz przeło nej jest wyrzeźbiona z drewna, taka była zim i obojętna. Tylko oczy były większe, niż zwykle

„Musiałam powiedzieć straszne głupstw O, ja jestem nikczemna!“ — mówiła do siebie M dzia.

XI.

Znowu awantura.

Na drugi dzień pani Latter wezwała do sie Madzię i rzekła:

— Przyprowadź tu Zosię Wenzel, panno M gdaleno, i sama przyjdź.

— Dobrze, proszę pani — odpowiedziała M dzia, i serce zaczęło jej bić ze strachu. Oczywiś coś złego, kiedy pani Latter nazywa ją panną M gdaleną i ma w fizjognomji ostry wyraz, z jak robi wymówki pensjonarkom.

„Naturalnie, że chodzi o Zosię“ — pomyśl Madzia, wiedząc, że przy upominaniu nauczycie

ani Latter ma inny wygląd. Niewiele przyjemniej-zy, ale inny.

Kiedy Madzia zawiadomiła Zosię o rozkazie rzełożonej, nie wspominając o swoich obawach, osia przyjęła to obojętnie.

— Domyślam się — rzekła, wzruszając ramio-ami. — To on na mnie naskarżył.

— Kto?... pan Kazimierz?... — zawołała Ma-zia.

— Naturalnie. Odgadł, że nim pogardzam i te-z mści się... Oni zawsze tacy; nieraz mówi mi to anna Howard...

Na schodach przeszła obok nich panna Joanna, ucając na Zosię jadowite spojrzenie.

— A co?... — zawołała Zosia, klasnąwszy ręce. — Czy nie mówiłam, że to robota tej pie-elnicy?...

— Zosiu, w tej chwili mówiłaś, że to pan Ka-nierz...

— Mówiłam o nim, ale myślałam o niej.

Kiedy zapukano do pokoju pani Latter, na dole zległ się hałas: niższe klasy powracały z Foksalu panną Howard. Madzia mimochodem spostrzegła, dotychczas obojętna Zosia poczyna blednąć i że-a się ukradkiem.

— Nie bój się, wszystko będzie dobrze... — epnęła Madzia, czując, że sama jest w strachu.

Z dziesięć minut czekały w gabinecie przeło-nej, milcząc i nie patrząc jedna na drugą. Na-zcie weszła pani Latter. Starannie zamknęła zwi za sobą, podała rękę Madzi, lecz ani spoj-

rzała na piękne dygnięcie Zosi, udając, że jej wcal nie spostrzegła. Potem usiadła przed biurkiem, Ma dzi wskazała kanapkę i zaczęła czegoś szukać w szu fladkach. Owego czegoś nie było jednak ani w szu fladzie prawej, ani w środkowej, ani w lewej dolne pani Latter bowiem, pozasuwawszy je, podnios z biurka kilka arkusików listowego papieru, prz pełnionego drobnem pismem, i zapytała:

— Co to jest?

Dotychczas blada Zosia zrobiła się ponsow i znowu zbladła.

— Co to znaczy? — powtórzyła pani Latte zimno patrząc na Zosię.

— To... to jest... o „Nieboskiej Komedji“ Kr sińskiego.

— Widzę. Domyślam się, że ową „jedyn i „najdroższą“ jest „Nieboska Komedja“; ale kt jest ten „dozgonny“?... Spodziewam się, że nie Kr siński, więc kto?...

Zosia sposępniała, lecz milczała.

— Chcę wiedzieć, jaką drogą otrzymujesz kursa literatury?

— Nie mogę powiedzieć — szepnęła Zosia.

— A kto jest autorem?...

— Nie mogę powiedzieć — powtórzyła Zos nieco śmielej. — Ale przysięgam pani — doda podnosząc oczy i kładąc rękę na piersiach — prz sięgam... że nie pan Kazimierz...

I zalała się łzami.

Pani Latter z zaciśniętemi pięściami zerwa się z fotelu, a Madzi pokój zaczął krążyć w ocza

.ecz w tej chwili otworzyły się drzwi z łoskotem, stanęła w nich panna Howard, groźna, rozpłomieniona, trzymając za rękę Łabęcką, która miała w fijognomji wyraz smutku i zaciętości.

— Przepraszam, że w taki sposób wchodzę — :ekła panna Howard podniesionym głosem — doiaduję się tu jednak pięknych rzeczy...

— Co pani każe? — zapytała pani Latter, od/skawszy zimną krew.

— Jedna z dam klasowych — mówiła panna oward — niejaka panna Joanna, chwali się w tej ıwili na górze, iż... jakby tu powiedzieć?... że — yciągnęła — z pod poduszki Zosi Wentzlównie :wne listy i że Zosia, którą tu widzę, ma być za odpowiedzialną.

— Czy pani chce uwolnić ją od odpowiedzialıści? — zapytała pani Latter.

— Uwolni ją sprawiedliwość pani — odpowieiała zirytowana panna Klara. — Czy Zosia wyała, czyje to są listy?...

— Nie! — wtrąciła energicznie Zosia.

— Jesteś szlachetną dziewczyną — mówiła ıniesieniem panna Howard, nie uważając, że prze:ona zaczyna tracić cierpliwość. — Te listy — .gnęła — nie należą do Zosi, ale do Łabęckiej, któ- przychodzi tu ze mną przyznać się i uwolnić nienną koleżankę...

Pani Latter zmieszała się. Iskry w jej oczach :ygasły, głos stał się mniej twardym.

— Dlaczegóż Zosia sama nie powiedziała mi em? — rzekła.

— Bo czuła, że to należy do jej koleżanki, d
Łabęckiej, która spełnia swój obowiązek, jak przy
stało na kobietę, mającą poczucie ludzkiej godno
ści! — deklamowała panna Howard. — Tam, gdzi
nauczycielka sięga pod cudzą poduszkę...

— Panna Joanna jest protegowaną pani... u
mowała się pani za nią... — wtrąciła pani Latter.

— Ujmowałam się za istotą samodzielną; z
kobietą, która walczy z przesądami... Ale taką, jak
dziś jest — pogardzam!... — zakończyła panna Ho
ward.

Pomimo wybuchów Klary, pani Latter usp
koiła się i rzekła do Łabęckiej, wskazując na pa
piery:

— O ile widzę, jest to streszczenie „Komed
Nieboskiej". Ale kto ci je dał?

— Nie mogę powiedzieć... — szepnęła Ła
bęcka.

Panna Howard patrzyła na Łabęcką z triur
fem.

Zdawało się, że ktoś puka do drzwi.

— Proszę! — odezwała się pani Latter.

Weszła Mania Lewińska. Miała twarz blad
oczy prawie czarne, wylęknione i pełne łez. Zatrz
mała się na środku gabinetu, dygnęła przed pan
Latter i rzekła cichutko:

— To... moje listy... ja pożyczyłam je Ł
bęckiej.

Z długich rzęs zaczęły jej spadać duże łz
Madzia myślała, że na ten widok serce jej pęknie.

Od kilku sekund bardzo pilnie przypatrywa

; Mani panna Howard. Nareszcie zbliżyła się do
ej i, położywszy na jej ramieniu dużą i kościstą
kę, zapytała:

— Te listy pisane są do ciebie?... Kto je pi-
ł?...

Nie doczekawszy się zaś odpowiedzi, zbliżyła
; do biurka i z poza fotela pani Latter spojrzała
rękopis.

— Ach tak!... zgadłam — zawołała ze spa-
latycznym śmiechem. — To pismo pana Kotow-
iego... Nie przypuszczałam, że na to was zapo-
aję...

— Panno Klaro — wtrąciła pani Latter, odsu-
ując papiery — podobno nie czyta się cudzych li-
ów... To wreszcie nie jest list, ale jakieś wypra-
wanie...

— Ja też nie czytam — odpowiedziała panna
ward. — Robię więcej... Maniu — zwróciła się
Lewińskiej — zraniłaś mnie, ale ja ci... przeba-
um!... Chodź ze mną, panno Magdaleno — doda-
— czuję, że potrzebną mi będzie życzliwa ręka...

Na znak pani Latter, Madzia podniosła się z ka-
oki i, podawszy rękę pannie Klarze, wyprowadzi-
ią z gabinetu, chwiejącą się jak kwiat podcięty.

— Idźcie na górę — rzekła pani Latter do pen-
narek dość łagodnie.

— Myślałam — szepnęła na korytarzu panna
ra — że jestem wyższa nad ludzi; ale dziś widzę,
n tylko kobietą...

I pracowała powiekami, usiłując wycisnąć

z oczu parę łez, co Madzi wydało się bardzo ż bawne.

Przy schodach zastąpił im drogę Stanisła mówiąc do panny Howard:

— Pan Kotowski już poszedł na górę.

Panna Klara wyprostowała się, jak sprężyn Zamiast opierać się na Madzi, szarpnęła ją za rę i rzekła półgłosem:

— Chodź pani, zobacz, jak zdepczę tego nęc nika... . . . .

— Ależ pani!... — zaprotestowała Madzia.

— O, nie, musisz pani być świadkiem, j płaci zdrajcom kobieta samodzielna... Jeżeli po te co mu powiem, ten człowiek przeżyje do jutra, bę miała dowód, że jest łotrem, którego nie powinna zaszczycać nawet moją pogardą.

Mimo oporu, wciągnęła Madzię do pokoju, którym szerokiemi krokami spacerował bardziej n kiedykolwiek rozczochrany student. Zobaczyws pannę Klarę, wyciągnął rękę z kieszeni i chciał prz witać się. . . . .

— Patrz pani — rzekła panna Howard głęb kim tonem — ten człowiek wyciąga do mnie rękę.

— A bo co?... — zapytał obrażony stude śmiało patrząc na pannę Klarę, która stała prz nim sztywna i blada.

— Korespondujesz pan z Manią poza moje plecami i pytasz, co?... To ja powinnam zapytać: robisz w mieszkaniu kobiety, którą oszukałeś?...

— Ja, panią?... W imię Ojca i Syna...

— Nie usidlałeś pan mnie? Nie starałeś si

— Jak Boga kocham, anim myślał!... — zawo-
ał student, bijąc się w piersi.

— Więc jakiż cel miały pańskie wizyty?... —
apytała panna Klara już rozgniewana.

— Jaki cel, słyszy pani?... — zwrócił się do
Madzi, rozkładając ręce. — Taki sam cel, jak dziś...
ak zawsze... Przyniosłem pani korektę, ale...

— Korektę?... Mego artykułu o nieprawych
dzieciach?... — zawołała panna Howard.

Madzia zdumiała się nad nagłą przemianą.
Chwilę temu panna Klara była podobna do Judyty,
cinającej Holofernesa, a teraz przypominała pensjo-
narkę.

— Ale jeżeli mają mnie spotykać takie awan-
tury — mówił student — to dziękuję!... Do niczego
nie chcę się mieszać...

Panna Howard znowu odzyskała uroczysty
nastrój i głęboki ton głosu.

— Panie Władysławie — rzekła — zraniłeś
mnie pan śmiertelnie... Lecz gotowa jestem przeba-
czyć, jeżeli przysięgniesz, że... nigdy... nie ożenisz
się z Manią...

— No, to ja pani przysięgam, że tylko z nią
się ożenię — odparł student, machając rękoma i no-
gami, w sposób, nie licujący z powagą sytuacji.

— Więc pan zdradzasz postęp... sprzeniewie-
rzasz się naszemu sztandarowi...

— Co mi tam postęp... sztandar!... — mruknął,
wichrząc już powichrzoną czuprynę.

— Oto ma pani dowód męskiej logiki! — rze-
kła wyniośle panna Howard, zwracając się do Madzi.

— Męska logika... męska logika... — powtarzał pan Kotowski. — W każdym razie nie układały jej kobiety...

— Widzę, panie Kotowski, że z panem nigdy nie można rozmawiać poważnie — przerwała mu panna Klara tonem tak swobodnym, jakby w tej chwili spotkało ją coś bardzo wesołego. — Ale mniejsza — dodała. — Czy pomimo to, co pomiędzy nami zaszło, pomożesz mi pan do zrobienia korekty?

— Taka pani samodzielna, a nawet korekty zrobić nie umie... — odparł student, ciągle obrażony i posępny.

— Ja państwo pożegnam — szepnęła Madzia.

Pan Kotowski chmurnie podał jej rękę, wyciągając drugą z wyszarzanego munduru plik papierów i oglądając się za krzesłem.

XII.

Nudne święta.

Nie było jeszcze dla Madzi tak przykrych świąt Bożego Narodzenia, jak w tym roku.

Smutno było i pusto. Pusto w gabinecie Heli i w mieszkaniu Ady, którego nikt nie zajmował, pusto w sypialniach, jadalniach i salach wykładowych, pusto w mieszkaniach nauczycielek. Panna Howard całe dnie spędzała u znajomych, panna Żaneta u starej kuzynki, Joasia wyjechała na kilka dni, pani Meline zwichnęła rękę i leżała w lazarecie, a pani Fan-

oche w sam dzień Nowego Roku podała się do dymisji i przeszła na inną pensję.

Niekiedy Madzia, słysząc na salach i korytarzach rozgłośne echa własnych kroków, przerażała się. Zdawało jej się, że żadna pensjonarka już tu nie wróci, że stoły i ławki zawsze będą pokryte pyłem, a łóżka nagiemi materacami. Że zamiast gwaru dziewcząt będzie słyszała własne kroki, a zamiast nauczycieli i dam klasowych, spotykać będzie tylko panią Latter, jak, z zaciśniętemi ustami przemyka się po korytarzach, albo zagląda do pustych sypialni.

Czy może i ona myśli, że już nikt nie wróci po świętach, i czy ten dziwny wyraz jej oczu nie wyraża obawy?

Z panią Latter nie było dobrze. Stanisław i panna Marta mówili, że nie sypia po nocach, a doktór zalecał kąpiele, dłuższy odpoczynek i kręcił głową. Nieraz Madzia znajdowała przełożoną, siedzącą bez ruchu, z oczyma utkwionemi w ścianę; parę razy słyszała, jak pani Latter wybiega na korytarz i pyta Stanisława: czy nie przyjechał pan Kazimierz ze wsi, albo, czy niema listu?

Madzi zdawało się, że pani Latter jest bardzo nieszczęśliwa i — jako właścicielka pensji i — jako matka. Wobec tej zgryzoty, nie wypowiadającej się żadną skargą, Madzia łatwiej przenosiła swoją samotność i nieszczególne wieści od własnej rodziny. Jej matka wręcz narzekała na ciężkie czasy, ojciec wciąż łudził się nadziejami, brat pisał o wielkości filozofji pesymistycznej i pożytkach zbiorowego sa-

mobójstwa, a Zochna zapytywała: kiedy może prze
nieść się do Warszawy?

Ale około dziesiątego stycznia nastąpiła zmia
na. Przyjechało kilkanaście pensjonarek, rodzice ic
zaczęli miewać z panią Latter konferencje, z których
każda kończyła się wycięciem sznurowego kwitu
z poczty nadeszło kilkanaście pieniężnych listów
Jeden bardzo zdziwił i ucieszył panią Latter, cho
zawierał tylko sto pięćdziesiąt rubli; odesłała j
z mnóstwem podziękowań dawna uczennica, dono
sząc, że wyszła zamąż i spłaca dług, zaciągnięty
przez jej rodziców.

Ale radość trwała niedługo. Na drugi dzień
bowiem, kiedy pensjonarki zajęte były w klasach
wypracowaniami i powtarzaniem lekcyj, do jedne
sypialni weszła panna Marta ze służącymi i kazała
wynieść dwa łóżka. Usłyszawszy chrzęst żelaza, za
ciekawiona Madzia wbiegła do sypialni i spotkała
pannę Howard i Joasię, stojące do siebie bokiem
Panna Marta zaś opowiadała półgłosem, że wypro-
wadzają się obie Korkowiczówny, których rodzice
mają duży browar na prowincji.

— Pamięta pani tę tłustą Korkowiczową, co
tu była w jesieni i chciała, ażeby jej córki uczyły
się malować pastelami? — rzekła panna Howard
do Madzi.

— Jest to pierwszy skutek tego, że niektóre
uczennice korespondują ze studentami — wtrąciła
panna Joanna.

Pannie Howard pożółkły włosy i poczerwie-
niała szyja.

— Jest to, widzi pani — rzekła do Magdale-
y — skutek tego, że niektóre damy klasowe sięgają
od poduszki uczennic i wykradają cudze listy.

— Mówię ci, Madziu — odparła Joasia, nie
atrząc na pannę Howard — że stracimy jeszcze
więcej pensjonarek i przychodnich, jeżeli zostanie
ı Lewińska... No i te osoby, które z pensji roznoszą
lotki po mieście...

Teraz panna Howard zwróciła się frontem do
anny Joanny i, patrząc na nią blademi jak lód oczy-
ıa, rzekła prawie basowym głosem:

— Masz pani słuszność... Osoby, które rozno-
zą plotki, powinny być wypędzone z pensji, jak te,
tóre nocami wałęsają się po restauracjach... Ja
temi osobami kolegować nie myślę...

Madzia zasłoniła uszy i uciekła z sypialni,
której na szczęście nie było nikogo ze służby.
rzypomniała sobie, że od paru dni coś nowego
luje się na pensji i że może być awantura. Mania
ewińska była już w Warszawie, lecz jeszcze mie-
zkała u znajomych, ze swym opiekunem, który
wa razy odwiedzał panią Latter. Widocznie pani
atter nie chciała przyjąć Mani, bo jednocześnie
an Władysław Kotowski onegdaj, wczoraj i dziś
rzybiegał do panny Howard, zapewne prosząc ją
poparcie.

Madzia miała proroczego ducha. W tej samej
owiem porze siedziała pani Latter w swoim gabi-
ecie, otoczona księgami i notatkami, układając plan,
o którego wchodziła Mania Lewińska i jej opie-

kun. Od kilku dni myśli przełożonej krążyły okoł
jednej idei, która nie dawała jej zasnąć wieczoren
gorączkowała w nocy, budziła przed świtem i pc
chłaniała uwagę przez cały dzień.

Pani Latter, przeglądając osobiste notatki, mó
wiła do siebie po raz setny: „Popełniłam błąd, poży
czając od Ady tylko 6,000 rubli; powinnam był
wziąć 10,000...

Niepotrzebnie ceremonjowałam się; Ada jes
tak bogata, że jej to różnicy nie zrobi... A dziś co?.
Liczyłam, że zostanie mi 2,400 rubli, tymczasem zc
stało ledwie 1,300, które muszę dać Kaziowi... Z
mieszkanie muszę zapłacić 1,500 — skąd?... Korkc
wiczówny ubyły (niewielka szkoda! urwanoby n
na nich sto rubli za półrocze...), a ile jeszcze ubędzi
przychodzących?... I to wszystko dzięki Mani!... Je
opiekun ma kosztowną wychowanicę!...

A teraz — co dalej?... Od Solskich nic ju
wziąć nie mogę... Hela jest u nich, ma widoki na So
skiego (czy się tylko nie łudzi?)... Ach nieostrożn
dziewczyna!... Temi pożyczkami, zaciąganemi u Ad
(po kilku tygodniach!), mnie szkodzi i może popsu
własne zamiary... Tak prosiłam ją: Helenko, bąd
oszczędna!... Zatem na Adę rachować nie mog
więc na kogo?... Rozumie się, że mam prawo, a na
wet obowiązek zwrócić się do Mielnickiego. Powien
mu wręcz: panie, wychowanicy twojej nie wydalaı
z pensji, bo mi jej żal; zwróć pan jednak uwagę, ż
przez nią poniosłam ciężkie straty. Nie mówię w t
chwili, jako pani Latter, ale — jako kierowniczk
instytucji społecznej, którą winniśmy wszyscy poc

rzymywać... Potrzebuję na rok pożyczki 4,000 ru-
ıli, dam sześć lub siedem procent, ale pan mi tej
umy dostarczy... Przemawiam śmiało, gdyż nie jest
o sprawa moja, ale publiczna...“

Nagle wstała od biurka i schwyciła się za
łowę.

— Ja chyba rozum tracę!... Co ja myślę?...
Przecież byłoby to gorsze od żebraniny, żebranina
pogróżkami... On, człowiek szlachetny, przywiąza-
y do mnie, co pomyśli?...

Przeszła się po gabinecie z zarumienioną twa-
zą i, wzruszając ramionami, szepnęła:

— Co mnie obchodzi, co on sobie pomyśli?...
łuszność jest za mną, a on jest tyle delikatny, że
ıi nie odmówi... Za wiele prawił o gotowości po-
więcenia się dla mnie — dodała z uśmiechem.

W tej chwili zapukano i, nie czekając na we-
wanie, weszła panna Howard.

„Znowu coś dramatycznego!“ — pomyślała
ani Latter, patrząc na nauczycielkę.

— Przychodzę w ważnej sprawie i... drażli-
ej — rzekła panna Howard.

— Widzę to i słucham.

— Pozwoli pani, że przedewszystkiem zapy-
ım: czy prawda, że pani nie chce przyjąć na pen-
ę Mani Lewińskiej?

Pani Latter zmarszczyła brwi, ale na jej twa-
zy nie było gniewu.

— Błagam panią — mówiła panna Klara —
e gub tego dziecka... Korespondencja z panem Ko-
wskim, jak pani wie, była całkiem niewinna i ogra-

nicza się do dwu listów, a raczej... artykułów... Je
den o Komedji Nieboskiej, drugi o Irydjonie... Moż
tam są uboczne wzmianki, ale pamięta pani, jaki
one tonem były pisane?... Gdyby pani wydaliła Ma
nię, biedny chłopak odebrałby sobie życie... Tak
zdolny... uczciwy... Czeka u mnie na wyrok pani...

— Ach, pan Kotowski jest na górze?... O trze
ciej miał u mnie zobaczyć się z opiekunem
Mani — rzekła pani Latter.

— Właśnie na to czeka w moim pokoju i o trze
ciej tu będzie.

— Zapewne... zobaczymy... — odpowiedział
pani Latter. — Jeszcze waham się, ale... jeżeli pan
zna tego młodzieńca i ręczy, że się to nie powtórzy.

Panna Klara spostrzegła jakiś szczególny ry
w wyrazie twarzy pani Latter; nie zważając jedna
na to, podała przełożonej rękę i rzekła tonem sta
nowczym:

— Pani, wzamian za zatrzymanie Lewińskie
znajdzie pani we mnie najwierniejszą przyjaciółkę.

— Będę miała zupełną nagrodę — odparła pan
Latter.

— Dam pani zaraz tego dowód, a nawet dwa
Naprzód Malinowska od wakacyj chce otworzy
własną pensję, ja zaś będę się starała skłonić ją d
innej kombinacji...

Pani Latter pobladła i machinalnie uścisnęł
rękę panny Howard.

— Powtóre... powtóre powiem to, czego w zad
nym innym razie nie powiedziałabym... Idąc tera
do pani, miałam zamiar postawić kwestję tak: niec

ani wybiera pomiędzy mną a Joanną... Ale w tej
iwili postawię ją inaczej...

Zbliżyła się do pani Latter i, patrząc jej w oczy,
:ekła zwolna:

— Niech pani uwolni Joannę... Pobyt jej na tej
ensji jest bardzo szkodliwy...

Pani Latter usiadła na kanapce.

— Czy... czy pani słyszała co? — rzekła pół-
osem.

— Trudno nie słyszeć, jeżeli o czemś mówią
 mieście i na pensji, tak dobrze nauczycielki, jak
użba, a nawet uczennice...

Umilkła i patrzyła na przełożoną.

— Ach, głowa moja, głowa!... — szepnęła pani
itter, ściskając rękoma skronie. — Czy pani, panno
aro, miewa kiedy takie migreny, że zdaje się, iż
mo myślenie sprawia ból fizyczny?...

Zamknęła oczy i siedziała, myśląc, że chyba
 długo ciągnie się wizyta panny Howard. Dlaczego
o nie dzwoni, nie przychodzi i nie mówi o innych
eresach, choćby o swoich własnych?

— Pani nie jest zdrowa — odezwała się panna
ara.

— Już zapomniałam, jak wygląda zdrowie...

XIII.

Stary i młody tego samego gatunku.

Do gabinetu zadzwoniono, i panna Klara opu-
ła gabinet. Pani Latter głęboko odetchnęła, zoba-

czywszy, jak rozpływa się między portjerami wysoka figura nauczycielki.

„Mielnicki!“ — pomyślała, słysząc ciężkie tupanie i zdejmowanie dużego futra w przedpokoju.

Jakoż wszedł jegomość otyły i rumiany w jasnych spodniach i rozpiętym surducie, z grubą dewizką na kamizelce i grubą fałdą na karku.

— A cha, cha!... — zaczął jegomość, ocierając siwe wąsy z mrozu. — Rączki całuję ubóstwianej pani... cha, cha!... O, cóż to znaczy?... Mizernie moja pani wygląda... Nie zdrowiśmy, co?... Do licha, trzy dni patrzę na panią i codzień widzę zmianę... Gdybym to ja mizerniał, byłoby, mościa dobrodziejko zrozumiałe: zwyczajnie zakochany. Ale pani...

Pani Latter uśmiechnęła się i, patrząc na niego z kokieterją, rzekła:

— Mizernieję, bo nie sypiam... Nie mogę spać...

— O, to niedobrze. Gdybym ja nie sypiał... A radziła się też pani kogo?

— Nie wierzę w lekarstwa.

— Jeszcze jedna cnota! — zawołał jegomość gwałtownie całując ją po rękach. — A ja myślałem, że w takim skarbie, jakim bez zaprzeczenia jesteś pani dobrodziejka, że w takiej skarbnicy zalet nie dopatrzę już niczego nowego, chyba — po ślubie.

— Znowu niedorzeczność! — przerwała pani Latter, przeszywając go spojrzeniami, pod któremi jegomość wił się, jak w ogniu.

— Nie mogę być dorzecznym, kiedy mi serce, mościa dobrodziejko, wysycha... Ale mniejsza o mnie... Otóż, skoro pani nie wierzysz w doktorów

ı pani zapiszę lekarstwo na bezsennoćś. Ale ręka słowo, że pani spełnisz zalecenia.

— Zobaczę, jeżeli nie będą bardzo złe...

— Będą wyborne! Bo to moje lekarstwo, mocia dobrodziejko, składa się z dwóch doz, jak piułki Morissona.

— A więc?...

— A więc radykalnem lekarstwem na bezsenność będzie dla pani — wyjście zamąż... To radyalne... Bo pani, mościa dobrodziejko, przeszkadzają pać jej własne oczy, przy których, jakem uczciwy, ıógłbym czytać gazety pociemku. Tak świecą palą...

— A to drugie lekarstwo?

— To drugie, tymczasowe, pozwoli pani, że zyślę dziś... Mam kilka butelek wina, tak doskonago, że nie znajdziesz pani nawet u Fukiera... Jeden eliszek do poduszki i bywaj zdrów!... Armatami e zbudzą pani do rana...

Rada ta zrobiła na pani Latter mocne wrażenie.

— Tylko, proszę, niech pani prezenciku nie oduca, bo będę uważał za chęć zerwania stosunku...

— Ależ nie odrzucam, przyjmuję i dziś jeszcze róbuję—odpowiedziała ze śmiechem pani Latter, dając mu rękę, którą znowu ucałował.

„Gdybyś w tak natarczywy sposób zmusił mnie przyjęcia pożyczki, o, to byłbyś wielbiciel!... oższy od Romea“... — pomyślała pani Latter, dojąc głośno:

— Zdaje się, że wszedł do przedpokoju ten lody człowiek...

Jegomość nagle zasępił się.

— A, więc przyszedł?... Phy, widzę chwa chłopak. Bo ja, kiedy tu szedłem, byłem tak wście kły, że mówię pani dobrodziejce, bałem się sameg siebie... Dopiero jej słodki obraz...

— Zostawię panów — rzekła pani Latter, wy rywając rękę z uścisków jegomościa. Potem zadzwo niła, a gdy ukazał się Stanisław, zapytała:

— Czy jest ten młody pan?

— Pan Kotowski, jest.

— Poproś.

Pani Latter znikła w dalszych pokojach, a p chwili do gabinetu wszedł student. Był blady, mi obficie wypomadowaną głowę, na której mimo t podnosiło się kilka wicherków gęstej czupryny. Miętosząc w ręku czapkę, kłaniał się i chrząkał.

Otyły jegomość, którego rumieńce miały tera barwę popielatą, podniósł się z kanapy, wsadził ob ręce w kieszenie spodni i przypatrywał się figur studenta, oglądając pokolei jego wytarty mundurek mizerną twarz i wypomadowane włosy. Nareszc odezwał się grzmiącym głosem:

— No, co mi pan powiesz?

— Pan mnie wezwał...

— Ja go wezwałem, paradny sobie!... Pa wiesz, przed kim stoisz?... Jestem Mielnicki, Izydo Mielnicki, opiekun i wuj Mani... panny Marji Lewi skiej... Cóż pan na to?...

Student pochylił głowę i machnął ręką, ale mi czał.

— Widzę, że pan wymowny jesteś tylko w listach do pensjonarek.

— Niekoniecznie... — odparł student, ale pomiarkowawszy się, milczał dalej.

— Zgubiłeś acan dziewczynę...

Teraz młody człowiek nagle podniósł głowę kłaniając się niezręcznie, rzekł:

— Proszę pana... o rękę panny Marji...

Znowu ukłonił się i przejechał palcami po upomadowanej czuprynie, na której utworzyło się kilka połyskujących smug i jeszcze jeden wicherek.

— Czyś pan oszalał?... — wykrzyknął jegomość. — A cóżeś to za jeden?

Młody człowiek podniósł głowę.

— Jestem Kotowski, niegorszy od Mielnickich... A w jesieni już będę lekarzem.

— Głupia profesja!

— Ha, proszę pana, bywają rozmaite... Nie każdy ma folwark.

— Ale bardzo wielu reflektuje na cudzy.

Teraz student zhardział.

— Proszę pana, nie ja reflektuję na folwarki, tem mniej na pańskie. Wiem, że panna Marja jest uboga, i z nią się żenię, nie z folwarkiem.

— A jak ja nie pozwolę?

— Przecież ja się ożenię z panną Marją...

Stary szlachcic kręcił głową.

— Proszę pana — rzekł — jak pan możesz bałamucić dziewczynę — sam utrzymania nie mając.

— Ale będę miał. Pojadę na jakiś czas za granicę...

— Fiu!... a skąd pieniążki?

— Z tej samej kasy, która utrzymywała mni w gimnazjum i w uniwersytecie... — odparł ziryto wany student.

Stary jegomość zaczął chodzić po gabinecie śpiewając: ta, ta, ta!...

— Pojedzie za granicę... pieniędzy nie ma... ta ta, ta!... — mruczał szlachcic. — No — rzekł nagle — a jak nie pozwolę wyjść Mani za pana?

— Mamy czas.

— Ale... jeżeli ja wypędzę ją z domu na czter wiatry?...

— Musi dać sobie radę. Zresztą ja od wakacy mogę zacząć praktykę.

— I truć chorych...

— Dlatego wybieram się za granicę, ażeby ich nie truć.

— I ażeby mi potem zabrać dziecko, które ja wychowałem, nie pan, panie... panie... — wybuchną szlachcic.

— Kto wie, co jeszcze będzie. Może ja i panna Marja wywdzięczymy się za to, co pan dla nie zrobił.

Jegomość zamyślił się.

— Ile pan masz lat? — spytał po chwili.

— Dwadzieścia pięć.

— Dwa lata za granicą!... — Całe szczęście że przez ten czas zapomnisz pan o dziewczynie, a ona o tobie.

— Nie.

— Co to jest nie?... A jak nie skończysz tam kursów?

— Skończę.

— Warjat pan jesteś!... Możesz przecie umrzeć.

— Nie umrę.

— Kyrje elejson! — zawołał szlachcic, podnosząc ręce do góry. — Gadasz tak, jakbyś z Panem Bogiem zrobił kontrakt. Każdy może umrzeć...

— Ale ja nie umrę, dopóki nie ożenię się z panną Marją — odpowiedział student z pewnością, która zastanowiła Mielnickiego.

Stary chodził po gabinecie i parskał jak koń. Lecz nie mógł znaleźć argumentu przeciw człowiekowi, który z niezachwianą wiarą twierdził, że pobędzie kończyć edukację za granicę, nie umrze i ożeni się z panną Marją.

— Z czego się pan utrzymujesz?

— Daję lekcje... Trochę piszę...

— Piękne teraz rzeczy piszecie!... A ile masz z tych lekcyj?

— Mam dwadzieścia pięć rubli miesięcznie.

— I z tego żyjesz, płacisz komorne?... Cha, cha, cha!...

— Nawet bywam w teatrze, jeżeli mi się podoba.

Stary szlachcic precz chodził, ruszał ramionami i złościł się. Wreszcie znowu zapytał:

— Gdzie pan jadasz?

— Rozmaicie. U Honoratki, pod Papugą, w taniej kuchni, jak można.

— I wyjedziesz za granicę.

— Wyjadę.

— Apopleksja mnie zabije przez tego półgłówka!—zawołał jegomość. I nagle, zatrzymawszy się przed studentem, rzekł:

— Ja z panem skończę w dwóch słowach... Przyjdź acan jutro na obiad do Europejskiego hotelu, o dwunastej...

— Nie będę mógł o dwunastej, mam klinikę.

— Więc o której?

— Po pierwszej.

— No, to... przyjdź trochę po pierwszej, do Europejskiego hotelu, rozumiesz acan?... Ja panu muszę wybić te brednie z głowy... Nie ma całych portek i wyjeżdża za granicę... cha, cha, cha!... Chce się żenić i nie umrze!... No, wiecie państwo, jak żyję nic podobnego nie słyszałem. Bądź acan zdrów, a nie zapomnij zaraz po pierwszej, bo nikt dla twojej przyjemności głodem morzyć się nie będzie... Bądź zdrów.

Z temi słowy, nie patrząc na studenta, podał mu dwa tłuste palce, a trzecim zlekka uścisnął go za rękę.

Gdy Kotowski opuścił gabinet, weszła uśmiechnięta pani Latter i, obrzucając szlachcica powłóczystem spojrzeniem, rzekła:

— Dobre pan jednak musiał powiedzieć kazanie temu młodzikowi, bo aż do mego pokoju dolatywały pojedyńcze wyrazy...

— Gdzie tam, mościa dobrodziejko! Owszem, teraz zrozumiałem, że taka bestja, taki dziki zwierz,

nógł dziewczynie zawrócić głowę. Imaginuj sobie, ›ani dobrodziejko, że on gada o przyszłości, jakby niał umowę z Panem Bogiem! Pojadę, mówi, za granicę, nie umrę, mówi — słyszała pani?... i jeszcze, nówi, ożenię się z panną Marją. Gadajże z takim!... Słuchając tego, doznawałem, powiadam pani dobrodziejce, obawy, poprostu: lękałem się... Bo jedno dwojga: albo ten człowiek bluźni i na nas wszystich sprowadzi pomstę bożą, albo... albo on ma taką viarę, która góry przenosi. A jeżeli, proszę pani, on na taką wiarę, i on ją ma, ja to czułem, słuchając, więc... co my jemu możemy zrobić?... Wobec taich ręce opadają, bo człowiek widzi, że on zrobi, o zechce, i jeszcze innych pociągnie za sobą.

Pani Latter rumieniec wystąpił na twarz i błynęły oczy.

— O, tak — odpowiedziała — kto ma wiarę, emu nic się nie oprze...

Szlachcic strzelił z palców i nagle, chwytając bie ręce pani Lattei, zawołał:

— Złapałaś się, mościa dobrodziejko! Otóż ja, choć niezgrabny i... trochę starszy od tego smaracza, mam wiarę... Musisz wyjść za mnie, a nie ryjdziesz dobrowolnie, to cię porwę, jak Rzymianie abinki... Nie uśmiechaj się pani... Palmerstonowi, hoć był o dwadzieścia lat starszy ode mnie, wytozyła jedna, mości dobrodzieju, proces o... tego... Więc jeszcze ze dwadzieścia lat mamy przed sobą Bóg mi świadkiem, zrobilibyśmy głupstwo, nie korzystając...

Pociągnął ją na kanapkę i, pomimo lekkieg oporu, objął wpół.

— Nie traćmy czasu, mościa dobrodziejko, b to grzech. Ja marnuję się, wreszcie i gospodarstw nie tak idzie, jak powinno; a pani tracisz zdrowie wdzięki, nawet sen, borykając się z tą pensją, któr ci nic dobrego nie przyniesie. Wierzaj mi, nic dobre go... Wiem, co gadają na mieście...

Pani Latter zbladła i zachwiała się. Star szlachcic oparł jej głowę na swojem ramieniu i mó wił:

— Rzuć pensję od wakacyj!... Córkę wydam zamąż; wynajdziemy jej takiego, jak Kotowski, c to pcha się bestja naprzód, nie pytając... Syn weźmi się do roboty, to mu zaraz wywietrzeje z głowy ele gancja... A więc raz, dwa, trzy... i — zgoda!...

— Nie mogę... — szepnęła pani Latter.

— Co to jest nie mogę? — oburzył się szlach cic. — Kobieta tak zbudowana, jak pani... Cóżtc masz obowiązki, męża?...

Pani Latter wstrząsnęła się i, podniósłszy n niego oczy pełne łez, szepnęła:

— A gdyby... a gdyby?...

— Gdybyś miała męża?... — odparł nieco zdzi wiony. — No, to pal go sześć!... Mąż, który prze całe wieki nie pokazuje się, nie jest mężem. Wreszcie cóż to, niema rozwodów?... A jak będzi trzeba, to potrafię strzelić w łeb... Tylko powied szczerze co jest?...

Pani Latter, płacząc, schwyciła go nagle za rę kę i serdecznie ucałowała.

— Nie dziś — rzekła — nie dziś!... Opowiem iedy indziej... Dziś niech mnie pan już o nic nie pya — mówiła, drżąc i szlochając. — Niktby nie przyuścił, niktby nie uwierzył, jaka jestem nieszczęśliva i opuszczona... Krąży około mnie, bo ja wiem, hyba ze sto osób; a nie mam żywej duszy, której ıogłabym powiedzieć: patrz, ile ciężarów i cierpień źwigać musi jedna kobieta...

Szlachcicowi poczerwieniały oczy.

— Widzi pan — mówiła, patrząc na niego obawą — ledwie pan do mnie serdeczniej przemóił, a już płacę za to niepokojem... Nie mnie myśleć małżeństwie!... Ach, ale gdyby pan wiedział, jak otrzebuję człowieka, przed którym mogłabym się oskarżyć choć... czasami... Widzi pan, ucieknie pan de mnie i już na schodach powie sobie: poco ja ę wdałem z tą nieszczęśliwą?...

Mielnickiemu łzy spływały na siwe wąsy. Odınął się od pani Latter, wziął ją za ręce i rzekł:

— Przysięgam na Boga, że nic nie rozumiem; e tak mówisz pani do mnie, że wolałbym, ażeby ıi nóż w serce wbili i jeszcze świdrowali nim... Do cha, przecie zbrodni nie popełniłaś?... Mów-że ani!...

— Zbrodni?... — powtórzyła pani Latter. — kąd podobne myśli. Jeżeli nieszczęście i praca jest ɔrodnią, no to tak, ale nic innego.

— At! — machnął szlachcic ręką — naczytał ę człowiek romansów i coś mu się snuje po głowie. /ybacz, mościa dobrodziejko... ale, jeżeli sumienie asz czyste...

— Mam, niech mnie Bóg sądzi! — odparła, kładąc rękę na sercu.

— Cha, cha, cha!... — zaśmiał się stary jegomość. — No, więc poco te łzy i trwoga?... Nie pytam się o nic, bo mi pani sama kiedyś opowiesz, c cię boli, ale... Wstydź się, kobieto małej wiary!... T pani myślisz, że tylko takie smyki, jak Kotowski mają odwagę?... Tylko oni mogą powiedzieć: ni umrę, dopóki nie zrobię tego a tego?... A toż chyb Opatrzności boskiej nie byłoby na świecie, gdyb kobieta nieszczęśliwa i jeszcze taka, jak pani, ni miała komu zaufać!... Pluń na zgryzoty, mościa dobrodziejko; dopóki ja żyję, włos nie spadnie ci z głowy... Wyjdziesz za mnie, czy nie wyjdziesz, zależ od ciebie... Ale od czasu, kiedyś zapłakała w moje obecności, nie powiesz, że jesteś sama... Ja z tobą!.. serce moje, ręka, majątek... wszystko należy do ciebie... Potrzeba ci czego, mów... Zrobię, jak zbawieni pragnę. No?...

Pani Latter siedziała ze spuszczonemi oczyma Wstyd ogarnął ją na myśl, że nie dawniej jak prze godziną, miała zamiar pożyczyć od tego człowiek 4 000 rubli, wzamian za utrzymanie na pensji jeg wychowanicy. Skąd jej przyszedł taki szalony projekt!...

— Może pani potrzebujesz pieniędzy — bada jegomość — bo nieraz pieniądz jest źródłem najcięższych kłopotów?... Rozkaż tylko: ile chcesz... Dwieście, pięćset rubli, a w razie wielkiej potrzeby, t i tysiąc znajdę na usługi...

Silny rumieniec wystąpił na twarz pani Latter

)la tego człowieka tysiąc rubli stanowi poważną umę, a ona chciała wydobyć cztery tysiące...

— Więc ile? — nalegał szlachcic — bo czuję, e na dnie zgryzot leżą pieniądze, niewarte jednej zy pani, a nie dopiero bezsennych nocy.

Pani Latter podniosła głowę.

— Pieniądze mam — rzekła — ale często brak ıi rady, a choćby tylko widoku życzliwego człowiea. Są to rzeczy gorsze, aniżeli niedostatek...

— Żartuj z tego pani i wiedz, że masz we mnie ługę, który w ogień i wodę pójdzie za tobą. Nie naleam dziś, bo pani sobie nie życzysz, ale proszę o jedo: gdy będziesz w potrzebie, choćby nawet chodziło... no, już nie wiem o co, odwołasz się do mnie.)om mój wystarczy dla nas dwojga, tylko porzuć pensję, która ci życie zatruwa. Im prędzej ciśniesz ı, choćby ci nie zostało na owinięcie palca, tem leiej zrobisz.

Podniósł się z kanapy, chcąc już iść.

— A gdybym kiedy — rzekła smutno pani Latr — gdybym kiedy naprawdę zapukała do drzwi ańskich?... Bo przecież mogę wszystko stracić...

— Trać, aby prędzej i przyjeżdżaj — odparł.— iedykolwiek zajedziesz: w dzień, czy w nocy, zaaniesz gotowe mieszkanie... Nie chcesz być moją oną, możesz jednak być panią mego domu i gospoarstwa, które potrzebuje kobiecej ręki. Na pensję uń... dość tych borykań się, przy których tracisz en, a zapewne i apetyt!

Ucałował jej ręce i, biorąc za klamkę drzwi, odał:

— Pamiętaj pani: masz swój własny dom
Ciężką krzywdę zrobiłabyś staremu, nie rachując
na mnie jak na Zawiszę. Nietylko tacy smarkacze
jak pan Kotowski, mają wiarę... To bestja chwat!..
Zabierze mi Manię, jak amen w pacierzu... A wino
zaraz przyślę i proszę pić codzień...

— Do widzenia — rzekła pani Latter, ściskając
go za rękę.

— Upadam do nóg i... proszę pamiętać... To
com powiedział, warte jest przysięgi, i nie zmienię
słowa, tak mi Boże dopomóż.

XIV.

Lekarstwo.

Mielnicki opuścił gabinet po czwartej. Słońce
zaszło, i tylko różowy blask, odbity od śniegów pra
skich, nieco oświetlał pokój, a w nim panią Latter.
Stała na środku, ręką podparłszy brodę, i widać by
ło zdziwienie w jej pięknych oczach, na których
jeszcze łzy nie obeschły.

Czuła, że przed chwilą coś zaszło, ale jej myś
zmęczona nie umiała tego sformułować. Zdawało
jej się, że ona dotychczas nie żyła dla siebie, tylko
dla innych, zawsze dla innych, i oto dziś przyszed
stary człowiek, prawie komiczny ze swemi oświad
czynami, który wyraźnie powiedział, że — chce żyć
dla niej.

Czy podobna, ażeby ktoś mógł się nią intere
sować?... Czy możliwe, ażeby znalazł się człowiek

tóry nietylko nie wymagał usług od niej, ale jeszcze
hciał sam jej służyć?... Przecież to ona służyła
'szystkim: pierwszemu mężowi, drugiemu, uczen-
icom, nauczycielom, służbie, a nadewszystko syno-
'i i córce.

I oto dziś, kiedy już dawno skończyła lat
zterdzieści i minęły jej wdzięki, kiedy ją wszyscy
puszczają, albo wyzyskują i dręczą, zjawia się czło-
'iek, który jej mówi... Co on jej mówił?...

Panią Latter zawiodła pamięć, może skutkiem
zruszenia. Nie przypomina sobie, co mówił stary
zlachcic, ale było to coś takiego, jakgdyby czło-
'iekowi, osaczonemu ze wszystkich stron przez nie-
ezpieczeństwa, otworzono wyjście...

Pani Latter rozejrzała się po gabinecie. Jest
'lko troje drzwi, a przecie gotowa była przysiąc,
e przed chwilą były tu czwarte drzwi. Ależ, natu-
ılnie, że były, tylko zamknęły się teraz, po odej-
:iu Mielnickiego.

Chwyciła się za głowę (od pewnego czasu był
u niej ruch nałogowy) i usiłowała coś sobie przy-
mnieć, ale napróżno.

„Aha! już wiem — pomyślała. — Miałam od
ielnickiego pożyczyć cztery tysiące rubli...“

— Wolałabym umrzeć!...—szepnęła po chwili.

Jedna cyfra pociągnęła za sobą cały szereg in-
ych cyfr. Pani Latter usiadła przy biurku i po ty-
ączny raz, pukając ołówkiem w papier, bo już nie
ożna było pisać, rachowała:

„Do wakacyj potrzebuję na samą pensję 21.000
bli... Dług w banku 1.000 rubli... A Hela?... A Zgier-

ski?... Od uczennic nie zbiorę nawet 20.000 rubl
więc gdzie reszta?...“

Zapalono światło. Od piątej zaczęli schodzi
się interesanci: rodzice pensjonarek i przychodnic
jakieś dwie damy po składkę na odnowienie kościo
ła, nauczyciel, Angielka na miejsce pani Fantoch
i znowu dwie damy z biletami na bal dobroczynny

O siódmej wizyty skończyły się, a pani Latte
była tak zmęczona, że z trudnością powstrzymywa
ła się od łez.

Wszedł Stanisław i przyniósł drewnian
paczkę.

— Od pana Mielnickiego — rzekł.

— Aha! dobrze...

Porwała paczkę i wyniosła do sypialni. No
życzkami przecięła sznur i podważyła deskę, po
którą ukazały się butelki, okryte pleśnią, grubą, ja
kożuch. Z gorączkową niecierpliwością zawadził
nożyczkami o jeden korek. Wyszedł i pani Latte
uczuła przyjemny zapach.

— Musi być dobre wino — szepnęła.

Wzięła szklankę z umywalni, nalała blisk
trzecią część i chciwie wypiła.

— Mam po tem spać?... — rzekła. — Ależ t
zupełnie lekkie wino...

Wnet jednak spostrzegła, że opuszcza ją zmę
czenie; owszem uczuła pełność myśli, które rozwi
jały się szybko i logicznie. Przypomniała sobie, ż
Mielnicki z naciskiem radził rzucić pensję i wyje
chać na wieś, do niego.

„Zamąż wyjść nie mogę — myślała — chy

›aby... Ale kto mi o tem doniesie, gdyby nawet tak
;ię stało!... Zamąż wyjść nie mogę, ale służyć mogę;
›rzecież to starzec i ja niemłoda... Ach, czuję w so-
›ie sto lat i śmiech mnie bierze, kiedy pomyślę, że
niałam dwu mężów...

O, ta pensja... Czy może być na świecie więk-
za niewola i przekleństwo, jak pensja!... A Hela?...
. Kazio?... No, Hela wyjdzie zamąż, Kazio ożeni się...

A ze mną co będzie?... Jeżeli on i ona dziś ob-
hodzą się bez mego widoku, to czy wówczas będą
a mną tęsknili?... Tak naiwną nie jestem! Dzieci
osną dla świata, nie dla rodziców; wszakże i ja ob-
hodziłam się bez matki.

Tak, dzieci dopóty są dobre, dopóki małe; gdy
odrosną i uwiją sobie własne gniazda, zajmują się
wemi pisklętami, nie starymi... A w takim razie na
ewno będę musiała szukać przytułku u Mielnickie-
o i zdaje się, że tylko on mnie nie zawiedzie. Bez
›dziców można się obejść, ale bez rumianku, bez
awy z kożuszkiem, świeżych bułek i masła trud-
o" — zakończyła z uśmiechem.

W kilka godzin później panią Latter znowu
garnęło znużenie i troska. Przed wakacjami, a na-
'et wcześniej, musi dopożyczyć ze 4.000 rubli. To
ırmo! łudzić się nie można, bo ciągle przypomina-
o tem rachunki dzienne, tygodniowe i miesięczne.
annie Marcie trzeba co wieczór dawać pieniądze,
ekarzom i rzeźnikom co poniedziałek, nauczycie-
m i służbie co pierwszego, gospodarzowi i wierzy-
elom co termin. Cóżby to więc była za okropna
ıwila nie mieć pod ręką paru tysięcy rubli!...

Około jedenastej pani Latter znowu napiła si wina i położyła się. Sen istotnie zaczął ją opanowywać, a jednocześnie znalazł się tak dawno poszukiwany środek ratunku.

„Wezmę pieniądze od Zgierskiego — myślała. — Będzie się krzywił, ale jeżeli obiecam 15% ustąpi... Przecież kiedyś moje kłopoty muszą si skończyć... Pensję podźwignę, przybędzie mi uczennic, Hela wyjdzie za Solskiego... Wówczas ona zajmie się Kaziem, a ja cały dochód obrócę na spłaceni długów... Spłacę w ciągu paru lat, a wtedy... Acl jaka będę szczęśliwa!..."

„Błogosławiony człowiek z Mielnickiego!" — myślała pani Latter, czując, że zasypia... Poście która przez tyle bezsennych nocy była dla niej na rzędziem męczarni, teraz wydawała się dziwni miękką. Już nietylko ugina się pod ciężarem j ciała, ale zapada i leci w głębinę, ruchem niewypo wiedzianie przyjemnym.

„Gdzie ja tak lecę? — mówi, uśmiechając si pani Latter. — Aha, lecę w prze... w przyszłość" — poprawia i czuje, że ten wyraz nie ma sensu. Pote widzi, że z wyrazu „przyszłość" robi się jakieś ba jeczne zwierzę, które unosi ją do krainy, gdzie r dzą się i dojrzewają rzeczy przyszłe. Pani Latt rozumie, że jest to senne marzenie, lecz, nie moga mu się oprzeć, godzi się na oglądanie przyszłości.

I otóż widzi się kobietą zupełnie swobodn Jest na ulicy sama, bez grosza, w jednej sukni; le zarazem czuje bezdenną i bezbrzeżną rozkosz, l już nie ma pensji!... Już nie troszczy się, że był z

biad, że któraś uczennica zachorowała, że damy lasowe posprzeczały się, a jeden z nauczycieli miał iezadowoloną fizjognomję... Już nie lęka się, że ta ta pensjonarka może nie zapłacić, nie blednie na vidok gospodarza domu, nie wstrząsa się, usłyzawszy pannę Martę, mówiącą: „proszę pani, jutro zeka nas duży wydatek"... Nic z tego wszystkiego; ic już jej nie gniewa, nie trwoży, nie paraliżuje włazy myślenia...

Teraz dopiero widzi: czem była pensja? Była) okropna machina, która codzień i co godzinę, rzez kilkanaście lat, wbijała jej w ciało szpilki, woździe, noże... I za co? Za to, że podjęła się uczyć udze dzieci, ażeby wychować własne!

Wielki Boże, czy podobna, ażeby człowiek, naywający się matką i przełożoną pensji, cierpiał atusze, jakich nie doświadcza żaden zbrodniarz?... . przecie tak było i działo się w sposób bardzo proty: wszyscy ją obchodzili, więc cierpiała za 'szystkich. Cierpiała za swoje dzieci, za cudze zieci, za damy klasowe, za nauczycieli, za służę — za wszystkich... Oni byli obowiązani tylko racować przez pewną liczbę godzin na dzień, a ona ıusiała troszczyć się o ich żywność, mieszkanie, drowie, zapłatę, naukę i znośne stosunki między niıi. Oni wiedzieli, że w oznaczonym terminie każy musi otrzymać, co mu się należy, ale ona — nie 'iedziała: skąd na to weźmie? Uczennice musiały .dać regularnie, ale ich opiekunowie nie troszczyli ę o regularne płacenie należytości. Służba ociąała się z robotą, ale spieszyła po odebranie pensji.

Nauczyciele i damy klasowe surowo krytykowal najmniejszy nieporządek w zakładzie, ale sami an myśleli o pracy nad porządkiem.

I to wszystko było, naprawdę było?... Teg istotnie żądano od kobiety, obarczonej dwojgien dzieci?... Tak było i tego od niej żądano. I ja t wytrzymałam przez jeden tydzień?... Wytrzymy wałaś przez kilkanaście lat. I nikt się nade mn nie ulitował, nawet nikt nie wiedział, jak pracuj i cierpię?... Nikt nie domyślał się, nawet nie pró bował odgadywać, co cierpisz; owszem — zazdro szczono ci szczęścia i sądzono niemiłosierniej aniżel zbrodniarzy. Bo tamci popełnili występek, gdy t nie masz żadnej winy, tamci bronią się i są bronieni gdy tobie nawet poskarżyć się nie wolno.

No, ale dziś już jest swobodna. Ma prawo że brać, upaść na ulicy, pójść do szpitala, nawet — umrzeć gdzieś pod bramą, lecz z tem słodkien uczuciem, że jest swobodna, że oderwały się nieprawdopodobne ciężary, miażdżące ją przez kilkanaście lat!... Jest-że to powtórne urodzenie, czy zmar twychwstanie?

I kiedy tak nasyca się swobodą, kiedy tak to nie w niej razem z miękką pościelą, nagle — widzi że ktoś zabiega jej drogę i w brutalny sposób chc zawrócić ją na pensję... Na pensję?... Tak. I t robią jej własne dzieci: Kazimierz i Helena! Milcza lecz ich twarze są surowe, a spojrzenia pełne wymówek...

„Dzieci moje... dzieciny moje... wy chyba ni wiecie, ile ja wycierpiałam na pensji?“...

„Nam potrzeba pieniędzy... dużo pieniędzy“...

„Ale, bo wy nie wiecie... ja wszystko przed vami ukrywałam... Wy przecie nie mielibyście serca kazywać matkę drugi raz na powolne konanie... ;ycie wam oddam, ale oszczędźcie mąk, na jakie nie kazałby mnie najokrutniejszy tyran“...

„Pieniędzy... nam potrzeba pieniędzy“...

Pani Latter budzi się i siada na łóżku, szlohając.

— Dzieci — mówi — to niepodobna!...

Przypomina je sobie, kiedy były małemi, słyzy ich cienkie głosiki i widzi łzy, które wylewały ad martwym kanarkiem.

— Dzieci moje?... powtarza już trzeźwa, cierając oczy.

Zapala świecę. Jest dopiero pierwsza po półocy.

— Ach to wino! — szepce. — Jakież ono kropne sny sprowadza.

Gasi świecę i kładzie się znowu, a stroskana ıyśl jej waży się między dwoma pytaniami:

„Co jest lepsze: czy wcale nie spać, czy mieć .kie straszne sny?“...

I w tej samej chwili doznaje nieprawdopodobego uczucia, w jej sercu budzi się coś, jakby nieıęć, czy żal do dzieci.. Czego nie zrobiło kilkana:ie lat na jawie, zrobił sen...

— Czy to podobna? — szepce.

A przecie tak jest: senne marzenie powiedzia-, że mogłaby być, nawet dzisiaj, swobodną, gdyby

nie dzieci i — na jej duszę upadł jakiś chłód i cie w którym na dzieci spojrzała z nowego punktu.

Nie były to już „dzieci“. Przestały niemi by w rzeczywistości oddawna, a w jej sercu prze chwilą, w czasie snu. Były to jeszcze osoby uk chane, bardzo ukochane, ale już dorosłe, które nast wały na jej swobodę i spokój, i przeciw którym kto wie, czy nie należałoby się bronić?...

Na drugi dzień pani Latter zbudziła się oko ósmej rano, rzeźwa i spokojna. Ale pamiętała sw sen i czuła w sercu jakby krople lodu. Zdawało j się, że wylała nad sobą o jedną łzę za wiele, że łza upadła na dno jej duszy i zlodowaciała.

To też na jej twarzy nie było widać nerw wego niepokoju, który dręczył ją od kilku tygodn ale — chłód i jakby zawziętość.

W ciągu następnych paru dni uczennice wr ciły, z wyjątkiem czterech przychodnich, i rozp częły się lekcje. Na pensji było spokojnie, tylk pewnego razu panna Howard, wciągnąwszy Madz do swego pokoiku, rzekła z zarumienioną twarzą:

— Panno Magdaleno... Przysięgnijmy sobie, ż uratujemy panią Latter!...

Madzia spojrzała na nią zdziwiona.

— Pani Latter — ciągnęła uroczyście pan Klara, wznosząc palec do góry — pani Latter, szlachetna kobieta. Wprawdzie dawne przesąd walczą w niej z nowemi ideami, ale postęp zw cięży...

Madzia była coraz mocniej zdziwiona.

— Nie rozumiesz mnie pani?... Nie będę w

ładała mego poglądu na ewolucję, jaka dokonywa
ię w mózgu pani Latter, bo zaraz muszę iść do kla-
y, ale zacytuję dwa fakty, które powinny rzucić
rzed panią światło...

Panna Howard przez chwilę zawiesiła głęboki
contralt, a widząc, że jej słowa wywołują dosta-
eczny efekt, mówiła dalej:

— Wiesz pani, że Mania Lewińska została
rzyjęta na pensję...

— Jest tu przecie od onegdaj...

— Tak, ale — mnie zawdzięcza, że jej nie wy-
lalono. Prosiłam za nią pani Latter, usłuchała i —
ależy jej się moja wdzięczność. A ja umiem być
vdzięczna, panno Magdaleno...

Teraz Madzi przyszło na myśl, że podobny
łos już gdzieś słyszała... Ach, tak!... podobnym
łosem przemawia na scenie jeden z aktorów tra-
icznych, i może dlatego wydało się Madzi, że panna
Klara jest w tej chwili bardzo tragiczna.

— A czy wiesz pani o tej... tej... Joannie?... —
iągnęła dalej panna Howard.

— Wiem, że wczoraj nie chciała ze mną mó-
vić, a dziś nie przywitała się, co mnie zresztą mało
bchodzi — odpowiedziała Madzia.

— Wczoraj pani Latter zawiadomiła tę... damę
klasową, tę... naszą koleżankę... (ach, wstrząsa się
cała moja istota!...), że od pierwszego lutego nie
będzie mieć miejsca na pensji... Naturalnie, zapłaci
ej za cały kwartał...

— Więc to nieprawda o panu Kazimierzu?... —
zawołała Madzia, rumieniąc się. — Na niego zawsze
robią jakieś plotki...

Panna Howard spojrzała majestatyczni
i rzekła:

— Idźmy już, bo spieszę się na lekcję... Zdumiewa mnie naiwność pani, panno Magdaleno!...

Ani słówka więcej. I Madzia nie dowiedziała się, o ile niesłusznemi są plotki, rozsiewane na pana Kazimierza.

XV.

Pan Zgierski rozmarzony.

Piątego dnia po odwiedzinach Mielnickiego na kilka minut przed pierwszą w jadalnym pokoju pani Latter i pod jej osobistym dozorem Stanisław i panna Marta przygotowywali stół do wykwintnego śniadania.

— Śledzie i kawior — mówiła pani Latter — niech panna Marta postawi z tej strony, przy wódce.

— Ostrygi na kredensie?—zapytała gospodyni.

— Ale gdzież tam. Ostrygi otworzy Stanisław, gdy wejdzie pan Zgierski... Otóż, zapewne i on!... — dodała pani Latter, usłyszawszy dzwonek. — Czy Michał jest w przedpokoju?

Wyszła do gabinetu, a Stanisław spojrzał na pannę Martę, która spuściła oczy.

— Takiemu, to dobrze — mruknął lokaj.

— Tu się nikt nie pyta Stanisława, komu dobrze, a komu źle — oburknęła gospodyni. — Najgorsza rzecz, kiedy służba rozpuszcza język, bo z tego rodzą się plotki, jak pchły z trocin. Stanisław powi-

ien mieć tyle rozumu, ażeby nie wsadzać nosa do udzego prosa...

— Oj! oj! oj!... — zawołał stary lokaj, chwyając się oburącz za głowę, i wybiegł z pokoju.

Tymczasem do gabinetu pani Latter wszedł czekiwany gość, pan Zgierski. Był to człowiek rzeszło 50-letni, niewysoki, nieco otyły, na którego głowie duża łysina coraz wyraźniej spychała esztę szpakowatych włosów. Jego ubiór odznaczał się skromną elegancją, a ładna niegdyś twarz 'yrazem dobroduszności, której jednak szkodziły iewielkie a ruchliwe czarne oczy.

— Wszak jestem co do minuty? — zawołał ość, trzymając zegarek w ręku. Poczem serdecze uścisnął rękę pani Latter.

— Nie powinnabym się z panem witać — odarła, obrzucając go ognistem spojrzeniem. — Trzy iesiące!... Czy pan słyszy: trzy miesiące...

— Czy tylko trzy?... Mnie wydawały się iekiem!...

— Obłudniku!...

— Więc bądźmy szczerzy — mówił gość uśmiechem. — Kiedy pani nie widzę, mówię sobie: obrze tak jest; ale kiedy panią zobaczę, myślę: przecież tak jest lepiej. Oto dowód, dla którego tej pory nie byłem... Dodajmy, że wyjeżdżałem święta, na wieś... Nie wybiera się pani na ieś?.. — spytał z akcentem.

— Gdzie?... kiedy?...

— A pani, to szkoda. Gdy jestem na wsi lecie, mówię sobie: wieś nigdy nie może być pięk-

niejsza; ale teraz przekonałem się, że wieś jest najpiękniejsza — w zimie. To są czary... Pani, to są istne czary!... Ziemia podobna jest do śpiącej królewny z bajki...

Kiedy to mówił Zgierski, na twarzy malowało się tak szczere przekonanie, że prawie można mu było wierzyć; gdyby nie biegające czarne oczki, które wiecznie czegoś szukały i wiecznie pragnęły się z czemś ukryć. Kiedy zaś pani Latter słuchała, można było przypuszczać, że rozpływa się w słuchaniu, gdyby od czasu do czasu w jej marzących oczach nie błysnęła iskierka, oznaczająca podejrzliwość.

Dla optymisty Zgierski wyglądał na gościa który przychodzi na śniadanie, a przynosi trochę zdawkowej poezji; pesymiście mógł przedstawić się jako czarny charakter, który rozsnuwa tajemnicze sieci intryg. Pierwszy posądziłby panią Latter o przyjaźń, która lęka się zostać miłością: drugi podejrzewałby ją o brak zaufania, a nawet obawę wobec Zgierskiego.

Lecz ktoby mógł chwytać głosy, odzywające się w duszach tych ludzi, zdziwiłby się, usłyszawszy ich monologi.

„Jestem pewny, że pod pozorami sympatji lęka się mnie i coś podejrzewa... No, ale to elegancka kobieta“... — mówił do siebie zadowolony Zgierski.

„On myśli, że ja wierzę w jego spryt i chytrość... No, ale potrzebuję pieniędzy“... — mówiła pani Latter.

— Jeżeli będzie pani miała sposobność wyjechać na wieś, a mam przeczucie, że t a k, niech pani wyjedzie choćby na cały rok, byle zobaczyć wieś w zimie — rzekł Zgierski, akcentując pewne wyrazy tonem i spojrzeniami.

— Ja, na wieś?... pan żartuje... A pensja?

— Rozumiem — mówił Zgierski, tkliwie patrząc jej w oczy — że ma pani wielki obowiązek społeczny. Jak zaś ja to rozumiem, nie potrzebuję tłumaczyć... No, ale mój Boże, każdy człowiek ma trochę praw do osobistego szczęścia, a pani ma więcej, aniżeli ktokolwiek inny...

W oczach pani Latter w pierwszej chwili odmalowało się zdziwienie, nawet niepokój. Lecz wnet błysnęło słówko: „rozumiem!“... a potem wydarł się z piersi krótki wykrzyknik:

— A!...

I pani Latter spojrzała na niego, nie ukrywając zdumienia.

— Więc rozumiemy się?... — spytał Zgierski, patrząc na nią głęboko. A w duchu dodał:

„Złapała się!“...

— Jesteś pan straszny człowiek — szepnęła pani Latter, dodając w myśli:

„Już go mam!“...

I spuściła oczy, ażeby ukryć błyskawicę triumfu.

Zgierski patrzył wzrokiem, w którym malowała się chłodna czułość dla niej i niezachwiana wiara w dokładność własnych informacyj. Nagle rzekł:

— Zatem mogę zapytać...

Pani Latter zatrzepotała rękoma.

— O nic nie wolno pytać!... Wolno podać mi rękę i zaprowadzić do jadalnego pokoju...

Zgierski stanął z lewej strony, wziął ją za rękę, jak w polonezie, i, patrząc w oczy, zaprowadził do jadalnego pokoju...

— Będę milczał — rzekł — wzamian jednak musi mi pani przyrzec...

— Sądzi pan, że kobieta może cokolwiek przyrzekać? — zapytała pani Latter, spuszczając oczy.

„Jak ona się łapie!... jak ona się łapie!...“ — myślał Zgierski, a głośno dodał:

— Jedno może pani przyrzec, że gdyby zdarzyło się coś przyjemnego dla pani, ja będę pierwszym, który jej powinszuję — *za każdym razem*...

Jednym z większych triumfów, jakie pani Latter odnosiła nad sobą w życiu, był ten, że nie drgnęła, nie zbladła i wogóle żadnym znakiem nie zdradziła niepokoju, jaki opanował ją w tej chwili. Na szczęście, Zgierski był tak pewny siebie, że nie zwracał na nią uwagi, ale myślał tylko o tem, ażeby pokazać, jak dalece jest wszystkowiedzącym.

— Za każdym razem — mówił z naciskiem — gdziekolwiek spotka panią przyjemność, tu, czy we Włoszech, ja będę tym pierwszym, który pani powinszuje...

Byli w pokoju jadalnym. Pani Latter delikatnie usunęła się i rzekła, wskazując na stół:

— Pańska ulubiona starka. Proszę pić za gospodarza i za gościa.

Teraz Zgierski, spojrzawszy na butelkę, zaczął ię naprawdę dziwić.

— Ależ to moja starka, którą udało mi się na-yć od księcia...

— Właśnie od księcia Kazio dostał kilka bute-ek i mnie dał jedną. A ja nie mogłam z niej zrobić epszego użytku, jak...

Słowom tym towarzyszyło melancholijne spoj-zenie.

Zgierski wypił kieliszek, milcząc i pragnąc za-raczyć milczeniem, że chwila jest bardzo uroczy-tą. Pierwszy jednak kieliszek nasunął mu szereg owych myśli.

„Jeżeli ona — mówił sobie — wychodzi za lielnickiego, który jest majętnym człowiekiem, ięc — nie ma do mnie żadnego interesu. A jeżeli ie ma interesu, więc... co?... Więc — chyba kocha ę we mnie?“...

I w tej chwili w jego duszy, która była mie-zaniną najniezgodniejszych pierwiastków, obudziła ę potrzeba szczerości.

— Śledzie są wyborne!... — mówił. — Ka-ior... kawior jest wyższym nad sam podziw! Czy oże być coś wyższego nad podziw? — zapy-ł, badając spojrzeniem, czy pani Latter zrozu-iała jego słówko. I poznał, że zrozumiała.

— Panie Stefanie — rzekła pani Latter — nie idziałam, ażeby pan pił za gościa...

— Więc ja, ten kieliszek, tej wybornej starki, łem w imieniu?...

— Chyba w imieniu gospodarza — wtrącił pani Latter, patrząc na obrus.

— Pani!... — odparł, spoglądając na nią z wy razem przyjaźni, która mocno zahaczała o miłoś i — nalewając drugi kieliszek. — Pani, — mów zniżonym głosem — teraz piję jako gość... Jak gość, który umie milczeć, nawet wówczas, gdy jeg serce chciałoby... Powiedziałbym: zapłakać, lec powiem: zawołać... Pani, jeżeli jest to potrzebn do twego szczęścia i spokoju, pozwól mi, ażeby taki sam kielich wypił... za jakieś wspólne zdrowie choćby nad brzegami Bugu... Skończyłem.

Postawił wypity kieliszek i usiadł, opieraj głowę na ręku.

W tej chwili wszedł Stanisław z tacą, pełn ostryg na lodzie.

— Co?... — zawołał Zgierski. — Ostrygi?

Zasłonił ręką oczy, jak człowiek głęboko wzr szony, i myślał:

„Więc ona, wychodząc zamąż, daje mi zrozumienia, że kocha się we mnie... Jest to bard przyjemne, ale bardzo... Nie niebezpieczne, tylko trudne... Wolałbym, ażeby miała o dwadzieśc lat mniej“...

Rzucił się do ostryg i jadł szybko, w milczeni wciskając dramatycznemi ruchami dużo cytryn jak człowiek, który cierpi, lecz chce pokazać, że n wszystko jedno.

— Panie Stefanie — odezwała się pani Latt omdlewającym głosem — mamy wprawdzie Ch blis...

— Spostrzegłem to — odparł Zgierski, który po drugim kieliszku starki czuł potrzebę powiedzenia, że odznacza się piekielną przenikliwością.

— Ale możeby pan spróbował tego wina...

Nalała mu kieliszek. Skosztował i spojrzał a nią prawie surowo.

— Pani — rzekł — tak niezwykle omszoną utelkę musiałem spostrzec odrazu... Pani pojmuje... Lecz w tej chwili przekonywam się, że taiego wina nie mogła wybrać kobieta...

— Jest to prezent pana... pana Mielnickiego, wuja i opiekuna jednej z moich uczennic — odpowieziała pani Latter, spuszczając oczy.

— Pani życzy sobie, ażebym pił to wino? — roczyście zapytał Zgierski.

— Ależ proszę pana.

— Ażebym pił z kielicha pana Mielnickiego, tóry zresztą może być człowiekiem najgodniejzym szacunku...

Milczenie. Lecz w tej chwili Zgierski uczuł, e jego nogę dotyka inna noga.

„Mógłbym sądzić, że ma do mnie jakiś ważny nteres“ — pomyślał, wypijając dwa kieliszki wina, eden po drugim. — „Ale jeżeli wychodzi za tak maetnego człowieka, jak Mielnicki“...

Zgierski zamienił się w posąg; nie przysuwał, ni też odsuwał swojej nogi, tylko wypił trzeci kieszek wina, zjadł jakąś rybę, wypił czwarty kieliszek, zaczął jeść jakieś mięso i, całkiem zapomniawszy o pani Latter, cofnął się pamięcią w odległą rzeszłość.

Marzył, że kiedy z górą przed trzydziestoma laty ktoś trącił go w nogę pod stołem, zdawało mu się, że uderzył piorun i — zupełnie stracił przytomność, a nawet bodaj, czy nie upuścił widelca. Gdy ten sam wypadek powtórzył się przed dwudziestoma laty, Zgierski był wprawdzie mniej wstrząśnięty, ale czuł, że otwiera się nad nim niebo. Gdy spotkało go to przed dziesięcioma laty, nie widział już ani piorunów, ani nieba, otwierającego się nad głową, ale jeszcze napełniły go najpiękniejsze ziemskie nadzieje.

Dzisiaj zaś pomyślał, że jednak — znajduje się w kłopotliwej pozycji. Bo jak tu nie być w kłopocie w jego wieku, wobec namiętnej kobiety?...

Spuścił oczy, jadł za trzech, a pił za czterech, przyczem jego wielka łysina okryła się kroplistym potem.

„Ten Mielnicki ma chyba ze sześćdziesiąt lat — myślał — i porywa się... Niema to, jak mieszkać na wsi!...“

Śniadanie skończyło się. Zgierski był rozmarzony, zakłopotany, nawet zawstydzony; pani Latter zupełnie spokojna.

— Upiłem się — rzekł — przy czarnej kawie i doskonałym konjaku.

— Pan?... — uśmiechnęła się pani Latter. — Mam lepsze wyobrażenie o sile pańskiej głowy.

— No, tak... Nie wiem, ażebym kiedykolwiek stracił przytomność, ale trunki były rzeczywiście mocne... Mogły rozmarzyć...

— Na nieszczęście pan, nawet w marzeniach, ie zapominasz się — odparła z odcieniem goryczy ani Latter. — Okropni są ludzie zawsze logiczni!...

Zgierski smutnie kiwnął głową, jak człowiek, tóry, choćby nie chciał, musi dźwigać brzemię że-ıznej logiczności i — podał gospodyni rękę. Prze-zli do gabinetu, gdzie pani Latter wskazała mu pu-ełko cygar a sama zapaliła świecę.

— Pyszne cygara! — westchnął Zgierski. — 'zy... czy wolno prosić jeszcze o filiżankę kawy?...

W tej chwili wszedł Stanisław, niosąc na tacy ·ebrną maszynkę, butelkę konjaku i filiżanki.

— Pan myśli, że po trzechmiesięcznem niewi-zeniu zapomniałam o jego upodobaniach? — rze-ła z uśmiechem pani Latter, nalewając kawę.

Potem podsunęła konjak.

Czarne oczki Zgierskiego już nie biegały nie-ːokojnie: jedno bowiem usiłowało pójść na prawo, ·ugie na lewo, a ich właściciel zadawał sobie nie-ałą fatygę, ażeby utrzymać je w linji prostej. Pani atter spostrzegła to, sama wypiła jednym tchem eliszek konjaku i nagle odezwała się:

— A propos... Chociaż to jeszcze nie luty, ɔzwoli pan, że uregulujemy nasz rachunek...

Zgierski cofnął się, jakby mu na głowę wylano rumień wody.

— Przepraszam panią, ale... jaki rachunek?...

— Trzysta rubli za następne półrocze.

Osłupiał, i błysnęła mu myśl, że to on, on z ca-m swoim sprytem i piekielną zręcznością, pada arą intrygi, osnutej przez kobietę!... Potem przy-

pomniał sobie dawny aforyzm, że najprzebieglejszego mężczyznę może wyprowadzić w pole najzwyklejsza kobieta, i nareszcie — zmieszał się.

— Zdaje mi się... — mówił — zdaje mi się..

Ale wyrazy więzły mu w gardle, a myśl w głowie. Czuł, że wpada w pułapkę, którą zna doskonale, lecz która w tej chwili nie przedstawia mu się dosyć jasno.

„Anemja mózgowa!...“ — rzekł do siebie i, dla odegnania jej, wypił nowy kieliszek konjaku.

XVI.

Pan Zgierski praktyczny.

Lekarstwo było skuteczne. Zgierski bowien nietylko odzyskał energję w myślach, ale poczu chęć do stoczenia utarczki z panią Latter. On chciała go czemś zaskoczyć?... Doskonale! Tera on pokaże, że zaskoczyć się nie da, gdyż zawsz i wszędzie panuje nad sytuacją.

— Ponieważ — zaczął z uśmiechem — pragni pani mówić o interesach (ja sądziłem, że między na mi niema nic pilnego!...), więc mówmy systematycz nie. Nie dlatego, broń Boże, abym kładł jakiś na cisk, gdyż między nami... Ale oboje przywykliśm do zwięzłości...

— Naturalnie — wtrąciła pani Latter — o pie niądzach musimy mówić jak finansiści.

— Pojmuję panią i pani mnie... Otóż mar u pani drobny depozyt, o którym między nan

wspominaćby nie warto, gdyby nie obustronne zami-
'owanie porządku w rachunkach i zwięzłości
w umowach... Depozyt ten, 5 000 rubli, zostaje
ı pani z roku na rok... no, tak... Ale w połowie sierp-
ıia roku zeszłego wspomniałem, owszem nawet wy-
aźnie sformułowałem zamiar podniesienia tej sumki
v lutym roku bieżącego... Nie mogę zatem przyjmo-
vać procentu za następne półrocze.

— A jeżeli ja uprę się i nie oddam panu w lu-
ym, to co mi pan zrobi? — zapytała pani Latter,
miejąc się.

— Naturalnie, że zostawię pani sumkę do po-
ɔwy lipca — odparł z ukłonem Zgierski. — Zato
r lipcu stanowczo mieć ją muszę, gdyż inaczej grozi
ıi nieprzyjemność, na którą pani, o ile ją znam, ni-
dyby nie zezwoliła.

— Ależ rozumie się...

— Jestem tego pewny i nawet przypominam
ɔbie (co obudziło we mnie najwyższą cześć i po-
ziw) słowa pani: „Choćbym miała sprzedać
szystkie meble, własne i szkolne, zwrócę panu
000 rubli na termin...“

— Nawet według naszej umowy, wszystkie
ıe należą do pana — dodała pani Latter.

Zgierski machnął ręką.

— Czysta formalność, oparta na wyraźnem
daniu pani... której dopełniłbym tylko w wypadku,
yby ta kombinacja była dla pani korzystną.

— Więc pięć tysięcy rubli zostawia mi pan do
łowy lipca? — rzekła pani Latter.

— Tak jest. Dopiero w tym terminie zawiśnie

mi nad głową miecz Damoklesa... Czy pani da wiarę, iż mogą mi zlicytować meble?...

Pani Latter nalała mu nowy kieliszek.

— Proszę pana — zaczęła po chwili — a gdybym w ciągu tego lub przyszłego miesiąca zapotrzebowała jeszcze... czterech tysięcy rubli, także do połowy lipca?...

— Gdzież znowu... Nieprawdopodobne... — odparł Zgierski, wzruszając ramionami.

— Owszem, jest to możliwe, gdyż bardzo wiele uczennic zapłaci mi dopiero w końcu czerwca.

Zgierski zamyślił się.

— A to ma pani kłopot... — rzekł. — Żałuję, że umieściłem wszystkie moje fundusze w akcjach cukrowni... No, żałuję! tak się mówi... Pani wie, że teraz cukrownie dają osiemnaście i dwadzieścia procent dywidendy?... Gdyby nie to, musiałbym się dobrze kurczyć... Więc naturalnie nie tego żałuję że mam akcje, ale... że nie mogę służyć pani na tak krótki termin...

Pani Latter zarumieniła się.

— Szkoda — rzekła.

Zgierski dokończył kieliszka i uczuł niepokonaną chęć zaimponowania swemi informacjami.

— Jestem pewny — zaczął — że nie posądza mnie pani o brak chęci służenia jej. Bo pomijam głęboką życzliwość, o której nie mówi się przy rachunkach, a której posiadaniem dla pani słusznie się szczycę... Pomijam to, gdyż choćbym był najbardziej interesownym człowiekiem, to przecież wiem, że pani, mówiąc językiem finansowym, stanow

dobrą hipotekę... Proszę pani. mówmy szczerze... Już sam Mielnicki daje duże gwarancje, a taki Solski... mój Boże!...

Zgierski westchnął, pani Latter spuściła oczy.

— Nie rozumiem pana... i nie chcę rozumieć... — dodała zniżonym głosem. — Nawet proszę pana, ażeby tych kwestyj nie poruszał...

— Pojmuję i uwielbiam delikatność pani, ale... Cóżeśmy winni, że Mielnicki na prawo i na lewo skarży się, iż dostał odkosza, opowiadając przytem o swej miłości dla pani. Czemu zresztą nikt się nie dziwi, a ja najmniej... — dodał z westchnieniem.

— Mielnicki jest oryginał — uśmiechnęła się pani Latter. — Ale pan Solski niczem, ale to niczem nie upoważniał... I przyznam się panu, że ta wieść obraża mnie...

— A jednak ta wieść przyszła z Rzymu, gdzie mieszka kilka polskich rodzin, które już dostrzegły, że pan Stefan zajął się panną Heleną.

— Nic, ale to nic o tem nie wiem — rzekła pani Latter. — Pokazuje się, że nasza pensja jest fortecą, do której wieści nie dochodzą.

— Hum! — mruknął Zgierski. — Musiały jednak dojść i to z dobrego źródła, skoro zaniepokoiły pana Dębickiego...

— Dębickiego?... — powtórzyła zdumiona pani Latter.

— To jest tylko moje przypuszczenie — pośpieszył dodać pan Zgierski — lecz mówię o niem przez przyjaźń dla pani...

Pani Latter dziwiła się coraz więcej.

— Widzi pani, jak dobrze jest mieć przyjaciół,

którzy umieją obserwować... Pan Dębicki, jak wiadomo, oddawna zna się z panem Solskim, a stosunki ich zacieśnią się jeszcze mocniej, ponieważ pan Dębicki obejmuje zarząd nad bibljoteką Solskich...

— Nic o tem nie wiem...—wtrąciła pani Latter.

— Zato ja wiem i czuwam — odparł Zgierski z uśmiechem. — Wiem również, że pan Dębicki otrzymał kiedyś ostrą admonicję od panny Heleny...

— Ach, przy tej nieszczęsnej algebrze!...

— Otóż to. Mam więc prawo przypuszczać, że pan Dębicki nie żywi zbyt sympatycznych uczuć dla panny Heleny i może nie radby zostać jej oficjalistą... Widzi pani, z drobiazgów składają się duże wypadki...

— Jeszcze nic nie rozumiem.

— Zaraz pani zrozumie. Otóż w parę dni potem, kiedy mnie doszła wieść o zabiegach pana Solskiego koło panny Heleny, jeden z moich przyjaciół wspomniał mi, że pan Dębicki wypytywał go...

— O co?

— Ani mniej, ani więcej, tylko o wysokość kwoty, jaką złożyłem u pani, a nawet... o wysokość procentu... Przyzna pani, że ta troskliwość byłaby dziwna ze strony pana Dębickiego, gdybyśmy nie mieli prawa zaliczać go do partji nam nieprzychylnej.

— Jaki niegodziwiec! — wybuchnęła pani Latter. — Ale cóż to znowu za partja nieprzychylna?... Przestrasza mnie pan...

— Niema się czego lękać, gdyż są to rzeczy naturalne — mówił Zgierski. — Znamy przysłowie: zazdrość towarzyszy powodzeniu, jak cień światłu.

Więc jedni (przepraszam, ale mówimy otwarcie?...), jedni czy jedne zazdroszczą pani — Mielnickiego... Innym — pensja pani może być solą w oku... Ale panny Malinowskiej nie zaliczam do nich...

— Pan zna Malinowską?... — zapytała pani Latter, opuszczając ręce na fotel.

— Tak. Jest to dobra kobieta i jej niech pani nie zalicza do nieprzychylnych. Ale o tem kiedy indziej... Dalej, są tacy i takie, które zazdroszczą pannie Helenie Solskiego, a nareszcie i tacy, którzy patrzą przez mikroskop na drobne usterki pana Kazimierza.

— Cóż mają do niego? — szepnęła pani Latter, przymykając oczy, bo czuła, że wobec ogromu informacyj Zgierskiego zaczyna się jej w głowie kręcić.

— Nic wielkiego!... — odparł Zgierski, chwiejąc się, jakby pragnął w równowadze utrzymać głowę. — Zarzucają panu Kazimierzowi... to jest nietyle zarzucają, ile dziwią się, a właściwie...

— Panie Zgierski... panie Stefanie, mów pan poprostu!... — zawołała pani Latter, składając ręce.

— Mam mówić krótko i węzłowato?... To mi się podoba... To jest w stylu pani...

— A więc?

— A więc?... Aha!... no tak... — powtarzał Zgierski, usiłując skupić uwagę. — Dziwią się tedy, że syn pani... to jest — szanowny i utalentowany pan Kazimierz nie ma dotychczas określonego zajęcia.

— Kazio wkrótce wyjeżdża za granicę — odparła pani Latter.

— Rozumiem, do pana Solskiego.

— Do uniwersytetu.

— Ach, tak! — potwierdził Zgierski. — Dale zarzucają panu Kazimierzowi miłostki... No, miłoś pojmuje pani... Światło życia, kwiat duszy... Ja — do dał z głupowatym uśmiechem — najmniej powinien bym się oburzać na miłostki młodych ludzi... Po muje mnie pani?... Na nieszczęście pan Kazimier zaangażował trochę pensję...

— Tej panny już niema u nas — wtrąciła su rowo pani Latter.

— Zawsze uwielbiałem takt pani—rzekł Zgie ski i pocałował ją w rękę. — Co zaś do innych za rzutów...

— Jeszcze?...

Zgierski machnął ręką.

— Wspominać nie warto! — mówił. — Gorsz się tem, że pan Kazimierz trochę gra....

— Jakto?...

— No tak... dodał, pokazując rękoma taso wanie kart. — Ale, proszę pani, on gra tak szczęśl wie, że można być o niego spokojnym. Przed świ tami pożyczył ode mnie 50 rubli na tydzień (maja do spłacenia jakiś dłużek honorowy), a oddał w trz dni i jeszcze zaprosił mnie na śniadanie...

Pani Latter opadły ręce.

— Mój syn — rzekła — mój syn gra w karty? To kłamstwo!...

— Sam widziałem... Ale gra rozsądnie i w ta wybornych towarzystwach...

Rysy pani Latter zmieniły się w sposób ni przyjemny: była prawie brzydka.

— Zrobiłem pani przykrość? — zapytał Zgierski bolejącym tonem.

— O nie. Tylko... ponieważ wiem, co to jest gra w karty...

— Zapewne świętej pamięci drugi mąż pani?... — wtrącił pobożnie Zgierski.

Pani Latter zerwała się z kanapki.

— Nie pozwolę memu synowi grać!... — zawołała, podnosząc zaciśniętą pięść. — Kocham go, jak ylko matka może kochać jedynaka, ale... wyrzekłabym się go...

Rozbiegnięte oczy Zgierskiego skoncentrowały się. Ujął panią Latter za obie ręce, posadził i rzekł nnym tonem:

— Doskonale!... wygraliśmy!... Teraz możemy pogadać o interesach.

— O interesach?... — powtórzyła zdziwiona.

— Tak. Proszę o kilka minut cierpliwości... Akcje cukrowni, pojmuje pani, moje akcje można przecież zastawić, ponieważ (jak powiedziałem) pani stanowi doskonałą hipotekę... Pani i panna Helena... Taki Mielnicki jest człowiekiem majętnym, a taki Solski... O nim niema co mówić.

— Proszę nie wspominać tych nazwisk.

— Hum!... A jednak wolałbym o nich usłyszeć od samej pani... Pani potrzebuje czterech tysięcy rubli do połowy lipca, rozumiem to i mogę zastawić moje akcje... Ale muszę mieć pewność p o z a o b r ę b e m p e n s j i...

— Dlaczego? — zdziwiła się pani Latter.

— Mój Boże, dlatego, że pensja, z powodu różnych okoliczności, jakie się w niej wydarzyły,

prawie nic nie jest warta. Wybaczy pani szczerość?.. Czysty dochód z pensji już w zeszłym roku zmniejszył się, a dziś zapewne spadł do zera. Tymczasem pan Kazimierz ciągle potrzebuje pieniędzy, zwyczajnie jak młody człowiek... Przed chwilą jednak poznałem, że z synem da sobie pani radę, co jest rzeczą bardzo ważną... No, ale choćby pan Kazimierz wziął się do jakiego zajęcia, czy też w inny sposób miał byt zabezpieczony, to jeszcze nie wszystko... Zmniejszą się wydatki, lecz dochody nie wzrosną...

— Nic, ale to nic nie rozumiem — wtrąciła zirytowana pani Latter.

— Szkoda! szkoda!... — szepnął.

Oparł głowę na ręku i zasłonił oczy. Zdawało mu się, że pokój krąży... To jest — nie krąży, ale waha się w lewo i w prawo. Ale właśnie to odkrycie spotęgowało w nim odwagę i szczerość.

— Proszę pani — rzekł, patrząc na nią — pojmuję delikatność pani... Rozumiem, że kobieta szlachetna nie może odpowiadać na pewne pytania, osobliwie, gdy są postawione w niewłaściwym czasie.. Z drugiej zaś strony pani potrzebuje czterech tysięcy rubli do lipca, które ja mogę mieć, ale... ja potrzebuję pewności!... Już i tak pan Dębicki dowiaduje się: ile biorę od pani procentu od pięciu tysięcy, i gotów nazwać mnie lichwiarzem zato, że biorę dwanaście. Tymczasem mój kapitalik jest tak mały, a wydatki tak raz na zawsze określone, że... przy mniejszym procencie nie mógłbym istnieć...

— Do czego to prowadzi, panie Zgierski?

— Proszę pani, do... pożyczenia czterech ty-

sięcy rubli, ale... z pewnemi gwarancjami. Rozuniem, że pani bardzo może potrzebować pieniędzy dzisiaj, a z całą łatwością zwrócić je w lipcu. Tylko...

— Niech pan mówi wyraźnie, panie Zgierski...

— A jeżeli wyda się to pani szorstkiem?...

— W interesach nie chodzi o dobry ton.

— Podziwiam panią! — zawołał Zgierski, całując jej ręce. — Więc mogę mówić zwięźle, tak, jakgdybym stawiał ultimatum?...

— Ależ proszę.

— Wybornie. Zatem nie będę dotykał kwestji pana Kazimierza, chociaż... jakkolwiek jest to młodzieniec zdolny i sympatyczny, niemniej może bardzo wpłynąć na przyszłe stanowisko pani.

— Cóż to znaczy?...

— To znaczy, że o panu Kazimierzu, zdaje mi się, już coś słyszał pan Mielnicki i... podobno: zamyślił się... Zapewne, zachowanie się pana Kazimierza może oddziałać i na projekta pana Solskiego... Pojmuje pani?

— Nie, panie.

— Więc będę jeszcze zwięźlejszym — odparł trochę obrażony Zgierski.

— Na to czekam od godziny.

— Cudownie! — uśmiechnął się. — A zatem... będę pani służył czterema tysiącami rubli do lipca, choćby i do grudnia, jeżeli...

— Znowu waha się pan?

— Już nie. Jeżeli otrzymam od pani bilecik, donoszący mi, że: albo pani przyjęła pana Mielnickiego, albo pan Solski oświadczył się pannie Helenie.

Pani Latter zacisnęła ręce.

— Bardzo pan ufa mojej przyjaźni dla siebie— rzekła, uśmiechając się.

— Bo też tylko przyjaciołom mogę służy w podobnych okolicznościach.

— Wymaga pan, abym powierzała mu tajemnice rodzinne?...

— Ja powierzam pani połowę majątku...

Pani Latter wyciągnęła rękę, którą Zgiersk znowu ucałował i, śmiejąc się, mówiła:

— Dziwak z pana, ale wybaczam to... Wię jakaż jest konkluzja naszej rozmowy?

— Są dwie — odparł Zgierski. — Zostawian pani pięć tysięcy rubli do połowy lipca i... mogę do starczyć jeszcze cztery tysiące rubli, ale...

— Ale?...

— Ale tylko albo przyszłej pani Mielnickie; albo przyszłej teściowej pana Solskiego.

— Jakąż rolę chce pan odegrać wobec mnie?— zawołała prawie z gniewem pani Latter. — Sądziłan że będziemy mówili o bezpieczeństwie pańskich sun o.... procentach, ale nie o małżeństwach, do którycl pan ciągle powraca.

„Musi być bardzo pewna siebie...“ — pomyśla Zgierski. I, zrobiwszy minę życzliwą a strapioną, od powiedział:

— Pani! bo nie śmiem powiedzieć: drog pani... Jaką ja rolę chcę wobec niej odegrać?... Pan to będzie śmiałe, co powiem, ale powiem. Chcę ode grać rolę przyjaciela, który wyprowadza na świa więźnia z jego celi, choć ten opiera się i gniewa...

Pani — dodał, całując ją w rękę — nie myś o mnie źle... W tych czasach przechodzi pani ważn

epokę życia, waha się pani, a nie ma doradcy... Otóż — ja będę tym doradcą, nawet egzekutorem, bo jestem pewny, że za pół roku będzie mi pani wdzięczna. Chociaż wdzięczność!... — westchnął.

Nastąpiło milczenie, potem zaczęto mówić o rzeczach obojętnych, ale rozmowa rwała się. Pani Latter była rozdrażniona, Zgierski czuł, że za dużo powiedział i za długo siedzi.

Więc pożegnał gospodynię domu i wyszedł niekontent z siebie. Miał pasję imponować ludziom przebiegłością i rozległemi informacjami, a dziś pragnął wywołać zdumienie w pani Latter i skłonić ją do poufnych zwierzeń. Tymczasem nic!... Milczała ak kamień, a zamiast podziwiać go, wciąż powracała do pieniędzy i procentów, co gniewało Zgierskiego, który wolałby uchodzić za najchytrzejszego demona, aniżeli za małego procentowicza.

„Ach, te kobiety... te kobiety!... przewrotne stoty“... myślał, czując, że zrobił krok fałszywy.

Lecz gdy znalazł się na ulicy i owionęło go po wybornych trunkach świeże powietrze, wstąpiła mu w serce otucha.

„Zaraz!... — mówił — o co ja mam do siebie pretensję?... Zastrzegłem zwrot pięciu tysięcy rubli w sposób stanowczy... Cztery tysiące rubli tylko obiecałem... Mam prawo liczyć kiedyś na stosunki z Solskim, z Mielnickim, z Malinowską, a przecie każdy nowy stosunek, to jak bilet na loterję; szansa choćby małej wygranej jest... Mój Boże, ja się kontentuję małemi wygranemi, byle było ich dużo!... a tylko niepotrzebnie wspomniałem o Rzymie, o Dębickim i o kochanym Kaziu... No, ale mam stracić

na nim dwieście rubli?... Przecież nie powiedziałem nic, tylkom nadmienił, że troszeczkę gra i że potrzeba go wysłać za granicę. On mi sam za to podziękuje... Poco ja mówiłem o Rzymie?... Najlepsza metoda: dać poznać, że się wie o fakcie, a nie cytować źródeł. O, tu zrobiłem błąd“...

Jeżeli Zgierski był grzesznikiem, to w każdym razie krążył blisko drogi zbawienia, ponieważ ciągle rachował się ze sobą.

Tymczasem do gabinetu pani Latter, która spacerowała rozgorączkowana, wsunęła się gospodyni panna Marta.

— Cóż, proszę pani — rzekła z uśmiechem — dobre było śniadanie?

— Tak... dobre... Oto łotr!

— Ten Zgierski? — pochwyciła zawsze ciekawa gospodyni.

— Ach, co tam Zgierski... Ten kochany Dębicki, intrygant!...

Panna Marta klasnęła w ręce.

— A co, nie mówiłam?... — zawołała. — Nigdy nie miałam zaufania do takich ścichapęków. Niby łagodniutki, spokojniutki, a to nurek!... On nawet, proszę pani, wygląda na intryganta, i nie dałabym grosza, że gotów popełnić zbrodnię...

Potok wymowy panny Marty nieco otrzeźwił panią Latter, więc szybko przerwała jej:

— Tylko... proszę tego nie powtarzać nikomu...

— Ach, pani, ach, paniuńciu, za kogo mnie pani bierze?... Jezus, Marja, wolałabym język stracić, aniżeli powtórzyć to, co mi pani mówi pod sekretem. Cóż to ja?... Ale możeby, proszę paniusi

:robić jakiś ład z tym niegodzijaszem, bo to i za-
:ała pensji i pani życie zatruwa... Gałgan!...

— Proszę cię, panno Marto, żadnych uwag. Idź lo siebie i nic nie mów, a najlepiej mi usłużysz.

— Idę i nic nie mówię. Ale nie może mi pani :abronić modlitwy, ażeby taki skonał; bo modlitwa o rozmowa uciśnionej duszy z Bogiem...

Pani Latter znowu została sama — wzburzona.

„Co ja teraz poczne?... — myślała, szybko cho-
lząc. — Więc pensja nic niewarta, i Zgierski już tręczy nabywczynię. Przysięgłabym, że ułożył się ; nią o swoją sumę! Naturalnie między Solskim Helenką coś być musi... Dałby Bóg, bo w niej ostat-
iia nadzieja... Ale jakiż niegodziwy ten Dębicki! 'eraz rozumiem, dlaczego nie targował się, kiedy nu przeznaczyłam rubla za lekcję... Nędzarz mu-
iał przyjąć, ale mi tego nie zapomniał... Tak, cała :adzieja w Helenie"...

Nad wieczorem panna Howard wciągnęła Ma-
zię do swego pokoju i, zatrzasnąwszy drzwi, zawo-
ała z triumfem:

— A co, nie mówiłam, że Dębicki jest hultaj?...

— Co znowu?...

— Tak!... uspokoić się nie mogę po tem, co mi powiadała Marta... Ale, panno Magdaleno, przy-
zeknijmy sobie, że go tu nie będzie...

— Co on zrobił?—zapytała zdziwiona Madzia.

— Wszystko, do czego taki człowiek jest zdol-
y... O, ja nigdy nie mylę się, panno Magdaleno... 'omanowicz zupełnie co innego, to profesor nauk rzyrodniczych: energiczny, postępowy, no i ele-
ancki... Widziałam go niedawno u Malinowskiej

i, powiem pani, że przedstawił mi się zupełnie w nowem świetle. On rozumie czego potrzeba kobietom O, my musimy dużo zmienić na pensji, a nadewszystko uratować panią Latter.

— Czy tylko nie myli się pani? — rzekła Madzia, błagalnie patrząc na pannę Howard.

— Co do tego, że interesa pani Latter idą źle? — odparła z uśmiechem panna Howard.

— Nie, ale co do Dębickiego?... — mówiła Madzia z żalem.

— Pani zawsze będzie nieuleczoną idealistką.. Pani gotowaby wątpić o winie zbrodniarza, schwytanego na gorącym uczynku...

— Ależ, co on zrobił, proszę pani?

Panna Howard zastanowiła się.

„Co on zrobił?... co zrobił“... — powtarzała w duchu, nie mogąc pojąć, że ktoś nie potępia człowieka, do którego ona ma wstręt. Potem dodała głośno:

— Przyznam się pani, że bliższych szczegółów nie wiem. Ale panna Marta mówiła mi, że pani Latter jest tak oburzona na Dębickiego, tak... rozżalona, tak... pogardza nim, iż trudno przypuścić, ażeby i jej ten człowiek nie dokuczył.

— Proszę pani, komuż on dokucza?... — nalegała Madzia, hamując łzy.

„Komu dokucza“? — pomyślała panna Klara. A nie mogąc znaleźć odpowiedzi, wpadła w gniew.

— Możnaby myśleć, że masz pani do niego słabość, panno Magdaleno!...—zawołała.—Jakto, więc nie budzi w pani odrazy ta nalana twarz, te barani oczy, ten zagadkowy uśmieszek, z jakim przemawi

choćby do mnie?... Wierz mi pani, że jest to impertynent... i niedołęga!...

Odwróciła się od Madzi zmieszana i rozdrażniona. Właściwie nic złego nie wiedziała o Dębickim i to gniewało ją najwięcej.

Madzia posmutniała i zabierała się do odejścia.

— Ale... ale... panno Magdaleno, pani nie zna Malinowskiej?... Musimy jednak u niej być i koniecznie skłonić, żeby weszła do spółki z panią Latter. Muszę ocalić panią Latter, przysięgam sobie, szczególniej zato, że wydaliła Joannę... Nieznośna dziewczyna!...

— Ja także chciałabym dopomóc pani Latter, eżeli potrafię, ale cóż mogę zrobić u panny Malinowskiej?

— Ja zrobię. Już ją przygotowuję, ale ona eszcze opiera się. Jeżeli więc pani pójdzie do niej ze mną, przekonamy ją, że cała pensja życzy sobie zatrzymać panią Latter, no i Malinowska ustąpi.

Madzia opuściła mieszkanie panny Howard. pełna przykrych myśli: zaczęła wątpić o jej wielkim rozumie i sprawiedliwości.

„Co jej się zdaje? — mówiła w duchu — co ja mogę znaczyć wobec panny Malinowskiej, ja, biedna dama klasowa? A choćbyśmy wszystkie tam poszły, czyliż potrafimy skłonić ją do zawarcia spółki z panią Latter?... Nie wiem zresztą, czy sama pani Latter życzyłaby sobie tego.

A znowu z Dębickim nieszczęście!... Czego one hcą od niego... Przecież, gdyby to był zły człowiek, ie kochałby go tak pan Solski, ani Ada“...

Po kolacji wszystkie damy klasowe szeptały

między sobą o Dębickim, postanawiając albo nie rozmawiać z nim, albo witać go zimno. Madzię tak rozdrażnił ich bezprzyczynowy gniew na niewinnego człowieka, że pod pozorem pisania listów usunęła się za swój parawanik, niechętnie odpowiadając uczennicom, które zasypywały ją pytaniami Czuła coraz silniej, że na pensji dzieje się coś niedobrego, ale nie mogła sformułować, w czem leży złe i co grozi?

XVII.

Pierwszy uścisk.

W następną sobotę przypadał koniec stycznia Dzień ten głęboko zapisał się w pamięci Magdaleny

Około jedenastej z rana, kiedy uczennice siedziały w klasach, z jednej sypialni usunięto rzeczy panny Joanny i wyniesiono tylnemi schodami na wóz, który czekał pod oficyną, kryjąc się przed spojrzeniami ciekawych. Panna Joanna blada, ale z podniesioną głową, sama spakowała się i sama dyrygowała tragarzami.

Kiedy wszystko wyniesiono, i panna Joanna włożyła kapelusz i okrycie, weszła do sypialni Madzia z listem od pani Latter. Joanna wyrwała z jej ręki list, patrząc w oczy z zuchwałym uśmiechem.

— Nie żegnasz się z nikim, Joasiu? — zapytała Madzia.

— Z kim? — odparła szorstko. — Czy z pani Latter, która mi przysłała pieniądze przez... prze

moje eks-koleżanki, czy z tą warjatką Howardówną?...

— I nikogo ci nie żal?

— Wszystkie jesteście głupie! — zawołała Joanna — a najgłupsza Howardówna... Apostołka samodzielności kobiet, cha! cha!... Ta kobieta ma chorągiewkę w głowie: niedawno mnie uwielbiała, potem zaczęła kopać dołki pode mną, a teraz udaje, że mnie nie zna...

— Bo poco wydobyłaś ten nieszczęśliwy list! — szepnęła Madzia.

— Tak mi się podobało!... Nie pozwolę, ażeby ktokolwiek mnie krzywdził!... A nie mszczę się nad Howardówną, bo wiem, że ta warjatka dokuczy wszystkim i sama się zgubi... Zgubi pensję i Latterową.

To powiedziawszy, panna Joanna wyszła z gniewem na korytarz, ostentacyjnie usuwając się od Madzi.

— I ze mną nie żegnasz się?—spytała Madzia.

— Bo wszystkie jesteście głupie! — zawołała, wybuchając płaczem.

Prędko przebiegła przez korytarz i znikła na bocznych schodach, skąd jeszcze parę razy doleciało jej spazmatyczne szlochanie.

O piątej popołudniu, w kancelarji na drugiem piętrze miała odbyć się sesja miesięczna. Ponieważ profesorowie czekali, a pani Latter jeszcze nie przyszła, więc panna Howard szepnęła do Madzi, ażeby przypomniała o tem przełożonej.

Madzia, zbiegłszy na pierwsze piętro, weszła do gabinetu, lecz pani Latter nie było. Zajrzała do dal-

szych pokojów i spotkała — pana Kazimierza. Był wzburzony, ale piękny.

— Pani Latter niema?... — zapytała zmieszana Madzia.

— Poszła mama na sesję — odparł. A widząc, że zarumieniona Madzia chce odejść, chwycił ją za rękę i rzekł:

— Proszę o chwilkę rozmowy, panno Magdaleno. Przecież pani nie należy do sesji.

Madzia tak zlękła się, że nie mogła wydobyć głosu. Bała się pana Kazimierza, ale nie miała siły opierać się jego życzeniu.

— Chcę z panią pogadać o mojej matce, panno Magdaleno...

— Ach, tak!... — i Madzia odetchnęła.

— Niech pani siądzie, panno Magdaleno.

Usiadła, bojaźliwie patrząc mu w oczy.

— Mam do pani dwie prośby. Czy zechce pan je spełnić... Niech się pani nie lęka: obie dotycza mojej matki.

— Wszystko jestem gotowa zrobić dla pan Latter — szepnęła Madzia.

— Ale nic dla jej syna — wtrącił pan Kazimier z gorzkim uśmiechem. — Mniejsza o mnie — do dał. — Czy pani nie spostrzegła, że moja matka o pewnego czasu jest bardzo... rozdrażniona?...

— Uważamy to wszyscy — odparła po chwil wahania.

— Oczywiście jedno z dwojga: albo matka m kłopoty, o których nie wiem, albo... grozi jej ciężk choroba — dokończył ciszej, zasłaniając twar ręką. — Cóż pani o tem sądzi?... — zapytał nagle.

— Ja sądzę, że... może kłopoty...

— Ale jakie?... Przecież ubytek kilku uczennic nic nie znaczy dla pensji... Więc co? Helenka wyjechała za granicę, i o nią chyba matka nie potrzebuje się troszczyć... Ona da sobie radę!...—zawołał z uśmiechem. — Cóż więc pozostaje?... Chyba ja?... No, ale ja także jestem gotów wyjechać i nie wiem, dlaczego mama ociąga się...

Madzia spuściła oczy.

— Doprawdy, że niepokoję się o matkę—ciągnął pan Kazimierz, tonem raczej gniewnym, aniżeli zmartwionym. — Jest zdenerwowana nawet w stosunkach ze mną, a o kuracji nie pozwala sobie mówić.... Przytem zachodzi w niej jakaś zmiana. O ile sięgam pamięcią, zawsze zachęcała mnie do zrobienia wyższej karjery, no i ja robię ją, mam znajomości... Tymczasem dziś, kiedy powinienbym jechać, mama wypaliła mi takie kazanie o pracy i zarobkach, że przestraszyłem się... A co mnie najwięcej niepokoi, że wszystkie morały prawiła mi tonem szyderczym... jakaś podniecona... śmiejąc się...

Czy pani nie dostrzegła zmiany w zwyczajach mojej matki?... Czy... naprzykład... nie uważa pani, żeby matka... ażeby matka... zażywała eter?... Eterem posługują się niekiedy do uśmierzania bólów newralgicznych... Zresztą — ja nic nie rozumiem...

Rozpaczliwym ruchem objął się rękoma za głowę, ale na jego twarzy widać było tylko rozdrażnienie.

— Proszę, niech pani nikomu nie wspomina, że mówiłem o eterze, bo mogę się mylić... Ale proszę... niech pani daje baczność na mamę, panno Mag-

daleno — dodał, ujmując jej rękę i błagalnie patrząc w oczy. — Doprawdy, że uważam panią za osobę najbliższą nam, jakby drugą córkę mojej matki... I gdyby pani coś dostrzegła, niech zawiadomi mnie o tem, gdziekolwiek będę: tu, czy za granicą... Zrobi to pani?... — pytał tonem smutnym i pieszczotliwym.

— Tak... — odpowiedziała cicho Madzia, którą przebiegały dreszcze na dźwięk głosu pana Kazimierza.

— A teraz druga prośba. Niech pani napisze list do Helenki w tym guście, że mama jest rozdrażniona, że na pensji wszystko źle idzie... I niech pani jeszcze doda, tonem żartobliwym, że Warszawa dużo mówi o jej zabawach i kokieterji... Szczególna dziewczyna, powiadam pani... Chce podobać się Solskiemu, a bałamuci innych! Dobra to metoda, ale nie z każdym... Solski jest partją zbyt poważną, ażeby godziło się zrażać go lekkomyślnem postępowaniem.

Madzia z niepokojem spojrzała na pana Kazimierza. Przyszły jej na myśl obawy Ady.

— Więc zrobi pani, o co prosiłem?... To dla mojej matki, panno Magdaleno... — mówił.

— Tak... Chociaż ja nie mogę pisać do Hel o panu Solskim...

Wyraz niecierpliwości przebiegł po pięknem obliczu pana Kazimierza, lecz w jednej chwili zniknął.

— Dobrze, więc mniejsza o Solskiego — rzekł. — Ale zato będzie pani pisywać do mnie za granicę o zdrowiu matki?...

— Napiszę, gdyby zaszło coś ważnego.

— Tylko w takim razie?... Ha, cóż robić, dziękuję i za to...

Znowu ujął rękę Madzi i złożył na niej długi pocałunek, spoglądając w oczy.

Madzia zaczęła drżeć, lecz nie była w stanie cofnąć ręki. Pan Kazimierz pocałował ją drugi i trzeci raz, coraz przeciąglej i coraz namiętniej. Lecz, gdy wziął za drugą rękę, wyrwała obie.

— To niepotrzebne — rzekła wzburzona. — Kiedy chodzi o zdrowie pani Latter, mogę pisać nawet do pana...

— Nawet... do mnie!... — powtórzył pan Kazimierz, zrywając się z krzesła. — Ach, jakaż pani nielitościwa!... Jednak musi pani przyznać — dodał z uśmiechem — że wygrałem zakład: pocałowałem panią w rączkę, choć dopiero w kilka miesięcy później, aniżeli zapowiedziałem...

Teraz Madzia przypomniała sobie spór, jaki przeprowadzili w październiku, wobec Helenki.

— Ach! — zawołała zmienionym głosem — więc dlatego rozmawiał pan ze mną o swojej matce?... Jest to dowcipne, ale... nie wiem, czy szlachetne...

Nie mogła się pohamować, i łzy stoczyły się po jej twarzy.

Chciała wyjść, ale pan Kazimierz zastąpił jej drogę, mówiąc z uśmiechem:

— Panno Magdaleno, na miłość Boską, niech się pani na mnie nie obraża!... Czyli nie czuje pani w mojem postępowaniu tego szubienicznego humoru, który napada ludzi zrozpaczonych?... Nie

umiem pani opowiedzieć, co się ze mną dzieje... Lękam się jakiejś katastrofy, z matką, czy Helą... nie wiem... i jestem tak nieszczęśliwy, że już drwię z samego siebie... Pani mi przebacza, prawda?... Bo ja panią uważam za drugą siostrę, lepszą i rozumniejszą od tamtej... A pani chyba wie, że bracia niekiedy lubią dokuczać siostrom... No, nie gniewa się pani?... Ma pani trochę litości nade mną?... Zapomni pani o mojem szaleństwie?... Wszakże tak?...

— Tak... — szepnęła Madzia.

Schwycił ją znowu za rękę, ale Madzia wyrwała mu się i uciekła.

Pan Kazimierz został sam na środku pokoju i, położywszy palec na ustach, myślał:

„Ma dziewczyna temperament... Jakie dziwne te kobiety... każda bestyjka inna!... Szkoda, że wyjeżdżam... No, ale przecież nie na wieki“...

Madzia pobiegła do sypialni, ukryła się za parawanem i cały wieczór przeleżała z głową wciśniętą w poduszki. Gdy przyszły pensjonarki, zapytując: co jej jest, miała twarz rozpaloną, błyszczące oczy i narzekała na silny ból głowy. Nie rozumiała, co się z nią dzieje; była obrażona, zawstydzona, lecz szczęśliwa.

Nazajutrz, w niedzielę, o pierwszej panna Howard zaproponowała Madzi spacer na wystawę. Lecz, gdy wyszły na ulicę, rzekła:

— Pani myśli, że naprawdę idziemy na wystawę?

— Więc gdzie?... — zapytała z przestrachem Madzia, lękając się usłyszeć nazwisko pana Kazimierza.

— Idziemy do Malinowskiej — odparła panna oward. — Trzeba to raz skończyć... Wczoraj na esji ostatecznie przekonałam się, że pani Latter ie ma już ani pomysłów, ani energji... Robi wraże-e osoby rozbitej... Muszę ją ratować...

Panna Malinowska mieszkała z matką w oko-cach ulicy Marszałkowskiej i zajmowała trzy po-oje na trzeciem piętrze. Matka gospodarowała, na po całych dniach odbywała lekcje z przycho-zącemi panienkami.

Kiedy panna Howard i Madzia weszły do jej okoju, zastały ją nad wypracowaniami uczennic. rzerwała robotę i przywitała się z Madzią bez wstę-ów, mocno ściskając ją za rękę.

Panna Malinowska była to szczupła trzydziesto-tnia blondynka, z ładnemi oczyma, uczesana adko, ubrana gładko i bez wielkiego gustu. Miała os łagodny, spokojną twarz, a na niej taki sam yraz zaciętości, jaki niekiedy cechował panią Lat-r. Madzia na poczekaniu stworzyła sobie teorję, że iżda przełożona pensji musi być trochę zacięta mieć imponujące spojrzenie. A ponieważ ona sama e była imponującą, ani ciętą, więc nie mo-a marzyć o otworzeniu pensji...

Kiedy panna Malinowska poprosiła panie, aże-y usiadły, panna Howard odezwała się głosem mniej iż zwykle stanowczym:

— Przychodzimy do pani jako deputatki...

Panna Malinowska, milcząc, skinęła głową.

— I chcemy prosić, ażeby pani ostatecznie zde-ydowała się...

— Wejść w spółkę z panią Latter?.. — wtrąciła panna Malinowska. — Już zdecydowałam się. Nie wejdę.

Panna Howard była w przykry sposób zdziwiona.

— Czy może nam pani objaśnić powody?... Do czego zresztą nie mamy prawa... — rzekła coraz mniej stanowczym tonem panna Howard.

— Owszem, chociaż jest to trochę dziwne, że z podobną propozycją nie zgłasza się do mnie sama pani Latter.

— My chciałyśmy przygotować grunt do porozumienia — wtrąciła panna Howard.

— Grunt już jest — odparła panna Malinowska. — Pół roku temu, jak pani zresztą wiadomo, byłam gotowa połączyć się z panią Latter. Ona nie chciała. Dziś dla mnie spółka z nią nie przedstawia interesu.

— Pani Latter jest osobą bardzo doświadczoną — rzekła, rumieniąc się, panna Howard.

— Ach jaka ona dobra!... — dodała Madzia.

— Posiada ustaloną renomę — uzupełniła panna Howard, zapalając się.

Panna Malinowska nieznacznie wzruszyła ramionami.

— Widzę—rzekła, że muszę wypowiedzieć paniom to, o czem powinnabym milczeć. Otóż, pomimo zapewnień, że pani Latter jest osobą dobrą, doświadczoną i renomowaną, ja zaś jestem prawie nowicjuszką na tem polu, jednakże... nie mogę wchodzić z nią w żadne spółki. Rola pani Latter skończyła się, to nie jest kobieta dzisiejszej epoki.

Madzia drgnęła na krześle i z błyszczącemi czyma odparła:

— Pani Latter od kilkunastu lat pracuje...

Panna Malinowska spojrzała na nią chłodno.

— A pani nie pracuje?... — zapytała. — I ile ani zarabia?

Madzia tak się stropiła pytaniem, że, podiósłszy się z krzesła, wyrecytowała głosem penjonarki, wydającej lekcję:

— Mam piętnaście rubli miesięcznie, życie, ieszkanie i wychodne trzy razy tygodniowo...

Panna Howard wzruszyła ramionami.

— Otóż, widzi pani — mówiła panna Malinowka — tak wynagradza się praca kobiet w naszej poce. Mamy za nią ledwo skromny byt, nie wolno am marzyć o robieniu majątku, a pod żadnym porem nie możemy mieć dzieci, bo.... któż je wykarmi kto je wychowa?...

— Społeczeństwo!...—wtrąciła panna Howard.

— Tymczasem — ciągnęła dalej panna Maliowska — pani Latter ma zupełnie inne pojęcia. Proadzi dom, jak wielka dama, to jest, pracując za dną, wydaje za pięć, a może i dziesięć zwyczajych pracownic. Niedość tego: pani Latter ma dzie-, wychowane na wielkich panów...

— Na to pracuje... — szepnęła Madzia.

— Myli się pani — przerwała panna Malinowka — ona już nie pracuje, bo pracować nie może... na co najwyżej zagryza się na śmierć, myśląc o juze, bo czuje, że jutro — nie dla niej. Ona widzi, że apitał, który włożyła w wychowanie dzieci, jest narnowany. Bo dzieci nietylko jej nie pomagają,

nietylko trwonią jej pieniądze, nietylko rujnują je przyszłość, ale w dodatku same sobie nie dadzą rady...

— To okrutne, co pani mówi — wtrąciła Madzia.

Panna Malinowska zdziwiła się i, spoglądając na pannę Howard, rzekła:

— Ależ to nie ja mówię, tylko całe miasto.. Świadkiem panna Howard. Ja zaś dodaję od siebie, że ponieważ za moją pracę mieć będę najwyżej 500 lub 600 rubli rocznie, więc nie mogę brać na wspólniczkę kobiety, która potrzebuje kilku tysięcy rubli... Mam wprawdzie jakiś kapitał, ale procent od niego, jeżeli pensja da procent, należy do mojej matki.

— Nie śmiałybyśmy pani stawić podobnych żądań — odezwała się zakłopotana panna Howard.

— Ja też nie odpowiadam na żądania, tylko tłumaczę się, ażeby nie być źle zrozumianą, a potem... zbyt surowo sądzoną — mówiła panna Malinowska. — Położenie moje jest trudne, bo pani Latter może wszystko stracić, a ja jestem do pewnego stopnia zaangażowaną w jej interesa i pensję nabyć muszę. W dodatku, pensja jest rozprzężona, trzeba wiele rzeczy zmienić, nie wyłączając personelu...

Madzia była wzburzona, panna Howard bladła i rumieniła się, o ile to dla jej wiecznie różowej cery było możliwe.

Po chwili kłopotliwego milczenia panna Howard wstała i zaczęła żegnać gospodynię domu.

— W takim razie — rzekła na zakończenie — musimy szukać innych środków ratunku...

— Sądzę — odparła panna Malinowska — że rzynajmniej dla pani, panno Klaro, to, co powieziałam, nie jest niespodzianką? Wszakże od kilku iesięcy rozmawiałyśmy o tych sprawach.

— Tak... ale moje poglądy uległy pewnej moyfikacji...—odpowiedziała chłodno panna Howard.

Madzia była tak zmieszana, że o mało nie zaomniała pożegnać panny Malinowskiej.

Gdy obie damy, opuściwszy mieszkanie przyzłej przełożonej, znalazły się na ulicy, panna Howard zaczęła rozdrażnionym głosem:

— Oho, moja Malinosiu, widzę, że z ciebie zióło!... Jakim ona tonem dziś przemawia... Persoel!... słyszała pani? Ona mnie i panią zalicza do ersonelu?... Pokażę ja jej personel... Chociaż swoją rogą w tem, co mówi o pani Latter, ma słuszność. racująca kobieta nie może tyle wydawać na siebie na dzieci, które zresztą powinny być obdarzone azwiskami i wychowane przez społeczeństwo...

— Ależ dzieci pani Latter mają nazwisko sweo ojca — zauważyła Madzia.

— Tak, ale gdyby nie miały?...

— Boże, Boże... — szepnęła Madzia. — To bęzie coś strasznego... Więc już niema ratunku dla ani Latter?...

— Owszem jest — odparła energicznie panna oward. — Pójdziemy do pani Latter i powiemy jej: ani, jakkolwiek z zasady jesteśmy przeciwne małeństwu, lecz w tak wyjątkowych warunkach razimy pani wyjść za wuja panny Lewińskiej... Ona a pieniędzy, a my poprowadzimy pensję, bez Manowskiej...

— Panno Klaro?... — zawołała zdumiona Ma dzia, zatrzymując się na ulicy.

— Dla niej niema innego wyjścia, tylko mał żeństwo z tym dziadem — upierała się panna Ho ward.

— Ależ co pani mówi... Skąd znowu małżeń stwo z wujem Mani?...

Teraz panna Klara wybuchnęła zdziwieniem.

— Jakto — rzekła — więc pani nawet o ten nie wie, o czem wszyscy mówią?... Doprawdy, pan dziczeje na pensji!

I, zanim doszły do domu, opowiedziała Madz plotki, krążące w rozmaitych kołach towarzyskicl na rachunek pani Latter. Dodała, że sfery konserwa tywne są bezwarunkowo za małżeństwem pani Lat ter z Mielnickim, że radykalna młodzież drwi sobi z małżeństw, które w przyszłej ludzkości muszą by zniesione, lecz że umiarkowany odłam stronnictw emancypacji kobiet radzi tymczasem zachowa małżeństwa, jako formę przejściową.

Zakończyła wreszcie, że, lubo sama jest rady kalistką, jednak potrafi szanować zdania uczci wych konserwatystów i nawet byłaby gotową pod dać się decyzji umiarkowanego odłamu eman cypacji kobiet, gdyby na drodze życia spotkała nad zwyczajnego mężczyznę. Dla zwyczajnych bowier mężczyzn nie poświęciłaby się, ponieważ są to nik czemnicy i głupcy, z których żaden nie potrafi oceni kobiety wyższej, ani jej potrzeb.

Nigdy panna Howard nie była tak wymown i nigdy Madzia nie czuła takiego rozbicia myśli, ja po tym spacerze. Niby zygzaki błyskawic latał

j po głowie wspomnienia — to grubego Mielnickieo, to panny Malinowskiej, to pracujących kobiet, tórym nie wolno mieć dzieci, to znowu rozmaitych ół towarzyskich: konserwatywnych, radykalnych umiarkowanie emancypacyjnych. Wszystko to aliło się, trzaskało, brzęczało, tworząc chaos, poza tórym w sercu Madzi kryła się troska o panią atter.

— Boże, co będzie z nią i jej dziećmi?... — yślała.

Gdy zaś położyła się wieczorem do łóżka, opaował ją gniew na pannę Malinowską.

„Dlaczego ona mówi, że kobieta pracująca nie owinna mieć dzieci?... Cóż to, czy kobiety wiejskie e pracują, a jednak są matkami... Dzieci, to tae miłe, takie kochane stworzenia... Wolałabym nrzeć...“

Zamknęła oczy i — przyśnił się jej pan Kazimierz.

XVIII.

Kara za niedołęstwo.

Zajęta myślami o przyszłości pani Latter, Maia nazajutrz i następnych dni nie zauważyła, że ś knuje się na pensji. Widziała rozdrażnienie nny Howard, słyszała szepty dam klasowych, niez obiło się o jej uszy słówko tej lub owej pensjorki: „intrygant“ „niedołęga!“ — ale nie przywiąwała do tego znaczenia.

Dusza jej była przesycona niepokojem o panią atter, o Helenkę, nawet... o pana Kazimierza, któ-

rym, według przepowiedni panny Malinowskiej, groziła ruina... Cóż więc mogło ją obchodzić, że kogoś nazywają intrygantem i niedołęgą, że cała pensja o czemś szepce?... Alboż ona sama nie była pełna jakichś tajemniczych szeptów, nad któremi górowały dwa zdania:

„Rola pani Latter skończyła się nieodwołalnie".

„Kobiety pracujące nie powinny mieć dzieci".

Słowa te wydawały się Madzi okrutnemi; tem okrutniejszemi, że kochała panią Latter jak drugą matkę, a najwięcej kochała ją zato, że ma dzieci.

„Jak można — myślała sobie — z taką straszną obojętnością odmawiać praw do życia istotom malutkim i niewinnym, których dusze, być może, krążą nad nami, upominając się o przyjście na świat, o chrzest i wiekuiste zbawienie?... Jak można przed nieurodzonymi zamykać wieczność tylko dlatego, ażeby nam było dobrze?..."

Wspomnienie panny Malinowskiej, która tak spokojnie rzucała wyrok zagłady na nieurodzonych, napełniało Madzię trwogą. Zdawało jej się, że łagodna i zacięta blondynka wypowiada wojnę samemu Bogu.

„Wolałabym umrzeć, aniżeli coś podobnego pomyśleć" — mówiła w duchu.

A tymczasem około niej szeptano o jakimś intrygancie i niedołędze. Lecz, gdy Madzia zbliżyła się do grupy pensjonarek, dziewczynki milkły, choć w ich oczach można było wyczytać, że mówią o czemś ważnem.

Raz doleciał Madzię frazes:

— Jej panna Howard nie kazała... Ona jest tak łagodna, że może wszystko zepsuć...

Madzia machinalnie spojrzała na dowodzącą pensjonarkę, która uciekła. Lecz i te zdania odbiły się od jej uwagi, jak piłka od ściany.

W następną sobotę dyżurowała Madzia w czwartej klasie, gdzie od godziny dziesiątej do jedenastej Dębicki miał wykładać botanikę. Siedziała na krześle, haftując coś, pogrążona w myślach, gdyż klasa była spokojna.

Po dzwonku nauczyciel języka niemieckiego opuścił salę, a w parę minut wszedł Dębicki. Był jak zwykle zakłopotany, idąc, podnosił kolana bardzo wysoko, okrążył katedrę, potknął się na stopniu, co rozśmieszyło pensjonarki, i zapisał się w dzienniku.

Potem rzekł cichym głosem:

— Panna Kolska...

— Nic nie mów!... nie umiesz!... — zaszemrano w klasie.

Madzia spojrzała po sali. Większa część uczennic miała spuszczone głowy, lecz w ostatnich ławach było widać rozognione twarze i błyszczące oczy.

Dębicki zamyślił się, przewracał kartki dziennika, bawił się piórem, lecz stopnia uczennicy nie zapisał.

— Panna Siewierska...—odezwał się po chwili.

— Nic nie mów!... Nieprzygotowana!... — odezwały się głosy panienek, tym razem liczniejsze i silniejsze, niż poprzednio.

Dębicki podniósł się z fotelu i, patrząc na rzędy pochylonych główek, rzekł spokojnie:

— Moje panie, cóż to znaczy?...

— Nic nie rozumiemy... Nudne lekcje...

— Nie rozumiecie panie botaniki?...

— Nic, ale to nic nie rozumiemy!... — zawołał cienki głos. A po nim chór:

— Nie rozumiemy... Nie chcemy...

Dębickiemu twarz zrobiła się szara, nos trochę posiniał. Zachwiał się, odetchnął parę razy, jakby mu zabrakło powietrza, a w jego oczach błysnęła trwoga. Lecz uspokoił się, zeszedł z katedry, stanął przed pierwszemi ławkami i, pokiwawszy głową, rzekł z uśmiechem:

— Dzieci!... Dzieci!...

Potem opuścił salę, znowu podnosząc kolana bardzo wysoko i trzymając rękę za klapą surduta.

Kiedy cicho zamknął drzwi za sobą, Madzia napół nieprzytomna zapytała:

— Co to jest?...

Odpowiedziało szlochanie jednej z przychodnich uczennic. Była to siostrzenica Dębickiego.

— Co to znaczy?... — powtórzyła Madzia.

W klasie panowało głębokie milczenie, a pc chwili rozległ się płacz innej dziewczynki, któr: była w przyjaźni z siostrzenicą nauczyciela.

A potem w różnych punktach sali zaczęły płakać jeszcze inne dziewczynki i odzywać się głosy:

— To przez Bandurską!...

— Nieprawda, bo to Lange!...

— Mnie panna Howard kazała.

— Trzeba przeprosić pana profesora...

— Prosić!... Przeprosić... Niech pani prosi!...

Madzia rzuciła swój haft na ziemię i wybiegła na korytarz.

Dębicki w futrze i czapce stał na połowie schodów, trzymając się poręczy i ciężko dysząc. Madzia schwyciła go za ręce i, łkając, zapytała:

— Co panu jest?... Dlaczego pan wychodzi?...

— Nic. Przypomniano mi, że powinienem wziąć się do spokojniejszego zajęcia — odparł ze smutnym uśmiechem.

— Ależ, panie... — niech pan wróci... — błagała Madzia, coraz mocniej ściskając go za rękę. — One ak proszą... bardzo proszą!...

— Dzieci są zawsze dobre — odparł — ale ja estem chory i już nie mogę być nauczycielem.

W tej chwili przebiegła przez korytarz i schody nała siostrzenica Dębickiego i, z płaczem rzuciwszy nu się na szyję, rzekła:

— Wujciu... ja z wujciem pójdę... nie chcę u być...

— Dobrze, dziecko. Tylko weź salopkę...

— Wezmę, wujciu... ale wujcio zaczeka na nnie... sam nie odejdzie... — szlochała dziewczynka, ałując jego ręce.

— Panie... — rzekła Madzia — chciałabym panu o nóg...

Potem zasłoniła twarz chustką i uciekła na órę.

W innych klasach zwrócono uwagę na szmer kurytarzu. Parę nauczycielek wyszło, zapytując adzię, co to znaczy...

— Nic... — odparła. — Dębicki zachorował...

Wybiegła i panna Howard ze swego pokoiku, niespokojna, rozgorączkowana.

— Więc j u ż?... — spytała Madzi.

Teraz Madzia wciągnęła ją do pokoju i, zamknąwszy drzwi, zawołała:

— A, pani jest zła kobieta!...

— Co pani mówisz?... — zapytała, raczej z trwogą, aniżeli z gniewem panna Howard.

— A pani co zrobiła?... Zgubiła niewinnego człowieka, chorego na serce... Niech pani zejdzie na dół... niech spojrzy, a do śmierci nie zapomni pani swego czynu... Bo komu on szkodził... komu zawadzał ten biedak?...

— Chory na serce?... — powtórzyła panna Howard. — On naprawdę chory?... Ależ, ja o tem nie wiedziałam...

— Ale, co on pani winien?... Komu on co winien?... Litości nie macie... nie boicie się Boga!... — mówiła Madzia zdławionym głosem.

— Więc, jeżeli on naprawdę taki nieszczęśliwy, to ja mogę do niego napisać... niech wróci na pensję... Ja przecież nie wiedziałam, że on chory na serce... Ja myślałam, że to zwyczajny niedołęga... — tłumaczyła się zawstydzona panna Howard.

„Ona jest naprawdę warjatką!“ — pomyślała Madzia. Otarła oczy, opuściła zgnębioną pannę Klarę i wróciła do klasy.

W kwadrans po awanturze, kiedy Dębicki ze swoją siostrzeniczką byli na ulicy, do pani Latter weszła tylnemi drzwiami jedna z dam klasowych i opowiedziała o zajściu w czwartej klasie.

Pani Latter słuchała podniecona, zarumienio-

na, a na pytanie damy: czy pójdzie na górę, odparła z nienaturalnym uśmiechem:

— Wszystko jedno!... Jest to wprawdzie nieporządek... ale...

Machnęła ręką i ciężko usiadła na kanapie.

Dama, nie mogąc się niczego dowiedzieć, wyszła zdziwiona, a w tej chwili Stanisław przyniósł pani Latter korespondencję z poczty.

Pani Latter, wciąż uśmiechając się, zaczęła przeglądać listy. Jeden upadł na ziemię, więc podniosła go z wysiłkiem.

— Od Mielnickiego — rzekła. — A ten z Neapolu. Od kogóżby to?

Otworzyła i przeczytała króciutki anonim, napisany po francusku:

„Jesteś pani kobietą rozumną, jak głosi opinja, więc powinnabyś ostrzec swoją córkę, ażeby, gdy już znalazła konkurenta dla siebie, nie odciągała konkurentów innym pannom, które jej nie przeszkadzały w polowaniu na bogatego męża. Życzliwa“.

Pani Latter zmięła list i, oparłszy głowę na poręczy kanapy, rzekła do siebie półgłosem, wciąż uśmiechając się:

— Ach, ta Hela... Nawet z za granicy przychodzą na nią skargi...

XIX.

Pierwszy smutek.

W połowie marca, około siódmej wieczór panna Howard, powróciwszy z miasta, wywołała Madzię z klasy i zaprowadziła do swego pokoju.

Panna Howard była rozgorączkowana. Drżącemi rękoma zapaliła lampę i, nie zdejmując okrycia ani kapelusza, rzuciła się na krzesło. Zwykle różowa jej twarz miała w tej chwili płową barwę włosów i tylko, skutkiem marcowych podmuchów, nos był trochę zaczerwieniony.

— Co się pani stało?... — zapytała wylękniona Madzia. — Czy może panią kto zaczepił na ulicy?

Panna Howard wzruszyła ramionami i spojrzała na Madzię z pogardą. Przedewszystkiem jej nikt i nigdy nie zaczepiał, a choćby zaczepił, więc cóż?... Taka drobnostka nie zdenerwowałaby panny Howard.

Więc milczała przez pewien czas, jak biegły deklamator, który chce wywołać efekt. A potem— zaczęła zwolna, niekiedy przerywając dla nabrania tchu:

— Wie pani u kogo w tej chwili byłam i dlaczego? Jestem pewna, że nigdy pani nie zgadnie. Byłam... u Joasi...

— Pani, u Joasi?... — zawołała Madzia.—I cóż ona?...

— Przyjęła mnie bardzo dobrze, zgadując, że przyszłam do niej jako przyjaciółka.

— Pani, jako przyjaciółka Joasi?... Przecież...

— Chcesz pani powiedzieć, że przeze mnie straciła miejsce?... Ależ ta biedaczka prędzej czy później musiałaby stracić każde miejsce... Stan jej zdrowia...

— Ona jest chora?... Co jej?...

Panna Howard podniosła oczy do góry i mówiła dalej, nie zważając na pytania Madzi:

— Spotkałam dziś panią Fantoche, która ciągle utrzymuje stosunki z tą nieszczęśliwą ofiarą...

— Pani mówi o Joasi?... — wtrąciła Madzia.

— Właśnie i ja, gdy zapytałam panią Fantoche: skąd wraca, i usłyszałam, że od tej nieszczęśliwej, byłam zdumiona. Wtedy zacna Fantoche powiedziała parę słów, które mnie rozbroiły.

W tem miejscu panna Howard podniosła się z krzesła, zbliżyła usta do ucha Madzi i szepnęła:

— Joasia jest...

A potem zaczęła zdejmować kapelusz i okrywkę, jak osoba, już nie mająca nic do powiedzenia, ponieważ wypowiedziała taką prawdę, która jest syntezą wszystkich prawd, jakie istniały, istnieją i kiedykolwiek mogą objawić się ludzkości.

— Joasia?... Co pani mówi?... — zawołała Magdalena, zbudziwszy się z chwilowego osłupienia. — Przecież ona nie jest mężatką...

Z panny Howard spadła okrywka i zatrzymała się na lewym rękawie, który jeszcze nie był zdjęty. Płowowłosa dama spojrzała na Madzię bledszemi niż zwykle oczyma i odparła z lodowatym spokojem:

— Wie pani, panno Magdaleno, że powinnabyś wrócić do pierwszej klasy!... Jakto, więc kobieta w wieku pani, kobieta samodzielna, może zadawać podobne pytania?... Ależ pani jesteś poprostu śmieszna...

Madzia zaczerwieniła się jak najczerwieńsza wiśnia.

— Ja przecież rozumiem...

— Pani nic nie rozumiesz! — zawołała panna Howard, tupiąc nogą.

— Właśnie, że rozumiem! — upierała się Madzia napół z płaczem. — Ale przecież wiem...

— Co pani wie?...

— Wiem, że tak szkaradnego czynu nie dopuściła się sama — odpowiedziała Madzia, mrugając oczyma pełnemi łez.

— Ach, o to pani chodzi?... Naturalnie, że musi być wspólnik, i właśnie o nim pogadam dziś z panią Latter.

— O kim?...

— Rzecz prosta, że o panu Kazimierzu Norskim.

Madzia spojrzała na nią z wyrazem takiej trwogi, że panna Howard zdziwiła się.

— Co to znaczy?... — rzekła.

— Na miłość boską — zawołała Madzia, łamiąc ręce — niech pani tego nie robi... Pan Kazimierz?... ależ to plotki...

— Wiem to od Joasi.

— Joasia kłamie!... — odparła Madzia.

— Joasia mogłaby kłamać, ależ chyba nie kłamią nasze oczy. Pan Kazimierz bałamucił biedną dziewczynę od wakacyj...

— Bałamucił?... — szepnęła Madzia, zataczając się. Blada, usiadła na krześle i nie spuszczała oczu z panny Howard, zdumionej i rozgniewanej.

— Rozumie się, że bałamucił, aż nareszcie skłonił ją do schadzek. Przecie chyba pamiętasz pani, kiedy Joasia wróciła na pensję o drugiej w nocy?... Bohater!... Don Juan!... — zawołała panna Klara. — Mówił jej, że jest najpiękniejsza, że dopiero ją pokochał prawdziwie, groził, że odbierze sobie życie w jej

czach... A dziś drwi z niej i ucieka. O, podły ro-
zie męski!... I ja nie mam rozmówić się o tej nie-
zczęśliwej z jego matką?

Madzia splotła ręce i opuściła głowę, tak, że
ień padł na jej drobną twarzyczkę. Ale panna Ho-
ard nie patrzy na nią, tylko, chodząc po pokoju,
nówi:

— Jakto, więc biedna dziewczyna ma zostać
ama jedna, bez opieki, bez grosza, odepchnięta
rzez krewnych i znajomych, w takiej chwili, kiedy
ajbardziej i najsłuszniej należy jej się pomoc od
ałego społeczeństwa?... Więc kiedy uwodziciel rzu-
a się w objęcia coraz nowych kochanek, ona nie ma
awet lekarza i służącej?... Kiedy on trwoni setki
bli przez miesiąc, ona nie ma talerza rosołu
szklanki herbaty?... Zdaje mi się, panno Magda-
lno, że w pani nietylko nie rozbudziła się znajo-
ność świata, ale nawet śpi uczucie sprawiedliwości...

— A jeżeli to nieprawda?... — szepnęła Madzia.

— Co nieprawda?... Że kobiety są nieszczę-
świe, nawet pełniąc najwznioślejsze obowiązki,
mężczyźni mają przywileje nawet w zbrodni?...

— A jeżeli to nie pan Kazimierz?... — nalegała
Madzia. — Niech pani sobie przypomni omyłkę co do
bickiego. Ten człowiek nie był winien, a jednak...

— Także porównanie! — odparła panna Ho-
ard, coraz prędzej chodząc po pokoju. — Dębicki
jest człowiek chory, więc na wszystkich robi wra-
żenie niedołęgi, ale pan Norski jest znany bałamut...
Przecież on mnie chciał uwieść, mnie!... I potrzeba
było całej potęgi mego rozumu i charakteru, ażeby
się oprzeć jego spojrzeniom, półsłówkom, uściskom

ręki... „Bądź pani moją przyjaciółką... moją siostrą...
mówił. Cha! cha!... pięknie wyglądałabym wśród za
cofanego społeczeństwa...

Korzystając z przerwy, Madzia w milczeniu po
żegnała pannę Howard i, tłumiąc łzy, pobiegła do sy
pialni za swój szafirowy parawanik.

Znalazłszy się tam, Madzia upadła na łóżk
ukryła twarz w poduszce i płakała, gorzko płakała.
W uszach jej szumiały wyrazy: Kazimierz bałamuc
Joasię od wakacyj — rzuca się w objęcia coraz no
wym kochankom — prosił pannę Howard, ażeby zo
stała jego przyjaciółką i siostrą... On przecież i j
Madzię, nazywał drugą siostrą!... Może być, że jes
to bałamut i kłamca, ale w chwili, kiedy ją całow
po rękach, musiał to robić szczerze. Choćby cał
świat, choćby on sam zapewniał, że nie był szcze
rym, Madzia nie uwierzyłaby. Takie rzeczy odczu
wa się instynktownie, a Madzia odczuła je głębok
i, pomimo gniewu i trwogi, była szczęśliwa.

Zdawało się jej, że pan Kazimierz, tem całow
niem rąk jakby zawezwał ją (choć nic nie mówi
do dalekiej wspólnej podróży. Co ją mogło spotka
nie pytała; dość, że mieli być razem, zawsze razem
jak brat z ukochaną siostrą... I otóż, ledwie ją wy
prowadził za granicę konwencjonalnych stosunków
już przekonała się, że ją porzuci. Bo on przecie mi
więcej kobiet, które chciały być z nim; on nigdy n
należał i nie należałby do niej jednej; a w takim r
zie — co jej po nim? Czyliż cała wartość podobneg
przywiązania nie leży w tem, że się go z nikim n
dzieli?

Drżąc z płaczu na swojem łóżeczku, Madz

zuła, że spotkał ją okropny zawód, może jeden
tych, które kobietom delikatnym łamią życie, nie-
iedy rozum, a niekiedy spychają je do grobu...
traszne to było cierpienie, lecz szczęściem trafiło—
a nią, na nędzną i głupią istotę, która nietylko nie
niała prawa umierać z tego powodu, ale nawet nie
owinna skarżyć się, ani nawet myśleć o tem. Cóż
adzwyczajnego, że olbrzym, jak pan Kazimierz,
imochodem rozdeptał serce jakiejś mrówki, ma-
ącej ludzkie kształty i będącej damą klasową?... To
rzecież ona winna, że nie usunęła się z drogi. A ja-
a bezwstydna Joasia, że ma pretensję do pana Ka-
imierza!... Gdyby ją, Madzię, spotkał podobny los,
pan Kazimierz odsunął się od niej—nie powiedzia-
by ani słówka nikomu, nawet nie zdradziłaby się,
e jest nieszczęśliwą. Śmiejąc się, wyszłaby z pen-
i, niby to na spacer, śmiejąc się, poszłaby w stronę
ostu i, niby wypadkiem, rzuciłaby się w Wisłę.

Ludzie powiedzieliby: coś strzeliło do głowy
j warjatce, a sam pan Kazimierz nie domyśliłby
ę niczego, bo nie wiedziałby przyczyny. Może na-
et dla zatarcia w nim podejrzeń, może nawet opo-
iadałaby mu o swoich bliższych i dalszych pro-
ktach, wciąż wmawiając w niego, że jest szczęśliwą
nie martwi się niczem.

Tak zrobiłaby ona, Madzia. Bo przecież ona
ie, że między tłumem tych doskonałych ludzi, któ-
y cenią siebie, i są oceniani przez innych, ona jed-
jest marnym pyłkiem, o który nie warto się
oszczyć. Nikt nie powinien się o nią troszczyć, na-
et ona sama.

Tak wytłumaczywszy sobie swoją rolę i stą-

nowisko na świecie, Madzia spokojniejsza podniosła się z łóżka. Potem zmówiła pacierz do Matki Boskiej Bolesnej i uspokoiła się jeszcze bardziej. A potem, umywszy zapłakane oczy, wróciła do swoich uczennic i odrabiała z niemi lekcje, usiłując śmiać się, ażeby niewczesnym smutkiem nie zatruć ich dziecięcej wesołości...

Gdy zaś około dziesiątej wróciła znowu za swój szafirowy parawanik i zmówiła wieczorny pacierz—zasnęła tak spokojnie, jakby nigdy nie spotkał jej żaden zawód. Między nią i jej pierwszą w życiu boleścią stanął najpotężniejszy ze wszystkich—anioł pokory.

XX.

Widzenia.

W tej porze, kiedy pensjonarki przechodziły do sal sypialnych, pani Latter skończyła gospodarskie rachunki z panną Martą. W kasie było jeszcze kilka tysięcy rubli, ale pani Latter, przywykła sięgać myślą w przyszłość, już dziś zaprowadzała możliwe redukcje w wydatkach, ażeby codzień oszczędzić bodaj parę rubli. Paliło się za dużo światła w salach i na korytarzach, wychodziło zbyt wiele cukru i mydła, to trzeba zmniejszyć. Obiady były zanadto mięsne i tłuste, więc można ograniczyć ilość mięsa i masła, a nareszcie godziło się bieżący wielki post obchodzić nieco surowiej, przez zaprowadzenie postnych obiadów w poniedziałki. Są ludzie, którzy przez cały wielki post nie biorą do ust nietylko

mięsa, ale nawet nabiału; dobrze więc choćby czte-
·y razy na tydzień przypomnieć dziewczynkom,
że są chrześcijankami.

Postanowienie to zachwyciło pannę Martę, któ-
·a do przesady posuwała troskliwość o przepisy reli-
gijne; odeszła więc, zapewniając panią Latter, że te-
·az spłyną na jej pensjonat wszelkie błogosławień-
stwa. Ale pani Latter nie była zadowolona ze
swoich reform. Ona wiedziała, że czwarty dzień po-
stu zaprowadza się nie przez pobożność, lecz przez
oszczędność. Bo co będzie, jeżeli jej przed waka-
cjami zabraknie pieniędzy?... Jak ona powie: dzie-
ciom, nauczycielkom i służbie, że... jutro nie dostaną
obiadu?

Już od pół roku — podobne myśli dręczyły pa-
nią Latter, wypijając jej krew i mózg, jak rój bezcie-
esnych upiorów. Długi, oszczędności, zmniejszone
lochody i—jutro, niepewne jutro, już prawie prze-
tały zadawać jej cierpienia, a zaczęły nudzić swoją
ednostajnością... Wielki Boże! Cóż to za straszna
była dla niej tortura codzienne obcinanie łutów ma-
ła i mięsa, naparstków mleka i — te rachunki, z po-
za których wciąż wyglądała blado-żółtawo-zielona-
va twarz deficytu!...

Zawsze to samo: rachunek—deficyt—oszczęd-
ność... Piekło mogłoby rozziewać się na śmierć!...

Kiedy tego rodzaju zajęcia, ciągnące się do póź-
ej nocy, tak wyczerpywały panią Latter, że pra-
vie wpadała w rozpacz, wówczas pozostawał jej je-
.en ratunek: wypić kieliszek starego wina, które
rzysłał Mielnicki. Kieliszek nie mógł być nalany do
rzegów, gdyż wywoływał senność; nie mógł być

niepełny, bo mocniej rozdrażniał. Dopiero gdy pani Latter przy nalewaniu zachowała bardzo subtelną miarę i do ostatniej kropli wypiła wino, dopiero wówczas powracał jej spokój i ta tęgość umysłu dzięki której zdobyła stanowisko w świecie.

Dopiero wtedy, złamana i zrozpaczona kobieta, przemieniała się w dawną panią Latter, która jednym rzutem oka oceniała sytuację, w jednej chwili robiła plan odpowiedni okolicznościom i wykonywała go z nieugiętą konsekwencją.

Dziś użyła tego samego środka, zachowując pewne ostrożności, jakby lękała się, ażeby jej kto nie podpatrzył. Cicho weszła do swojej sypialni, zamknęła drzwi, wydobyła z szafy omszałą butelkę i średniej miary kieliszek, nalała, patrząc pod światło, i, lękliwie obejrzawszy się, wypiła wino jak lekarstwo.

— Ach!... — odetchnęła, czując ulgę.

Potem wróciła do gabinetu i, usiadłszy na kanapie, zaczęła marzyć z przymkniętemi oczyma. W jej stroskanej duszy otwierały się źródła ukojenia.

Pierwszem była wiara, że cokolwiek zdarzy się, ona od wakacyj nie będzie miała pensji. Czy Helenka wyjdzie zamąż, a ona przeniesie się do majątku Solskiego, czy sama zostanie gospodynią (a może żoną?...) Mielnickiego, czy trafi się jakiś inny wypadek, na wszelki sposób ona, pani Latter, musi być wolną od dzisiejszych zajęć. I dziwna rzecz: ile razy przychodziła jej na myśl nowa przyszłość, tyle razy widziała siebie, siedzącą w jakimś starym parku nad rzeką.

Widzenie było tak jasne, że pani Latter prawie

nogła wymierzyć grubość drzew, odmalować kolor iści i formy cienia, jakie ich korony rzucały na ziemię. Widziała kosmatą liszkę, zwolna sunącą po korze lipy, widziała pęknięcie, które biegło wzdłuż czarnej ławki ogrodowej, czuła świeży zapach ziemi, słyszała szelest rzeki, która płynęła o parę kroków od niej i której nurt skręcał w tem miejscu.

Dla pani Latter obraz ten, powtarzający się prawie codzień, nie był halucynacją, ale jasnowidzeniem. Była przekonana, że widzi swoją przyszłość, taką szczęśliwą przyszłość, że warto było pracować na nią cierpieniami dotychczasowego życia. Nie było tu nic i nikogo, oprócz ławki czarnej ze starości, gromady drzew i szeleszczącej rzeki. Ale w ubogim krajobrazie panował taki spokój, że pani Latter zgodziłaby się przesiedzieć całą wieczność na tej ławce i całą wieczność patrzeć na kosmatą liszkę, leniwie pełznącą wgórę drzewa.

Ona już tylko tego chciała dla siebie od życia: tylko spokoju.

Po fali marzeń przychodziła fala rozmyślań. Pani Latter otwierała oczy i, patrząc na swoje biurko, na popiersie Sokratesa, wychylające się z poza lampy, mówiła do siebie:

„Z pensją koniec: rzucam ją od wakacyj, choćbym miała na drugi dzień stracić życie. Ale co to za park?... Czy to park Solskiego, czy Mielnickiego?... Ach... to był nasz park w Norowie... Taki majątek i tak go zmarnować!...“

Wstrząsnęła się i machinalnie zatkała rękoma uszy, jakby lękając się szeptu wspomnień, które mogły powiedzieć jej, że to — ona strwoniła ma-

jątek męża, swój, a nadewszystko dzieci... I t
z kim?... Z jakimś eks-guwernerem. Majątek No
skich z Latterem! I to ona — tak oszalała?... Ona wy
szła drugi raz zamąż? Ona była zazdrosną o teg
drugiego?... Ona, która w parę lat później wypę
dziła go...

Ale nad temi wspomnieniami pani Latter ju
umiała panować. Odsunęła więc je od siebie, ja
niepotrzebny skrawek papieru, i zaczęła myśle
o córce.

Panna Helena, a właściwie — jej małżeństw
z Solskim, było dla pani Latter drugiem źródłem po
ciechy i fundamentem, na którym opierały się je
nadzieje. Po wielu wahaniach pani Latter powie
działa sobie, że: Helenka musi wyjść za Solskieg
Dla nikogo już nie było tajemnicą w Warszawie, ż
Solski, zbliżywszy się do panny Heleny we Wło
szech, poprostu oszalał dla niej; zaś pani Latte
częścią wiedziała od córki, częścią odgadywała, ż
w tej chwili między Helenką a Solskim toczy si
prastara walka, która zwykle poprzedza kapitulacj
obu stron. Mianowicie — pan Solski udaje obojętne-
go, a panna Helena kokietuje innych mężczyzn.

„Prędzej czy później, dziś czy jutro — myślał
pani Latter — on wybuchnie i oświadczy się, a He-
lenka go przyjmie. A ja najpierwej dowiem się
o tem od Zgierskiego, który przybiegnie z powinszo-
waniami i z pieniędzmi...“ — dodała z uśmiechem.

Przymknęła oczy i ujrzała drugi obraz. Wi-
działa niby Helenkę, niby samą siebie, wchodzącą
w białej jedwabnej sukni z długim trenem do salonu,
pełnego osób. Helenka wyglądała prześlicznie: jej

suknia była haftowana perełkami, a piękna głowa zasypana brylantami, z których jeden nad czołem rzucał światło purpurowe, drugi nad skronią był podobny do zielonawej gwiazdy. Pani Latter widziała każdą zmianę blasku brylantów, każdą fałdę bogatej sukni, widziała rozszerzone nozdrza i dumny wzrok córki, przed którą pochylały się wszystkie głowy z podziwem lub zazdrością.

Obok Helenki stał Solski, człowiek brzydki z kałmuckiemi rysami, ale z dziwną energją w twarzy. Pani Latter wpatrywała się w nich oboje z zachwytem, myśląc:

„Czy może być bardziej dobrana para?... Ona, piękna jak marzenie, on szkaradny, ale dzielny... taki wielki majątek!...“

Potem — zdawało jej się, że mówi do córki:

„Jakaś ty szczęśliwa, Helu, mając męża brzydkiego i energicznego!... Moi dwaj byli bardzo piękni, ale za słabi dla mnie, a to jest przyczyną, że zmarnowałam życie... Twój mąż będzie szalał za tobą, ale nie pozwoli na żaden wybryk...“

Pani Latter znowu otworzyła oczy i znowu, zamiast bogatej sali, gdzie królowała jej córka, zobaczyła swój gabinet. Nagle przyszła jej myśl:

„A jeżeli Helenka nie wyjdzie za Solskiego?“

Twarz pani Latter skurczyła się, a w oczach błysnął gniew, prawie nienawiść.

— Wolałaby mnie zabić... — szepnęła.

Pani Latter już nie mogła pogodzić się z myślą, że jej córka nie wyjdzie za Solskiego, w dodatku — bardzo prędko. Helenka musi w tych czasach zrobić

świetną karjerę, bo — od tego zależała przyszłość Kazia.

Troska o pana Kazimierza była cierniem, którego nic nie mogło wyrwać z duszy matki. Pani Latter czuła, że dla jej zupełnego szczęścia potrzeba, ażeby syn zajął kiedyś stanowisko między najznakomitszymi świata i był równy jeżeli nie Napoleonowi, to przynajmniej Bismarckowi. Zwątpiłaby o boskiej sprawiedliwości, gdyby syn, prędzej czy później, nie posiadał nietylko majątku, sławy i władzy, ale jeszcze tych przymiotów, które wybraną jednostkę wynoszą ponad zwykłych śmiertelników. To zaś ją truło, to spędzało sen z powiek, że nie mogła wyobrazić sobie: jakim sposobem syn dojdzie do upragnionego stanowiska? Oczywiście, powinien wyjechać za granicę, najlepiej do którego z niemieckich uniwersytetów, gdzie często w audytorjum można spotkać się z książętami panujących domów. A niechby się tylko zetknął Kazio z takim młodym mocarzem, już tamten nie puści go od siebie i— karjera gotowa!... Na nieszczęście, na zagranicę trzeba pieniędzy, dużo pieniędzy, a pani Latter nie wątpiła, że sama ich nie wypracuje.

Więc skąd pieniądze dla Kazia?... Oczywiście, jest jeden tylko sposób: ażeby Helenka jak najprędzej wyszła za Solskiego. Krocie Solskiego, jego związki rodzinne i znajomości za granicą były szczeblami, po których miał wejść pan Kazimierz na przeznaczoną mu wyżynę.

Pani Latter znowu zaczęła marzyć. Nie jestże w tem oczywisty palec Opatrzności, że Ada wzięła do Włoch Helenkę, w której teraz zakochał się Sol-

si... A czy mógłby trafić się podobny wypadek, gyby Ada, wcześniej zostawszy sierotą, nie weszła jej pensję, gdyby pani Latter nie straciła majątku ie zajęła się wychowywaniem obcych dzieci?...

Był to cudowny łańcuch wydarzeń, który ciągał Kazimierza na jakiś szczyt już wówczas, kiedy tem jeszcze nie myślała jego matka. Ten szereg dów spełniał się w jej oczach; więc dlaczego miałby się spełnić jeszcze jeden cud... Do wacyj jest przecie trzy miesiące: przez ten czas Heka wyjdzie zamąż, a Kazio od wakacyj wyjedzie granicę.

Dziś wyjechać nie może. Gdyby bowiem pani tter dała synowi potrzebne pieniądze, groziłoby bankructwo przed końcem szkolnego roku.

— Cudu!... cudu!... — szeptała pani Latter. noszą oczy do nieba i pobożnie składając ręce. gle wstąpiła w nią nadzieja: uczuła, że niebo musi słuchać próśb matki, błagającej za synem.

XXI.

Rzeczywistość.

W tej chwili zapukano do drzwi gabinetu raz rugi. Pani Latter ocknęła się z marzeń i spojła na zegar.

— Jedenasta wieczór—rzekła. — Cóż się stało? oszę...

Weszła panna Howard. Miała tak nieśmiałe ruy i tak skromnie spuszczone oczy, że pani Latter niepokoiła się.

— Cóż — odezwała się cierpko — czy znow uczennice chcą wypędzić jakiego nauczyciela?

Panna Howard zarumieniła się po swojemu.

— Nie może pani zapomnieć wypadku z D-bickim — odparła cicho. — Przecież stało się to prz względ na panią... Pani niecierpiała tego człowieka.

— A, panno Klaro, mogłaby pani zostawić n swobodę przynajmniej w nielubieniu kogoś! — w-buchnęła pani Latter. — Cóż pani znowu przynos'

Nieśmiałość panny Howard znikła.

— Więc to jest podziękowaniem za moją życ-liwość? — zawołała. — Od tej chwili — mówi szyderczym tonem — może pani być pewną, że o osobistych jej spraw mieszać się nie będę, choćby

— Zatem obecnie przyszła pani nie w moi interesie? Chwała Bogu.

— Zgadła pani. Sprowadziła mnie tu niedo osoby trzeciej, będąca zarazem wielką sprawą, cz wielką niesprawiedliwością społeczną.

— Sądzi pani, że mam odpowiednią władzę? - zapytała pani Latter.

— Władzę?... nie wiem. Prędzej obowiązel Joasia znajduje się w stanie... — dokończyła cich panna Howard.

Pani Latter drgnęły usta. Nie zmieniając jec nakże tonu, odparła:

— Czy tak?... Winszuję.

— Winszuje pani swemu synowi...

Pani Latter pożółkła; usta i powieki zaczęł jej drżeć.

— Pani chyba ma gorączkę, panno Klaro – odparła stłumionym głosem. — Czy pani zastanc

iła się, co pani mówi?... Gubi pani, prawda że
aloną, ale w gruncie niezłą dziewczynę, powtarza-
c jakieś plotki bezsensowne... Przecież Joanna cią-
e bawi się, bywa między ludźmi... Jest nawet
przyszłym tygodniu gospodynią jakiegoś rautu...

— Nie może robić inaczej — rzekła panna
oward, wzruszając ramionami. — Przyjdzie jednak
as...

Pani Latter chwilę patrzyła na nią, drżąc
gniewu. Spokój panny Howard doprowadzał ją do
ału.

— Co pani mówi?... Co to jest?... Co to wre-
cie mnie obchodzi?... Na żądanie pani wydaliłam
annę... już nie jest na mojej pensji, więc... co mnie
tych nowinach?...

— Ależ sprawa ta obchodzi syna pani...

— Mego syna?... — zawołała pani Latter. —
icesz pani wmówić we mnie, że gdy jakiejś guwer-
ntce podoba się mieć wypadek w życiu, to ja bę-
za to odpowiadała?... O Joasi jest kłamstwo, ale
wet choćby tak było, kto ma prawo zaczepiać
go syna?...

— Naturalnie, że jego ofiara.

— Cha... cha... cha! Joasia ofiarą mego syna.
zaś mam zostać protektorką młodej osoby, która
roku spacerowała po mieście bez mojej wiedzy...
wtarzam: nie wierzę w to, co pani mówi o Joasi:
choćby tak... to ja chyba powinnabym najpóźniej
wiedzieć się o tem, jak mój syn był zapewne
atnim w tej awanturze, jeżeli się naprawdę w nią
łatał.

Panna Howard zmieszała się.

— Nie może pani mówić tak o Joasi — rz-
kła. — Ona przecież z panem Kazimierzem była
kolacji... wtedy...

— A z iloma było pierwej?... Nie wierzę w
co mi pani mówi o Joasi, lecz jeżeli byłoby to pra-
dą, mój syn nie miałby prawa jej wierzyć. Bo
dziewczyna oszukiwała mnie, mówiąc, że idzie
krewnych, kiedy szła na schadzkę; któż więc zar-
czy, że nie oszukiwała mego syna i wszystkich sw-
ich kochanków, jeżeli on był jednym z nich?

— A jeżeli sama Joasia powie, że to pan Ka-
mierz?...

— Komu powie? — zapytała pani Latter.

— Pani.

Pani Latter schwyciła lampę z biurka, zdję
klosz i oświetliła ścianę nad kanapką, gdzie wisia
dwa portrety dzieci.

— Patrz, pani! — zawołała do panny H-
ward. — Oto jest Kazio, gdy miał lat pięć, a
Helenka, gdy miała trzy. Takie są rysy familij
Norskich. Kto chciałby przekonać mnie, że Kazi
ten musiałby pokazać dziecko podobne albo do n-
go, albo do Helenki. Rozumie pani?

— To znaczy, musiałby czekać trzy, albo pi
lat — wtrąciła panna Howard. — A tymczasem?

— Co tymczasem?...

— Co ma począć kobieta zdradzona?

— Nie narażać się... nie polować na to, aże
ją zdradzano!... — odpowiedziała ze śmiechem pa
Latter.

— Ona niewinna... nie wiedziała, co ją spotk

— Panno Klaro — rzekła już spokojnie pa

‚atter. — Jesteś kobietą dojrzałą, mówisz do kobie-y dojrzałej i mówisz, jak pensjonarka... Wszakże ;ałe nasze wychowanie jest skierowane tylko do ego, ażeby uchronić kobietę od zdrad... Każą nam ie włóczyć się po nocach, nie kokietować męż-zyzn, wystrzegać się ich... Pilnuje nas cały świat, rozi niesławą za każdy uśmiech, za każdy poufal-zy ruch... Słowem — dwudziestoma płotami zabez-iecza się kobietę od pewnych rzeczy... Więc jeżeli na dobrowolnie, a nawet wbrew upomnieniom, co-zień sama przeskakuje te płoty, czy może nazywać ię zdradzoną?...

— Więc pani uznaje jakieś specjalne przepisy la kobiet?... Więc kobiety nie są ludźmi?... — za-wołała panna Howard.

— Przepraszam panią, ale ja tych przepisów ie stworzyłam. A jeżeli one stosują się tylko do ko-iet, to zapewne z tej racji, że tylko kobiety zostają natkami.

— A więc według pani emancypacja, postęp, ajwyższe zdobycze cywilizacji...

— Kochana panno Klaro — przerwała pani ‚atter, kładąc jej na ramieniu rękę — zgódźmy się a jedno: pani wolno bronić postępu, a mnie — cięż-o zapracowanych pieniędzy. Ja nie zmuszam pani lo przyjmowania moich zacofanych poglądów, iechże więc pani nie zmusza mnie do przyjmowania a mój koszt zagadkowych dzieci, jeżeli te istotnie rzyjdą na świat.

— Więc Joanna zwróci się do syna pani — od-owiedziała oburzona Klara.

— A on odpowie jej w ten sposób, jak ja pani,

Jeżeli Joanna uważała za stosowne narażać się r awantury, to nie powód, ażeby mój syn nie mi: prawa usuwać się od awantur. Zresztą mój syn n ma pieniędzy...

— Ach, prawda! — podchwyciła panna H(ward z szyderczym uśmiechem — że syn pani je: jeszcze małoletni... To nie Kotowski, który umie d(trzymać słowa, danego kobiecie...

— Panno Howard!

— Dobranoc pani! — odpowiedziała pann Klara. — A ponieważ nasze poglądy różnią się a tak... więc... od Wielkiejnocy będę miała zaszczy usunąć się z tej pensji.

— Ach! usuń się choćby ze świata!... — szep nęła pani Latter po odejściu nauczycielki. I nagl taki żal ścisnął ją za gardło, taka desperacja poczę ła rozsadzać jej piersi, taki chaos zakotłował si w głowie, iż myślała, że padł na nią atak szaleń stwa.

Wiadomość, przyniesiona przez pannę Howard była wielkiem nieszczęściem dla pani Latter; al(ostatnie słowa rozmowy były ciosem, zadanym je macierzyńskiej dumie i nadziejom. Z jaką pogard: ta stara panna nazwała jej syna „małoletnim"!.. I jak ona śmiała, jak ona miała serce w tej chwil porównać go z Kotowskim?

Już od pewnego czasu w duszy pani Latter gromadziły się głuche uczucia, które możnaby nazwać pretensją do syna. Ile razy zapytał ją kto: „co robi pan Kazimierz?..." „dokąd wyjeżdża?..." albo: „ile ma lat?...", matka doznawała jakby pchnięcia nożem. Po każdem takiem pytaniu przychodziło jej na

nyśl, że ten syn już ma lat dwadzieścia kilka, że omimo zdolności nic nie robi, co gorsza — ciągle ozostaje tym samym obiecującym młodzieńcem, ıkim był, mając lat szesnaście, siedemnaście, osiemaście... A co najgorsze — zabiera mnóstwo pienięzy jej, kobiecie, zmęczonej pracą i zagrożonej bankructwem.

Nieraz przypominał jej się ów przykry sen, którym po raz pierwszy w życiu uczuła chłód dla vych dzieci i powiedziała sobie, że — mogłaby być olną, gdyby nie one. Ależ to był tylko sen, bo na wie ona wciąż gorąco kochała Kazia i Helenkę, ierzyła w ich świetną przyszłość i gotowa była szystko poświęcić dla nich.

Tymczasem dziś panna Howard w brutalny osób zerwała zasłonę z jej sennych tajemnic ośmieliła się powiedzieć, że ten Kazio ubóstwiany st niedołęgą. „On jeszcze małoletni!...“ To nie Kowski...

A ów Kotowski to przecie rówieśnik Kazia, z tą żnicą, że już kończył uniwersytet i szedł wytkniędrogą, której Kazio jeszcze nawet nie znalazł. Ów towski utrzymuje sam siebie, a taką ma wiarę przyszłość, że zaimponował Mielnickiemu. Oto t młoda energja, jakiej pani Latter szukała w swo synu, i nie mogła... nie mogła znaleźć!...

A dziś co?... Jak ten ukochany syn, ten przyy genjusz przedstawia się oczom ludzkim?... Przydzi tu, do jej mieszkania, marna guwernantka, całym spokojem depcze syna wobec matki. Bo przekonaniu Howardówny ten „małoletni“ i nie-

podobny do Kotowskiego pan Kazimierz, chyba.. powinienby ożenić się z Joanną, czy co?...

Myśląc o tem, pani Latter schwyciła się oburącz za włosy i chciała bić głową o ścianę. Czy mogło być coś haniebniejszego, jak jej syn skazany — na żenienie się!... Jej chluba, nadzieja, ziemskie bóstwo, które cały świat miał podziwiać, kończy wcal nierozpoczynaną karjerę w ten sposób, że — żen się z wydaloną guwernantką i cieszy się przedwcze snem potomstwem!...

Coby na to powiedział Solski, Mielnick i wszyscy jej znajomi, którzy tak ciekawie wypytywali się „co robi pan Kazimierz?...“ „dokąd wyjeżdża...“ „ile ma lat?...“ Dziś wszystkie kwestj rozwiązane jednem cięciem: pan Kazimierz ma tyl lat, że już może być ojcem, a co robi?...

Jest wciąż małoletnim, na chlebie u matki, ja powiedziała panna Howard.

Straszną noc przepędziła pani Latter: w jej du szy coś się załamało.

XXII.

Dlaczego synowie niekiedy wyjeżdżają za granicę

Gdy nazajutrz, około czwartej po południu przyszedł pan Kazimierz, elegancki, uśmiechnięty z bukiecikiem fiołków w klapie żakieta, zmieszał si na widok matki. Miała prawie trupią twarz, ciemn doły w oczach i na skroniach posrebrzone włosy. Syn zrozumiał, że nie osiwiała nagle, lecz że uczesała się niedbale — i to go zaniepokoiło.

— Matuchna chora? — zapytał, całując ją w r

kę i siadając obok niej ze zgiętem kolanem, jakby przyklęknął.

— Nie — odpowiedziała pani Latter.

— Mateczka wezwała mnie do siebie?...

— Trafia się to coraz częściej, bo sam nie przychodzisz.

Pan Kazimierz patrzył matce w oczy, i znowu obudziło się w nim podejrzenie, że matka chyba używa jakich podniecających środków...

— Czy nie masz mi nic do powiedzenia, Kaziu? — zapytała pani Latter.

— Ja, matuchno?... Z jakiej racji?...

— Pytam się: czy nie masz w tych czasach... jakiego kłopotu, któryby należało powierzyć matce, w braku ojca...

Pan Kazimierz zarumienił się.

— Mama pewnie myśli, żem chory... Słowo honoru...

— Nie myślę, ja tylko pytam.

— Takim tonem, matuchno?... Założyłbym się, że ktoś narobił plotek, a mateczka zaraz uwierzyła... O, bo ja czuję, że matuchna od pewnego czasu jest inna dla mnie...

— Od ciebie zależy, ażebym była taką, jak dawniej...

— Jak dawniej?... A więc to prawda?:.. — zawołał pan Kazimierz, chwytając matkę za rękę.

Ale pani Latter delikatnie cofnęła rękę i rzekła:

— Czy mógłbyś wyjechać za granicę?.. Zaraz?..

Twarz pana Kazimierza ożywiła się.

— Za granicę?... Ależ ja na to czekam przeszło miesiąc.

— I nic nie zatrzymałoby cię w Warszawie?...

— Cóżby mnie mogło zatrzymywać? — odparł zdziwiony pan Kazimierz. — Czy towarzystwo?... Tam znajdę lepsze.

Zdziwienie jego było tak szczere, że pani Latter połowa ciężaru spadła z serca.

„Howardówna kłamie!“ — pomyślała. Potem dodała głośno:

— A ile potrzebowałbyś pieniędzy na wyjazd?

Pan Kazimierz zdziwił się jeszcze bardziej.

— Wszakże matuchna — odpowiedział—przeznaczyła mi na wyjazd tysiąc trzysta rubli...

Pani Latter opadły ręce. Spojrzała na syna prawie z rozpaczą (co on przypisał działaniu narkotyków) i — milczała.

— Co matuchnie jest?... — zapytał słodkim głosem, nie mogąc opędzić się przed podejrzeniami o owych narkotykach.

Tym razem matka nie cofnęła ręki: owszem, uścisnęła go.

— Co mnie jest, moje dziecko?... Ach, gdybyś ty wiedział... Tysiąc trzysta rubli... Na co tak dużo?...

— Matuchna sama oznaczyła tę sumę.

— Prawda, oznaczyłam... Ale gdyby tak wielka suma robiła mi różnicę?... Pomyśl tylko: jaki ja ogromny dom prowadzę...

Teraz pan Kazimierz cofnął rękę, zerwał się z kanapki i zaczął chodzić po gabinecie.

— Ach, Boże!... tyle wstępów... — mówił rozdrażnionym głosem. — Dlaczego mama nie powie wprost: nie możesz się dalej kształcić... A matuchna

certuje się ze mną, jakgdybym robił jej łaskę, wyjeżdżając za granicę... Nie, to nie!... Szkoda, że zerwałem stosunki z koleją... Bo gdyby nie to, zaraz dziś zrobiłbym podanie i zostałbym jakim urzędniczyną. Potem ożeniłbym się bogato i... byłaby mama zadowolona.

— Bodajbyś nie ożenił się ubogo — cicho wtrąciła pani Latter.

— Jakim sposobem?

— A gdybyś... gdybyś zaciągnął zobowiązania — mówiła zmieszana.

— Zobowiązania?... Coraz lepiej!... — śmiał się pan Kazimierz. — Także mateczka zna mężczyzn! Gdyby chcieli żenić się z każdą, która ma do nich pretensje, trzebaby zaprowadzić mahometanizm w Europie...

Pani Latter doznawała dziwnych uczuć, przysłuchując się zdaniom, które syn wypowiadał tonem prawie niegrzecznym. Uspokoiła się wprawdzie co do Joasi, ale raził ją cynizm.

„Tak, to już zupełny mężczyzna“ — myślała, a głośno rzekła:

— Kaziu... Kaziu... nie poznaję cię... Jeszcze przed pół rokiem nie mówiłbyś do matki w ten sposób. Aż boję się usłyszeć, jakie ty życie musisz prowadzić...

— Przypuśćmy, że nie najgorsze — odparł syn pogodniej — ale, gdyby nawet... to cóżem winien? Jestem człowiekiem zatrzymanym w połowie karjery... Lękam się, czy już nie jest zwichnięta... Tracę z oczu wyższe cele...

Pani Latter podniosła głowę.

— Robisz mi wymówki?... — spytała. — Ja temu winnam?...

Syn znowu usiadł obok niej i pochwycił je rękę.

— To nie wymówki, mateczko! — zawołał. — Jesteś kobietą świętą i pełną poświęceń dla nas o tem wiem. Ale musi matuchna przyznać, że okoliczności nie były dla mnie sprawiedliwe. Twoje wychowanie, matuchno, rozwinęło we mnie popęd do celów wyższych i szlachetniejszych... chciałem być c z e m ś... Nawet los sprzyjał mi z początku i postawił na właściwej drodze... Ale dziś...

Zasłonił oczy i westchnął:

— Ach! kto wie, czy już nie jestem zmarnowany!...

Pani Latter spojrzała na syna przerażona W jego tonie było tyle fałszu, czy może naśmiewani się, że odczuło to ucho matki.

— Co ty mówisz i w jaki sposób do mnie? — rzekła surowo. — Mówisz o zmarnowanej karjerze ty, który dotychczas nie troszczyłeś się o siebie?. A przypomnijże sobie kolegów, choćby... choćb tego Kotowskiego....

— Ach, ten od Lewińskiej?...

— Wstydź się... Ten chłopak prawie od dzieck sam się utrzymuje, a mimo to dziś jest pełen wiar w przyszłość....

— Ten osioł! — przerwał syn cierpko.—Stróż daleko wcześniej zaczynają pracować i nigdy ni wątpią, gdyż zawsze będą stróżami. Ale są karjer podobne do chodzenia na linie, gdzie lada krok, lad wahnięcie się...

W twarzy pani Latter nie drgnął ani jeden mu-
kuł, ale z oczu płynęły łzy.

— Matuchna płacze?... z mojej winy!... — za-
ołał, klękając.

Odsunęła go.

— Płaczę nie z twojej winy i nie nad tobą,
e nad sobą... Rozmowa dzisiejsza robi takie wra-
nie, jakbyś mi zdejmował kataraktę z oczu, poto,
ebym zobaczyła smutną prawdę...

— Matuchna przesa... matuchna jest rozdraż-
ona czemś...

— Oto widzisz, każde twoje słowo, każde spoj-
enie przypomina mi, że już nie jesteś dzieckiem,
dorosłym młodzieńcem...

— To przecież naturalne — wtrącił.

— A przytem jesteś moim wierzycielem, który
je mi poznać, że mu nie spłaciłam zaciągniętego
gu. Tak! nie przerywaj mi. Wychowując was,
ciągnęłam dług wobec waszej przyszłości, a dziś
mam... To jest, dziś muszę go spłacić...
Dostaniesz pieniądze... jedź i kształć się... Rób
jerę... Ale pamiętaj, że za rok mogę już nie mieć
niędzy. A w takim razie dług mój względem
bie umorzy się samą siłą rzeczy.

Pan Kazimierz zaczął biegać po gabinecie i ści-
ć oburącz głowę.

— Co ja zrobiłem, nieszczęśliwy!... Co się tu
eje!... Mateczka jest dla mnie jakaś dziwna... Ni-
nic podobnego nie słyszałem!...

A potem, stając przed matką, dodał:

— Już nic nie chcę... Nie pojadę za granicę...

— Więc co będziesz robił? — zapytała spo-kojnie.

— Wezmę się do pracy... wstąpię do jakieg biura... Czy ja wiem?... To pewne, że mój uniwe-sytet przepadł.

I znowu biegał i znowu targał sobie piękn blond włosy. Pani Latter w milczeniu przypatrywa się wybuchowi, a gdy syn, zmęczony, upadł na fot obok biurka, rzekła chłodno:

— Posłuchaj. Widzę, że jesteś jeszcze dzi-ciakiem, a zachowujesz się jak histeryczka. Rozu-miesz?...

Im bardziej stanowczo brzmiał głos pani La-ter, tem na twarzy pana Kazimierza wyraźniej m-lowała się pokora.

— Ty nie umiesz sobą kierować, a więc jeszcze raz pokieruję tobą. Dostaniesz pieniądz i wyjedziesz za kilka dni. Jutro staraj się o p-szport.

— Matuchna nie może wydawać na mnie...

— Ja... mogę — wszystko, co chcę... Rozu-miesz?... Dam ci pięćset rubli do wakacyj i jedź

— Pięćset?... — powtórzył zdziwiony syn. Matuchno — dodał — droga, jedyna matuchno... p-zwól mi zostać... Z pięciomaset rublami nie mam co jechać...

— Dlaczego? — zawołała pani Latter.

— Bo odrazu znajdę się w takich stosunkac które wymagają pieniędzy. Może za miesiąc już n będę od matuchny potrzebował, może... czy wiem?... znajdę zajęcie... Ale na pierwszy raz

temi rekomendacjami, jakie stąd wywiozę, muszę ieć trochę pieniędzy...

— Nie rozumiem cię.

— Widzi matuchna — mówił nieco śmielej — oje znajomości w Berlinie, czy w Wiedniu nie dą studenckie, lecz salonowe... Rozumie się, że zyam na tem więcej, ale... muszę zaprezentować się jk człowiek salonowy.

Pani Latter pilnie wpatrywała się w niego.

— Ty masz długi? — rzekła nagle.

— Żadnych — odparł zmieszany.

— Dajesz słowo?

— Daję słowo — zawołał, bijąc się w piersi.

— Więc tylko dla zawiązania tam stosunków cesz mieć tysiąc trzysta rubli?

— Tak... stosunków, które dadzą mi odpoednie zajęcie...

Pani Latter wahała się przez chwilę.

— Ha! — rzekła — zwyciężyłeś! Dam ci tysc trzysta rubli...

— O, matuchno!... — zawołał znowu, upadając kolana. — To już ostatnia pomoc...

— Z pewnością ostatnia, bo... już nic nie będę ała dla ciebie.

— A Hela i Solski?... — spytał figlarnie, wciąż cząc.

— Ach, na Helenę rachujesz?... Życzę ci, abyś na tem nie zawiódł, a ja... na tobie.

Pan Kazimierz podniósł się, matka mówiła da- tonem osoby, która ma władzę.

— Pamiętaj, Kaziu: oszczędzam ci wielu przy-ych zwierzeń, bo mi nie pomożesz, a musisz

mieć energję dla siebie. A teraz powtarzam: pami-
taj, że gdybyś mnie teraz zawiódł, zadałbyś i
straszne cierpienie i potargałbyś dużo serdeczny
nici między nami. Pamiętaj, że przestałeś być dzie-
kiem, nawet wobec matki, z którą musisz zacz
się rachować, nieledwie jak z obcą... Bo ja... jeste
bardzo... bardzo nieszczęśliwa...

Syn pochwycił ją w objęcia i pocałunkami st-
rał się uspokoić. Siedział jeszcze z godzinę i poż-
gnał ją w lepszem nieco usposobieniu.

Jednak, wychodząc, myślał:

„Szczególna rzecz: matka chwilami wydaje i
się inną, naprawdę obcą?... Jak te kobiety umie
się zmieniać!... Nawet matki... A wszystko z powo
pieniędzy!... Niechże już Hela raz wyjdzie zama
albo jakiego djabła“...

XXIII.

Znowu pożegnanie.

W kilka dni później, w południe, pan Ka-
mierz, ubrany jak do podróży, był na pożegnan
u matki. Czuli oboje, że między nimi istnieje prz-
mus, są niezadane pytania i niewymówione zdan.

Było to naturalne, gdyż pan Kazimierz z ni
pokojem czekał na pieniądze, a pani Latter mia
nieokreślone wątpliwości co do sposobu użycia i
przez syna. Już mu nie ufała.

— Więc dzisiaj jedziesz — zapytała, nie p-
trząc mu w oczy.

— Za godzinę — odparł. — Dziś jedzien

młodym Goldwaserem do niego na wieś, a stamtąd
Berlina. Ich folwark, Złote Wody, leży o parę
iorst od stacji.

Pani Latter przysłuchiwała się nietyle temu,
syn mówił, ile — jak on mówił. W podobny spo-
b mechanik przysłuchuje się warczeniu machiny,
eby poznać, czy się w niej co nie zepsuło.

— Z Goldwaserem?... — powtórzyła, budząc
z zamyślenia. — Miałeś przecie jechać z hrabią
czyńskim... Skąd znowu ten Goldwaser?...

Pana Kazimierza zirytowało pytanie, lecz ha-
ował się.

— Mateczka bada mnie, jakgdyby mi niedo-
erzała — mówił. — Z Tuczyńskim spotkamy się
Berlinie, a z Goldwaserem jadę, ponieważ zależy
na nim. Przedewszystkiem u jego ojca kupię prze-
z, boć z taką gotówką bałbym się podróżować.

— Kupując przekaz, robisz dobrze, ale poco
nowe stosunki?

Pan Kazimierz wesoło roześmiał się i zaczął
ować panią Latter.

— Ach — zawołał — w matuchnie wciąż po-
uje szlachcianka!... Na hrabiów zgadza się mama,
wobec stosunków z bankierami robi się na ma-
zce gęsia skórka. Tymczasem dla mnie — ci
mci są tylko narzędziami. Arystokracja daje mi
głos, bankierzy dadzą dochody, ale właściwą po-
ję dadzą mi dopiero masy, demokracja... Tam
moje ideały, tu — szczeble, prowadzące do nich...

Pani Latter spojrzała na niego zdziwiona.

„Więc on — myślała — naprawdę do czegoś

dąży?... On ma cel, plan, energję i bynajmniej ie jest niższy od Kotowskiego“...

Serce w niej zadrżało. Pocałowała go w czło i szepnęła:

— Mój synu... kochane dziecko!... Kiedy ie słucham, nie mogę nie wierzyć ci i nie kochać. Ach, gdybyś ty mi jednak powiedział wszystk...

— Powiem. Cóż matuchna chce?

— Masz... czy masz jakie obowiązki względem Joanny?...

Pan Kazimierz podniósł ręce do góry i zaczął się śmiać.

— Cha... cha... cha!... Ja, względem Joasi... Ależ ona w tej chwili kokietuje starego dziada, kt... ma kamienicę, i jemu chce narzucić obowiąz... nie mnie...

Pani Latter była zawstydzona, ale i uradowa...

— A teraz powiedz, tylko szczerze, — dł... masz?...

— No, czy mam!... — odparł. — Któż ich ... ma? Znajdzie się tam jakaś drobnostka, którą ... szcze dziś ureguluję.

— Byłeś winien Zgierskiemu?...

— Co?... — zawołał zmieszany pan Ka-mierz. — To bydlę powiedziało...

— Nie mów tak na niego — przerwała p... Latter — bo on przyznał, że zwróciłeś wszys... Ale czyś mu jeszcze nie winien, czyś nie wi... innym?...

— Może znajdzie się coś, ale nie wiem, ... Drobnostka.

— Więc to nic wielkiego?... — pytała na...

ywie pani Latter, wpatrując się w syna. — Bo, ɔje dziecko, ja zawsze bałam się, ażebyście wy nie bili długów... Gdybyś wiedział, jak długi mnie mej ciężą...

— Mateczka ma długi? — zdziwił się pan Kanierz.

— Mniejsza o nie. Zaciągam je z konieczności łacę... Ale zaraz po założeniu tej pensji, musian wykupić czyjeś weksle... spłaciłam dług, zaciąięty prawdopodobnie na zbytki... Ach, Kaziu, gdyś ty wiedział, w jak ciężkiej chwili spadła na mnie niespodzianka... Chodziło o ośmset rubli, lecz one wtedy były dla mnie warte!... Myślałam, że niecie wy i ja... Na szczęście, los zesłał mi doych ludzi... Od tej jednak pory strasznie boję się spodzianych długów...

— Czy pan Latter tak mamę urządził? — ɔytał pan Kazimierz surowo. — Co się też z nim eje?

— Zapewne już nic... Mniejsza o niego — odła. — Jeżeli mam powiedzieć prawdę... (przebacz Kaziu!) — dodała dziwnie tkliwym tonem — jei mam przyznać się, to ci powiem... Bałam się asznie...

— Czego matuchno?

— Ażebyś i ty nie miał długów i, ażeby po ɔim wyjeździe nie spadło na mnie...

— Ależ, mateczko... mateczko... czy godzi się ie — posądzać o coś podobnego?...

Pani Latter płakała i śmiała się.

— Więc nie czeka mnie żadna niespoanka? — mówiła. — Jesteś pewny?...

— Przysięgam ci, matko!... — zawołał, up; dając przed nią na kolana. — Mam drobne grzeszki może za wiele traciłem czasu i wydawałem pieni dzy... może... Ale ty, matko, nie będziesz za mn płacić kwitów... nie... nie!..

Pani Latter objęła klęczącego za szyję.

— Więc jedź... — mówiła wśród łkań. — Jed odznacz się, pokaż ludziom, co możesz... O, Kazi jeżeli miłość i błogosławieństwo matki coś waż na tym świecie, powinieneś być najszczęśliwszy, b ty nie wiesz, jak ja cię kocham i ile błogosł wieństw...

Płacz przerwał jej mowę. Wnet jednak usp koiła się, a nawet, widząc zakłopotanie syna, odzy skała zupełną władzę nad sobą.

— Już musisz iść? — rzekła.

— Tak, matuchno.

— Więc idź, cóż robić?... A oto pieniądze - dodała, wyjmując spory pakiet z biurka. — Jest t siąc trzysta rubli...

Syn znowu zaczął ją całować w ręce, w ust w oczy.

— Pisuj do mnie — mówiła — pisuj często bardzo często. O wszystkiem... jak ci się powodz jak idą nauki... Jadaj nie wykwintne, ale zdrowe p trawy... kładź się spać wcześnie... znajdź praczk ażeby nie niszczyła bielizny i... oszczędzaj, Kazi oszczędzaj!... Ty nawet nie wiesz... nie domyślas się... Ale przysięgam ci, że... ja już nie mogę... T ostatnie pieniądze... Przepraszam cię...

I znowu zapłakała.

— Czy z nami tak źle? — szepnął pan Kazi-
ierz.

— Dosyć...

— No, ależ Hela wyjdzie za Solskiego?...

— W niej też cała nadzieja.

Taką była pożegnalna rozmowa pani Latter
synem, który niebawem opuścił mieszkanie matki.

XXIV.

Filozofja kuchenna.

Po wyjeździe syna pani Latter wpadła w apa-
; nie pokazywała się pensjonarkom, nie wycho-
iła ze swego mieszkania, lecz siedziała przed biur-
em z głową opartą na ręku, albo kładła się na ka-
pce, patrząc w sufit.

Tymczasem zbliżały się Święta Wielkanocne.

Trzeba było dla uczennic urządzić rekolekcje,
owadzić dziewczynki do spowiedzi i komunji, pi-
ć kwartalne cenzury. Dawniej, przy podobnych
azjach, pani Latter była bardzo czynna; dziś —
unęła się prawie od wszystkiego. Panna Howard
stępowała ją na pensji, panna Marta w zarządzie
spodarstwem, a Madzia w kancelarji.

Raz Madzia weszła do pokoju przełożonej wła-
e w sprawie rekolekcyj i, przypomniawszy, że
ją zacząć się od jutra, dodała:

— Pewnie pani do pomocy księdzu rektorowi
rosi księży Feliksa i Gabrjela?

— Dobrze.

— Pani napisze do nich?

— Listy?... Napisz sama.

W pół godziny Madzia przyniosła gotową k- respondencję do podpisu. Pani Latter leżała na k- napce zapatrzona w sufit i niechętnie zwlokła s do biurka. Madzia przypatrywała się jej z obaw; pani Latter spostrzegła to i, odłożywszy pióro, z- częła mówić tonem spokojnym, niekiedy drwiącyn

— Oto widzisz kobiecą samodzielność... E ja byłam samodzielną już wówczas, kiedy pann Howard nie śniła się jeszcze ani konna jazda, a wolna miłość... Oto widzisz... Wychowałam dzie a nie mam dzieci. I pracowałam samodzielnie prz kilkanaście lat poto, ażeby dziś powiedzieć sobi że nie mam... nawet chwili wypoczynku!

— Nadchodzą święta — wtrąciła Madzia - mamy blisko trzy tygodnie...

— Czy ty wyjeżdżasz?—spytała pani Latte

— Nie — odparła Madzia, rumieniąc się.

— Ale mogłabyś wyjechać... masz gdzie wyj chać — mówiła podniesionym głosem pani Latter.- A ja czy mogę i... dokądbym pojechała?...

Zamglone jej oczy roziskrzyły się i zwyk piękne rysy przybrały dziki wyraz.

— Powiedz: kogo ja mam i... gdzie wyjadę Chyba do tego poczciwego Mielnickiego... Ale i ta nie opuści mnie ani samotność, ani troska... Cz więc warto jechać?... Zapraszał mnie, wiem, z całego serca... Pisał, ażebym przyjechała z Man Lewińską, bo inaczej dziewczynę zabierze na świę jej babka, której ona boi się... Ale co mi po tem

Madzia była zdziwiona wielomówstwem pa Latter, która nie lubiła zwierzać się ze swoich z

niarów, ani uczuć. Wnet jednak dostrzegła, że ırzełożona nie patrzy na nią, tylko w okno, i nie nówi do niej, tylko jakby do kogoś za oknem.

— Samodzielność... samodzielność.... — powtazała pani Latter, uśmiechając się. — Ach, głupia a Howardówna!... Ona chciała wszystkie dziewzęta porobić samodzielnemi... takiemi męczenniami, jak ja... Ale czy ona co rozumie?... Nawet ic nie widzi... Niby to goni za samodzielnością koiet, a kopie grób najsamodzielniejszej...

Nagle odwróciła głowę i, jakby spostrzegłszy Aadzię, zapytała:

— Cóż ta warjatka, ciągle wykłada wam teoję samodzielności?...

Zdumiona Madzia nie wiedziała, co odpowiezieć. Ale pani Latter nie zauważyła tego. Zaczęła ębnić palcami po biurku i znowu mówiła zniżonym łosem:

— Przysięgam, że ta kobieta jest mojem niezczęściem! Pozawracała głowy smarkaczom, naet Helence... Ułatwiała spacery Joannie... urząała schadzki uczennic ze studentami... A z tym ębickim awantura!... Wszystko, wszystko przez ią...

I znowu odwróciła się do Madzi.

— Wiesz — rzekła — panna Howard nie bęzie u nas od Wielkiejnocy. Sama mi to oświadzyła, i ja jej nie zatrzymuję... Ach, ty czekasz na odpisanie listów do księży?... Gdybym choć przez eden tydzień mogła nie myśleć o tych rzeczach, vyzdrowiałabym...

— Pani czuje się niezdrową? — spytała nieśmiało Madzia.

Teraz zdarzył się wypadek niespodziewany Pani Latter zgóry spojrzała na Madzię i, podając jej listy, rzekła tonem obrażonej zwierzchniczki:

— Proszę cię, zaadresuj to i natychmiast odeślij przez którego ze służących. Mamy już niewiele czasu.

Madzia opuściła ją zatrwożona, nie śmiejąc nawet mówić z kimkolwiek o niezwykłem zachowaniu się przełożonej.

Na parę dni przed uwolnieniem uczennic zmieniła się fizjognomja pensji. Kilka dalej mieszkających panienek już wyjechało, a między innemi Mania Lewińska do swojej babki do Żytomierza. Lekcje odbywały się nieregularnie. Niektórzy nauczyciele nie przychodzili i prawie nie było wieczornych zajęć z pensjonarkami, które, zebrawszy się w oświetlonych salach, czytywały powieści.

Tego wieczora, panna Marta, gospodyni pensji, zobaczywszy Madzię, spacerującą po korytarzu, kiwnęła na nią palcem i szepnęła:

— Niech paniuńcia przyjdzie do mnie kuchennemi schodami... Mam doskonałą śmietankę i coś do powiedzenia...

Gdy Madzia wysłała jedną szóstoklasistkę do zastąpienia jej w trzeciej klasie i zbiegła do pokoju panny Marty, znalazła nakryty stolik, kawę, gotującą się na maszynce, garnuszek śmietanki i talerz lukrowanych sucharków.

— Ach, jak to dobrze! — zawołała wesoło. — Takam głodna...

Gospodyni złożyła ręce i podniosła oczy do ieba.

— Tak, tak!... — rzekła cicho — teraz tu vszyscy głodni... Dzisiaj dzieci strasznie narzekały a obiad, ale cóżem ja winna?... Pieniędzy niema.

— Pieniędzy?... — powtórzyła Madzia.

— Ach, świat się kończy, paniuńciu... sądny zień! — wzdychała gospodyni, nalewając kawę.— ikomu tego nie powiedziałabym, ale pani muszę... iedy nam przyjdzie zapłacić choćby tylko profesoom, a to przecie — dziś jutro, wtedy zabraknie na biad... A tu i gospodarz odzywa się o komorne. . zczerze powiem: grozi... Kalwin, nie człowiek.

— Skądże tak nagle? — zadziwiła się Madzia.

— Nie nagle, aniołeczku, nie nagle, duszyczko.. Prawda, jaki kożuszek?...) To nie nagle, kiedy Henie daje się kilkaset rubli, a paniczowi tysiąc kilkaset... Nikomubym tego nie powiedziała, ale... pensją tak robić nie można... Albo dzieci, albo ensja... O, jaka ja szczęśliwa, że nie mam dzieci!...

Madzia machinalnie piła kawę; apetyt opucił ją.

— Niedobrze rozumiem... — szepnęła.

— Zaraz pani wytłumaczę — przerwała panna larta. — (Prawda, jakie sucharki?...) Helenka nie noże pracować, musi bogato wyjść zamąż, jest na ielką damę wychowana, więc — naści Heluniu parę etek, jedź zagranicę i goń pana Solskiego... Kazio isurmani się przez trzy kwartały i musi uciekać Warszawy, więc — naści Kaziu tysiąc i kilkaset ubli, boś i ty wielki pan. Szast, prast, na lewo, na rawo i, — niema na komorne!

Madzia, trzymając w ręku sucharek, zamyśliła się i szepnęła.

— To dziwne...

— Co paniuńciu? — pochwyciła panna Marta

— Mówi pani tak, jak Malinowska...

— A pani skąd wie?... — ciekawie zapytała gospodyni, nachylając się do Madzi.

— Byłam u niej.

— Aaa... i paniuńcia była?... Tak, tak, każdy musi dbać o siebie... Bo i pani Méline już tam była i panna Żaneta ma pójść jutro.

— Do Malinowskiej?... Poco?... — zawołała Madzia.

— Poto samo, pocośmy tam wszystkie były.

— Czy i pani?...

— A cóżem ja gorszego od innych?... — oburzyła się panna Marta. — Pani Latter bankrutuje wszyscy ratujecie się... Dlaczego ja mam zostać bez chleba?... Przecie służyłam wiernie, oj, oj! i nietylko pensjonarkom, ale pannie Helenie i panu Kazimierzowi... Za cóż mam ginąć?

— Ależ ja byłam u Malinowskiej z panną Howard, już dawno, i wcale nie prosiłam o miejsce — tłumaczyła się obrażona Madzia.

— Nie? Więc niech pani jutro idzie do niej i prosi o miejsce. Tak nie można... Już się tam zapisało z trzydzieści kandydatek na damy klasowe a ze cztery na gospodynie...

Madzia upuściła sucharek, odsunęła resztkę kawy i, złożywszy ręce, rzekła:

— Boże, Boże!... cóż wy robicie najlepszego?... zabijacie panią Latter...

— Cicho, cicho!... uspokajała ją panna Mar-a. — Zabijamy!... Nie my, sama się zgubiła... Jezus, Marja, mając takie dochody przez kilkanaście lat, nożna było coś odłożyć... A tu wszystko wydało się na dom, na szyk, na dzieci... Taki pan Kazimierz sam kosztował z piętnaście tysięcy rubli... Zjadł — teraz niema...

— Skąd pani wie, że niema.

— Oho, skąd!... Ja wiem wszystko, od czegoż jem gospodyni? Myślałam, że bodaj opędzimy komorne i wydatki do świąt; ale gdzie tam... W kasie tak krucho, że pani wczoraj posyłała mnie tam... naprzeciw, do Szlamsztejna...

— Cóż to za jeden?

— Lichwiarz, paniuńciu, lichwiarz!...—mówiła panna Marta, trzęsąc rękoma.—A i ten już dać nie chce... Przyjął mnie, jakgdybym przyszła po prośbie, i powiedział: kiedy wam było dobrze, robiliście interesa z Fiszmanem, to i teraz idźcie do Fiszmana... Naturalnie, trzasnęłam gałganowi drzwiami pod nosem, ale zaraz przyszło mi na myśl, że pani przełożona nie od dzisiaj ucieka się do lichwiarzy... A taki Zgierski może nie ma u nas pięciu tysięcy rubli?... Jeszcze jak!... Nawet spisał umowę, że wszystkie meble pani przełożonej, wszystkie ławki, szafy, tablice należą do niego.

— Ten Zgierski?... — spytała Madzia.

— A ten, ten... To ziółko!... Od jednej mojej znajomej magazynierki bierze za tysiąc rubli sto pięćdziesiąt rocznie, a drugiej, także mojej znajomej, co ma sklep wiejski, pożyczył pięćset rubli i bierze

sto na rok... Jezusek! takie sobie wymyślił zarobk że pożycza tylko kobietom, które mają proceder, b kobiety — mówi — są najpewniejsze. I prawda! Kc bieta nie dośpi, nie doje, ale procent zapłaci! i je szcze można się do niej umizgać, albo do jej panien. Szelmy mężczyźni, ma rację panna Howard...

Madzia patrzyła w okno i rozmyślała.

— Wszystko to — rzekła — są chwilowe kłc poty pani Latter. Ale od wakacyj...

— Co od wakacyj? — przerwała gospodyni.– Od wakacyj możemy nie mieć żadnej uczennicy ar pensjonarki...

— Chyba... że ktoś będzie je odstręczał — od parła Madzia, ostro spojrzawszy na gospodynię.

Panna Marta rozgniewała się, lecz, nie podno sząc głosu, rzekła:

— Paniuńcia, dalibóg, nie ma oczu, ani uszu!.. Ile to już ubyło nam panienek w tym roku, a prze cie nikt ich nie odstręczał... Pensja straciła reputa cję — oto sekret. Dla jednych jest za droga, dla in nych źle prowadzona... Pani myśli, że hece z Joasią albo z Dębickim, mogły wyjść pensji na pożytek?

— Temu winna panna Howard.

— Bajki! — odparła gospodyni, machając rę ką. — Z Joasią wina pana Kazimierza, a z Dębickin — panny Heleny, bo ona pokłóciła się z nim Dzieci, dzieci zrobiły to!... Rozkapryszone, rozpie szczone, a pani Latter za słaba dla nich... Nie trzeba było pozwalać synowi na romanse z damą klasową a Joasię, kiedy w nocy wróciła na pensję, oddalić zaraz... Albo gdy Helence pani przełożona wpore

ıatarła uszu, zamiast boczyć się na Dębickiego, to on zostałby. Czy to nie grzech?... Taki był tani profesor...

Madzia powstała z krzesła.

— Więc tak! — rzekła z pałającemi oczyma.— Więc ma ginąć kobieta dobra i rozumna, dlatego, że ej się noga powinęła?... Niech pani policzy: ilu ona osobom daje pracę... choćby nam...

Panna Marta ujęła się pod boki.

— Jak to zaraz znać, że paniuńcia jest zacoana!... Ho, ho... dobrze mówi panna Howard... Cóż a łaskę robi komu pani przełożona — prawiła, wyzucając ręką — że płaci za ciężką pracę?... A sobie e płaciła?... Pani bierze piętnaście rubli za ośm odzin, ja piętnaście za cały dzień, a pani przełoona miewała po trzysta, pięćset i po sześćset rubli ıiesięcznie na czysto... A dużo napracowała się za- ɔ?... Tyle co pani, czy tyle co ja?...

— Ale ona ma pensję.

— Więc co z tego?... A paniuńcia nie może ıieć pensji?... Alboż to niema przełożonych, które dzień same uczą, a w nocy łatają sobie trzewiki suknie?... Cóż to, damy klasowe, a choćby i ja, jeeśmy pańszczyźnianymi chłopami, a przełożona ziedziczką? Dlaczego ona ma zarabiać więcej, anieli my wszystkie razem? A jeżeli pomimo takich ysków, bankrutuje, czy ja mam nad nią płakać? ı jestem taka sama kobieta, jak i ona: także moam mieć dzieci i także potrafiłabym siadać na aksaitnych fotelach... Równość, to równość!...

— Gorączkuje się pani — wtrąciła Madzia.

— Nie, paniuńciu — odpowiedziała już spoko niej gospodyni — tylko mnie serce boli na taką nie sprawiedliwość. Ja zdzieram ręce do łokcia, nauczy cielki psują sobie płuca, nic nie użyłyśmy, nic ni mamy i — nad nami nikt się nie lituje. A pani prze łożona wydawała po kilka tysięcy rubli rocznie, gu bi pensję, nie pomyśli, co z nami będzie, i nam ni wolno jeszcze dbać o siebie?... Oj!... niech paniuńci nie zwłóczy, ale niech idzie do Malinowskiej, bo mo że przepaść i ten lichy zarobek, jaki jest.

— Mój Boże, mój Boże!... — mówiła Madzi jakby do siebie. — Tyle wykształciła nauczyciele dobrze płatnych, tyle uczennic bogato wyszło zamą tyle z nich ma pieniądze i żadna nie dopomaga...

— Płaciły za naukę — przerwała panna Ma ta. — Wreszcie, jakże jej pomogą: mają zebra składkę?... A niekażda przecie jest panną Solsk która tak sobie, od ręki, daje sześć tysięcy rubli. Nam nikt nie da i sześciu złotych.

Gospodyni, widząc, że Madzia chce iść, schwy ciła ją za rękę i rzekła:

— No, ale paniuńcia nikomu o tem nie wspo mni, cośmy tu mówiły?...

— Komużby, droga pani?... — odparła Madzi wzruszając ramionami, i pożegnała ją.

„Cóż to za okropny świat!... — myślała, ida na górę. — Dopóki człowiek ma pieniądze, padaj przed nim na kolana, ale kamienują go, gdy zubo żał...“

Rozmowa z panną Martą zrobiła na niej ogron ne wrażenie. Nie chciała wierzyć, a jednak w ciąg

dziny pani Latter coś straciła w jej oczach. Do
pory wydawała się jej pół-boginią, pełną władzy,
drości i tajemniczego majestatu; dziś rozwiał się
'ok, i wyszła z niego kobieta, zwyczajna kobieta,
łobna do panny Malinowskiej, nawet do panny
rty, tylko — nieszczęśliwsza od nich.

Miejsce obawy wobec przełożonej zajęło
półczucie i litość. Madzia przypomniała sobie pa-
Latter, leżącą na kanapce, i usiłowała odgadnąć:
czem też myśli kobieta, niepewna o przyszłość
eci i która nie wie, czem jutro nakarmić pupilki?

„Muszę ją ratować!... — rzekła Madzia. — Na-
żę do Ady...“

Lecz przeciw projektowi wystąpił poważny za-
t. Przedewszystkiem Ada już pożyczyła pani Lat-
e 6.000 rubli, o czem wiedziano nawet na pensji.
owtóre — panna Solska, która jeszcze przed Bo-
Narodzeniem lękała się, ażeby jej brat nie za-
hał się w Helenie—dziś, kiedy się to stało (o czem
nież mówiono na pensji), mogła stracić sympatję
Heleny i do jej matki.

„Tak, tak!... — szepnęła — Ada nie jest zado-
ona; widać to z listów...“

Listy panny Solskiej do Madzi były krótkie,
zęste, lecz pomimo ukrywania się, czuć w nich
gorycz i żal do Helenki.

„Helena traktuje serca, jak zabawkę“ — pisała
w jednym liście. — „Zanadto kokietuje wszyst-
mężczyzn“ — mówiła w drugim. A w ostatnim,
nym przed dwoma tygodniami, znalazło się zda-
„Niekiedy z rozpaczą myślę, że Stefan nie bę-
szczęśliwy...“

— Nie, w tych warunkach nie wypada odw
ływać się o pomoc do panny Solskiej.

Nagle przyszło Madzi na myśl, że naturaln
opiekunem Helenki i jej rodziny jest przecie sam p
Solski.

„Jeżeli kocha Helenkę i chce się z nią żenić
mówiła sobie — to nie dopuści do bankructwa
matki... Owszem, powinienby się obrazić, gdyby
doniesiono mu o tem...“

I już chciała pisać do pana Stefana, lecz—pr
straszyła się własnego zuchwalstwa.

„Boże, nieuleczalna ze mnie idjotka!... — sz
nęła. — Jakże mogę zdradzać tajemnice pani Lat
i protegować ją u człowieka, którego widziałam
w życiu?...“

„Dębicki!...“ — błysnęło jej nazwisko i—p
wie zobaczyła przed sobą apatyczną twarz i nieb
skie oczy matematyka. „On mnie nie wyda... on
radzi... on najlepiej załatwi... Rozumie się!... Prze
jest przyjacielem Solskiego, bibljotekarzem, mies
w jego domu...“

Lecz Dębicki został prawie wypędzony z p
sji, z winy Helenki, a pani Latter nawet nie przep
siła go. Co więc począć, gdyby odpowiedział: „m
nic nie obchodzi pani Latter?...“

„Nie, on tego nie powie i, mogąc uratować
szczęśliwą kobietę, nie zgubi jej...“

Madzia tę noc przeleżała w gorączce, mar
że rozmawia z Dębickim, że spiera się z nim, to z
wu, że niema go w Warszawie. Męcząca to b
noc, a szczególniej świtanie: Madzia co chwilę s

lała na zegarek, chcąc z rana pobiec do Dębic-o i opowiedzieć, co się dzieje.

Ale z rana nie mogła opuścić pensji, przed obia-zaś ogarnął ją taki strach, że już myślała wy- się swoich projektów. Lecz po obiedzie zdecy-ała się i zbiegła na dół do mieszkania pani Latter.

W przedpokoju, spostrzegłszy Stanisława, za-ła go:

— Czy jest pani przełożona?...

I znowu zatrwożyła się.

— Jest jakiś gość u pani — odparł lokaj, pilnie trując się w Magdalenę.

— Chciałam powiedzieć pani przełożonej, że lę do miasta... Kupię sobie woalkę — mówiła zia, oblewając się rumieńcem.

— Niech panienka idzie; ja pani sam powiem... szcie. to jakiś ważny gość; nim on wyjdzie, a ze trzy razy powrócić.

— Ej. to już nie pójdę, kiedy tak... — odpowie-a Madzia, nie wiedząc. dlaczego nie chce iść kiej racji — znowu opanowała ją trwoga.

Rzeczywiście. tego dnia nigdzie nie wyszła, ale ompensaty rozbolała ją głowa.

„Co mi po tem? — szeptała. — Co ja mam zać się do cudzych spraw?“ — Lecz w następ-hwili z nieprzepartą siłą narzucała się idea, a musi pójść do Dębickiego, ponieważ on jeden je przełożoną.

W jaki sposób i z jakiego powodu? — o to nie a.

XXV.

Wypędzeni wracają.

W tym czasie w mieszkaniu pani Latter › trząsały się ważne kwestje.

Na pół godziny przed obiadem Stanisław v czył pani Latter list. przyniesiony przez posła który czekał na odpowiedź. Pani Latter spojr na adres — charakter wydał się jej obcym. Po rozcięła kopertę i przeczytała kilka wyrazów, r sanych po francusku:

„Dziś przyjechałem; proszę o rozmowę w domej sprawie. Arnold".

— Ma czekać posłaniec? — zapytał Stanis

— Przyjdziesz, jak zadzwonię—odpowied pani Latter.

Przeczytała list drugi raz i rzekła do si śpiewającym tonem:

— Tak... tak... tak!... Nareszcie! Tego mi śnie brakowało...

I przed oczyma jej wyobraźni stanął czło z pijacką fizjognomją, w odzieży poplamionej i dartej... Takiego widziała raz na ulicy w Wa wie i w takiej postaci od lat wielu przedstav sobie swego drugiego męża. Nie mogło być ina Ten drugi mąż. niegdyś piękny jak Apollo, od czał się nieśmiałością. Był tak strasznie nieśm że nawet nie umiał się oświadczyć: przez dwa pożycia zachowywał się wobec niej jak lokaj: prowadził ją do ruiny, a przynajmniej nie zapo

u. Gdy mu zaś w trzecim roku małżeństwa po-
działa w uniesieniu, że jest przez nią utrzymy-
ny i że ona ma prawo w każdej chwili wypędzić
— nie obraził się, tylko wyjechał, pozostawiając
do spłacenia długi.

Był to człowiek, którego pani Latter nienawi-
a z całej duszy. Bo dlaczego on wtedy nie wy-
hnął gniewem?... albo dlaczego jej nie przepro-
... A jeżeli nie umiał ani gniewać się, ani prze-
szać, dlaczego ją porzucił, nie dając przez piętna-
lat znaku życia?...

— Więc jedno z trojga — myślała pani Lat-
— Albo już nie żyje, albo wpadł za coś do wię-
ia, albo — rozpił się i znikczemniał. Innej karjery
mógł zrobić człowiek, którym ona tak strasznie
ardzała. Na dnie posępnych marzeń pani Latter,
rót jej męża nie należał do nieprawdopodo-
istw. Owszem, bo dlaczegóżby los miał jej oszczę-
największego nieszczęścia?... Może nie wrócić,
może i wrócić—mówiła sobie. Lecz jeżeli wróci,
pewnością jak nędzarz i nędznik, którego ona bę-
musiała ukrywać przed oczyma świata i przed
snemi dziećmi.

Niekiedy, w chwilach osłabienia, zdawało się
że gdyby wypędzony mąż wrócił, ze wstydu
iewu odebrałaby sobie życie... Tymczasem na-
zła ta chwila, i pani Latter, zamiast struchleć,
ąsnęła się ze swej apatji. Energicznym krokiem
zła do sypialni, wypiła kieliszek wina i na przy-
ym jej liście napisała jeden wyraz: „Czekam“.

Włożyła w kopertę i, zaadresowawszy „Mons
Arnold“, kazała oddać posłańcowi.

Potem usiadła na fotelu i, bawiąc się ko
nym nożykiem, patrzyła na drzwi, spokojnie cz
jąc, rychło między portjerami ukażą się łachm
obrzękła twarz i załzawione oczy człowieka, k
kiedyś zastąpił jej drogę na ulicy, a do którego m
być podobnym jej mąż.

Gdyby ją zapytano, jak długo czekała: god
czy kilka minut, nie potrafiłaby odpowiedzieć. R
nież nie słyszała, że ktoś wszedł do przedpokoju
zapukał do drzwi gabinetu i, nie mogąc doczeka s
wezwania, sam je otworzył. Pani Latter pami
tylko, że jakiś cień ukazał się istotnie między
tjerami i zbliżał się do biurka. Pani Latter nie
trzyła mu w twarz, niemniej była pewną, że
przed nią obdarty pijak. Nawet zdawało jej się
czuje zapach wódki.

— Czego nareszcie chcesz pan ode mnie
zapytała go po francusku.

— Tak mnie witasz, Karolino... — odpowie
głos, dźwięczny jak organy.

Pani Latter zadrżała i podniosła głowę. O
kroków od niej stał niezwykle piękny mężczy
średniego wzrostu, brunet, ze szlachetnemi ry
i matową cerą. Miał niewielkie czarne wąsiki i c
ne oczy, w których niewiadomo, co więcej
żało podziwiać — melancholję czy słodycz.

Wyglądał na trzydzieści kilka lat, był ub
bez zarzutu, a na palcu lewej ręki miał pierś
z dużym brylantem.

Pani Latter przypatrywała mu się zdumiona: i śladu nędzy czy wyniszczenia...

„Aha! — pomyślała — więc musi być łotrem eganckim... Oszukuje w karty, albo okrada salony... e nic się nie zmienił“...

— Chcę wiedzieć, czego pan sobie życzysz?— pytała po raz drugi.

Na pięknej twarzy gościa odbiła się jakaś gra zuć: był wzruszony, lecz zaczynał się dziwić.

— Karolino — mówił ciągle po francusku — e mam i nie chcę mieć pretensji do twoich względ w, ależ jestem co najmniej... dawnym znajomym... aje mi się, że ten kamienny Sokrates przywitałby nie inaczej... nawet to biurko... fotel... Aha!... i portety dzieci — dodał, z uśmiechem patrząc na ścianę.

Pani Latter przygryzła wargi z gniewu.

— Dzieci — rzekła — a nawet biurko i fotel ły własnością mego pierwszego męża... Są to więc rdzo dalecy znajomi pańscy—dodała z naciskiem.

Twarz gościa pociemniała rumieńcem.

— Wybornie! — odparł już innym tonem — cesz sprowadzić nasze stosunki odrazu na grunt łaściwy... Doskonale!... Pozwoli pani jednak, że iądę...

Siadł na fotelu, od którego pani Latter ze strętem odsunęła się na drugi koniec kanapki.

— Przed paroma miesiącami — mówił—otrzyała pani ode mnie list z Waszyngtonu, pisany grudniu roku zeszłego.

— Nic nie otrzymałam.

— Nie?... — zdziwił się gość.

— Nic i nigdy.

— Nigdy?... A jednak pisałem do pani i w ro
1867-ym z miasta Richmond w stanie Kentucky.

Pani Latter milczała.

— Nic nie rozumiem... — mówił gość nie
zmieszany. — Ja wprawdzie teraz, zamiast: Eu-
niusz Arnold Latter, nazywam się krótko: Eugenju
Arnold, no, ale to chyba nie spowodowało niepo-
zumienia.

— Ach, więc mamy zmianę nazwiska!... —
wołała pani Latter z szyderczym śmiechem, uder-
jąc ręką w poręcz kanapki. — To daje do myślen
że nie traciłeś pan czasu...

Gość patrzył na nią zdziwiony.

— Chyba słyszała pani o mnie....

— Nic nie słyszałam — odparła szorstko. -
Ale znam tę pochyłość, po której staczają się sła
charaktery...

Gość znowu zarumienił się, ale tym raz
z gniewu.

— Pozwoli pani, że w kilku słowach dam j
małe objaśnienie.

Pani Latter bawiła się wstążką sukni.

— Jak pani wiadomo, zawsze byłem nieśmiał
w liceum, w uniwersytecie... Gdy przyjechałem
tego kraju na nauczyciela prywatnego, moja ni-
szczęsna wada spotęgowała się, a gdy... miałem z-
szczyt zostać mężem pani... prawie przeszła w ch-
robę...

— Co jednak nie przeszkadzało umizgać się

— Mówi pani o tej guwernantce z Grenob

ło której — nie umizgałem się, tylkom jej pomagał ako rodaczce... Ale mniejsza o nią...

Otóż, gdym otrzymał — raz na zawsze—dymisję od pani, pojechałem do Niemiec, pragnąc tam zostać guwernerem. Poradzono mi jednak, ażebym przeniósł się do Ameryki, co zrobiłem.

Chwilę odpoczął.

— Tam trafiłem na wojnę domową i, z biedy, zapisałem się do armji północnej jako Eugenjusz Arnold. Zmieniłem nazwisko z obawy, ażeby go nie skompromitować, ponieważ byłem pewny, że z moją nieśmiałością, jeżeli natychmiast nie zginę, to albo ucieknę w pierwszej bitwie, albo zostanę rozstrzelany — za zbiegostwo...

Wnet jednak przekonałem się, że nieśmiałość i tchórzostwo są dwie rzeczy różne. Krótko mówiąc: skończyłem kampanję w randze majora, dostałem od rządu 300 dolarów emerytury, od kolegów ten oto pierścień — i co mnie najwięcej dziwiło — nauczyłem się rozkazywać, ja, który niegdyś tylko spełniałem rozkazy wszystkich, nawet moich uczniów...

A ponieważ tak wybornie posłużyło mi nowe nazwisko, więc — zatrzymałem je.

— Budująca historja — odezwała się pani Latter. — Ja inne stawiałam panu wróżby...

— Wolno wiedzieć? — spytał ciekawie.

— Że pan będzie grał w karty.

Gość roześmiał się.

— Ja nigdy nie biorę kart do ręki.

— Grywałeś pan jednak co wieczór.

— Ach, tutaj?... Przepraszam panią, ale chodziłem do znajomych na wista, dlatego, ażeby... nie być w domu...

— To jednak kosztowało.

— Nie tak wiele. Może w ciągu tych paru miesięcy przegrałem... ile?... z dziesięć rubli.

— Zostawiłeś pan długi.

Gość zerwał się z fotelu.

— Jestem gotów spłacić je, oddawna... Ale skąd pani wie o nich?...

— Musiałam wykupić pańskie weksle.

— Pani?...—zawołał, uderzając się w czoło.— Nie pomyślałem o tem!... Ale to nie były długi karciane. Raz poręczyłem za jednym rodakiem... Drugi raz — trzeba było wykupić stąd i wysłać do Francji tę guwernantkę z Grenoble, a trzeci raz wziąłem pieniądze na własną podróż, będąc pewny, że odeślę je z Niemiec w pół roku... Los zrządził inaczej, ale spłacę choćby dziś, jestem na to przygotowany. Nie wynoszą one tysiąca rubli.

— Ośmset — wtrąciła pani Latter.

— Weksle pani ma? — spytał.

— Są przedarte.

— To nic nie stanowi. Nawet choćby ich nie było, wystarczy mi słowo pani, że nie znajdą się w obcych rękach.

Nastała dłuższa chwila milczenia. Gość był zakłopotany jak człowiek, który ma powiedzieć coś niemiłego, a pani Latter wpadła w zadumę. W jej duszy gotował się przewrót.

„Odda mi osiemset rubli — myślała. — Jest zu

pełnie przyzwoitym człowiekiem, jeżeli nie kłamie... Ale on nigdy nie kłamał... Guwernantki nie bałamucił, w karty nie grał, więc... o co myśmy się poróżnili?... I dlaczego nie mielibyśmy się pogodzić? Dlaczego"?...

Ocknęła się i, patrząc łagodniej na swego eksmęża, rzekła:

— Przypuszczając, że to, co pan mówił, jest prawdą...

— Za pozwoleniem — przerwał twardym tonem — do kogo pani raczy odzywać się w ten sposób?... Nikt nie ma prawa kwestjonować tego, co ja mówię.

Pani Latter zdziwiła się, nawet zlękła wybuchu, któremu potężny głos mówiącego nadawał niezwykłą powagę.

„Dlaczego on wtedy tak mi nie odpowiadał?... Skąd ten głos?..." — przeleciało jej przez myśl.

— Nie chcę pana obrażać — rzekła — ale... musisz przyznać, że między nami istnieją dawne i bolesne rachunki...

— Jakie?... Wszystko płacę... Osiemset rubli dziś, resztę za miesiąc...

— Są rachunki moralne...

Gość patrzył na nią zdumiony. Pani Latter przyznawała w duchu, że nie zdarzyło jej się widzieć spojrzenia, w którem byłoby tyle rozumu, siły i jeszcze czegoś — czego się obawiała.

— Moralne — rachunki — między nami?...— powtórzył gość. — I to ja mam być dłużnikiem?...

— Opuścił mnie pan — przerwała podniecona — nie dawszy żadnego objaśnienia.

Na twarzy gościa widać było rosnący gniew, który w oczach pani Latter robił go jeszcze piękniejszym.

— Jakto?...—rzekł. — Pani, która, przez kilka nieszczęsnych lat naszego pożycia, traktowałaś mnie jak psa, jak... szlachcic swego guwernera... pani mówisz o opuszczeniu cię?... Całą moją winą jest to, że panią ubóstwiałem, widząc w niej nietylko ukochaną kobietę, ale i wielką damę barbarzyńskiego narodu, która zniżyła się do poślubienia biedaka, emigranta... No, ale przez ostatni rok, a szczególniej ostatnią scenę, gdziem się prawie lękał, żebyś mnie pani nie kazała wybić swojej służbie, przez tę ostatnią scenę — wyleczyłem się...

Dziś panią rozumiem: jesteś córką scytyjskich kobiet, które wiecznie rządziły, rozkazywały i powinnyby rodzić się mężczyznami... Ale ja byłem członkiem narodu ucywilizowanego i, pomimo przywiązania, pomimo względów należnych kobiecie, pomimo nieśmiałości, nie mogłem dłużej odgrywać roli zaprzedańca...

I lepiej się stało. Pani masz fach, który zaspokoił twoje instynkta władzy, przyniósł ci sławę i majątek, a ja — jestem człowiek wolny... Skorośmy się nie dobrali, najlepszem było to, żeś mnie pani uwolniła... O, to było bardzo stanowcze!..

— Zatargi małżeńskie nie niweczą sakramentu — odparła cicho pani Latter, spuszczając oczy.

Gość wzruszył ramionami.

— Nie pomyślałeś pan nawet, że mogłam wpaść w nędzę z dziećmi... — dodała.

— Dzieci... a nawet fotel i biurko są własnością pierwszego męża pani — odparł sucho. — Sama pani to raczyłaś powiedzieć przed pół godziną i... tej zasady będziemy się trzymali... Co zaś do bytu pani, byłem o niego spokojny. W roku 1867-ym spotkałem w Richmond dawną pokojówkę pani, Anielę, zdaje mi się. Wyszła tam za fabrykanta pończoch. Od niej dowiedziałem się, że założyła pani pensję, że robi pani majątek, że Kazio i Helenka są doskonale wychowani... Trochę dziwiła mnie ta pensja: lecz, znając energję pani, nie wątpiłem, że wszystko musi pójść dobrze.

Jakoż potwierdził mi to, rok temu, pan Śla... Ślaski (tam nazywa się Slade, bo niktby nie wymówił jego nazwiska), dawny sąsiad Norowa. On mi powiedział, że pani zrobiła majątek, że Helenka wyrosła na piękną pannę, a Kazio zapowiada się na genialnego człowieka... Wobec tych doniesień, reszta żalu, jaki mogłem mieć do pani, zgasła we mnie. Zrozumiałem, że gdybym nie wyjechał wówczas, mogłem być zawadą w karjerze pani i dzieci... A dziś powiadam, że to, co się stało, choć było dla mnie bardzo przykrem, dobrze się stało dla wszystkich. Wszyscy podźwignęliśmy się materjalnie i moralnie. Ręka Boska najlepszą wytyka drogę ludziom.

Słuchając tego, pani Latter czuła, że w jej sercu znika dawna nienawiść do męża, a miejsce jej zastępuje niepokój.

„To jest szlachetny człowiek — myślała — ale z czem on do mnie przyjechał?...“

XXVI.

Zatrzymywani odchodzą.

Gość marszczył i tarł czoło, z niewątpliwemi oznakami zakłopotania.

— Jakież masz zamiary nadal?... — zapytała nieśmiało pani Latter, rumieniąc się.

Eks-mąż spojrzał na nią zdziwiony. Przed chwilą nazywała go: panem, teraz mówi ty...

— Więc pani nie odebrała mego listu z grudnia?... — rzekł.

— Treść jego możesz mi dzisiaj opowiedzieć...

— Ach, tak?... Naturalnie, że muszę — odparł.

Machinalnie sięgnął do cygarnicy.

— Chcesz palić?... — zapytała pani Latter prawie pokornym tonem.

— O nie!... przerwał. — Szkoda, że zginął mój list...

— Czyż były w nim jakie dokumenta?...

Gość nie odpowiedział. Znowu tarł czoło, nagle rzekł:

— Pani nie wie: mam syna... Chłopak dziesięcioletni, bardzo ładne i dobre dziecko.... Doskonałe dziecko!...

Pani Later zaćmiło się w oczach.

— Na imię mu Henryk — mówił gość — a ma tak smutne spojrzenie, kiedy się zamyśli, że nieraz drżę o niego i pytam się: skąd ten smutek i co on może zapowiadać?... Ale to chwilowe... Bo zwykle jest wesołem dzieckiem. Ach, jak umie być wesoły!... — dodał, patrząc na panią Latter.

— Miło mi będzie uścisnąć twego syna — od-
)owiedziała zdławionym głosem. — Szkoda, żeś go
ıie przyprowadził...

— Z Waszyngtonu?... — wtrącił gość. — On
)rzecież został z matką...

Pani Latter zbladła.

— Otóż proszę pani — mówił — tu leży powód
nego przyjazdu...

Przystąpienie jednak do rzeczy robiło mu pew-
ıą trudność: kręcił się na fotelu i widocznie znowu
:boczył od przedmiotu.

— Bo widzi pani, ja jestem jednym z głównych
ıjentów fabryki Wooda, machin i narzędzi rolni-
:zych. Dotychczas podróżowałem po Ameryce, lecz
.r tym roku, chcąc rozmówić się z panią, podjąłem
.ię komisów do Rosji. Interesa są tak pilne, że
nusze wyjechać jutro: lecz wrócę tu za miesiąc i dłu-
:ej zabawię... A tymczasem mój adwokat pomoże
)ani do załatwienia formalności...

— Nie rozumiem?... — szepnęła pani Latter,
;ciskając poręcz kanapki.

— Chodzi o rzecz drobną, którą pani, jako ro-
:umna kobieta, może, a nawet ma obowiązek zro-
)ić, po tem, co między nami zaszło... Chodzi o to,
ıżeby... pani ze swej strony zrobiła podanie do kon-
ıystorza katolickiego o rozwód...

Pani Latter patrzyła na niego osłupiała.

— Więc chcesz się żenić, mając tu żonę?...
ja mam dopomagać ci do tego?... Spełniły się moje
)rzeczucia! Po rozmaitych bohaterskich historjach.
nusieliśmy wkońcu zawadzić o kryminał...

Gość znowu zakipiał gniewem.

— Za pozwoleniem. Muszę pani przypomnieć że ja jestem kalwin, a nasz ślub odbył się tylko w kościele katolickim; jeżeli więc nie mylę się (nie mówiłem o tem jeszcze z adwokatami), ślub ten.. nie wiem, czy jest ważny, w obliczu mego wyznania?... Dalej, zostałem przez panią wypędzony z domu, co chyba, wobec sumienia, równa się rozwodowi, zwłaszcza, że potem nastąpiła kilkunastoletnia rozłąka... A nareszcie, gdybym miał mniej skrupułów, w Ameryce znalazłbym sposób zawarcia najlegalniejszego małżeństwa, nie odwołując się do pani

— Więc poco ja mam prosić konsystorz o rozwód i może ponosić koszta?... — zawołała pani Latter z płonącemi oczyma. — Wracaj do swojej Ameryki i popełnij legalne dwużeństwo!... Ta, która obdarzyła cię synem, jest albo ofiarą oszustwa, albo...

Eks-mąż chwycił ją za rękę.

— Dosyć! — rzekł.

Ale pani Latter, czując przewagę, mówiła ze spokojnem szyderstwem.

— Czy ja chcę ją obrażać?... Mówię tylko, że jest jedno z dwojga: albo ją oszukałeś i wziąłeś z nią ślub, albo ona była twoją kochanką. Podziwiać cię będę, jeżeli wskażesz mi jaką trzecią alternatywę.

Gość spokorniał.

— Proszę pani, są rzeczy dziwne w Europie, a bardzo zrozumiałe w Ameryce. Żona moja... matka Henrysia—dodał — w czasie wojny była dozorczynią rannych i, pomimo ośmnastu lat, a może wła-

ie dlatego — najskrajniejszą emancypantką. Szla-
etna, wysoko ukształcona, pełna poezji, głosiła
orję, że prawdziwa miłość nie potrzebuje formu-
k... Więc, gdy wyznałem, że ją kocham, i opowie-
iałem moją historję, wzięła mnie za rękę i w sali
łnej rannych żołnierzy, ich krewnych i dozorczyń,
ekła:

„Kocham tego człowieka, biorę go za męża
ędę mu wierną“...

I jest mi wierną.

— Szczęśliwy człowiek — syknęła pani Lat-
t — nie brakuje mu nawet przyjemnych złudzeń...

Gość udał, że nie słyszy; spuścił głowę i mó-
ł dalej:

— Z biegiem czasu, kiedy nasz syn wzrastał
sło i jej przywiązanie do mnie i — skrupuły. Od
ku lat widywałem ją niekiedy płaczącą. Napróżno
tałem: co jej jest?... Nie odpowiadała. Wreszcie
dząc, że jej smutek doprowadza mnie do rozpa-
cy, rzekła:

„Duchy mówią, że gdybym umarła przed two-
pierwszą żoną, nie ja byłabym z tobą po śmierci,
a tamta. Lecz dodają, że gdybyś miał od niej akt
alniający cię ze ślubu, w takim razie, choćby ona
ie przeżyła, będziesz po śmierci moim“.

— Ach — dodał — muszę panią objaśnić, że
ja żona jest spirytystką, a nawet należy do me-
d w...

Pani Latter siedziała z założonemi rękoma;
ść patrzył z niepokojem, widząc w jej oczach tle-
e iskry nienawiści.

— Cóż pani na to?... — odezwał się tonem prośby.

— Ja?... — odpowiedziała, jak przebudzona.— Posłuchaj, Arnoldzie... Przez kilkanaście lat żyłe z nieznaną mi kobietą... pieściłeś ją... masz z ni syna... Twoja jakaś tam sława wojskowa należał do niej, twoja praca — do niej, twój majątek — d niej...

Zatchnęła się, lecz chwilę odpocząwszy, mó wiła dalej:

— Przez ten czas ja—musiałam dźwigać cię żar wdowieństwa bez jego korzyści... Pracowałam nad utrzymaniem w porządku kilkuset osób, wycho wywałam dzieci... Borykałam się z ludźmi, z obaw o jutro, niekiedy z rozpaczą, podczas, gdy wy, tan byliście szczęśliwi na mój koszt... Dziś, wiesz, c mam zato?... Dwoje dzieci, których los nie jest usta lony, a dla siebie bankructwo... kompletne bankruc two!... Już nawet zalegam w opłacie komornego a gdybym dziś sprzedała pensję i spłaciła długi, ni wiem, czy wyjdę w jednej sukni.

W takiej chwili ty, który mnie obdarłeś z swojej pomocy i osoby, ty przychodzisz do mni i masz odwagę mówić:

„Kochana pani, zaakceptuj moje postepowani z tobą, ponieważ jednej z moich przyjaciółek... pc wiedziały duchy, że powinna awansować na legaln żonę!“...

— Czyś ty oszalał, Arnoldzie, proponując m coś podobnego?... A przecież ja się na to nigdy ni

odzę... nigdy!... Chociażby moje własne dzieci
noich nóg konały z głodu...

Zerwała się z zaciśniętemi pięściami.

— Nigdy... słyszysz?... nigdy!...

Przeszła się kilka razy po gabinecie, szlocha-
. Powoli jednak uspokoiła się i, otarłszy oczy,
nęła przed mężem.

— No?... — rzekła krótko.

Gość spojrzał na zegarek i także podniósł się
fotelu. Na jego ruchliwej twarzy malował się
tej chwili spokój.

— Widzę — rzekł — że jesteś pani bardziej
drażniona, aniżeli można było przypuszczać. No,
trudno... Każdy ma swoje racje...

A teraz stawiam pani ultimatum.

Jest nas czworo: mój syn Henryk, jego matka
pani. Mam bardzo mały majątek — dwadzieścia
ięcy dolarów... Ale ponieważ jakiś czas żyłem na
zcie pani, więc oddam jej z mego mienia — pięć
ięcy dolarów.

Teraz idę do adwokata i powiem, co ma robić.
iej więcej za miesiąc odbiorę kopję aktu i dorę-
pani jej część pieniędzy... Rozumie się, nieza-
ie od opłaty za akta i od tych ośmiuset rubli,
e winienem...

— Jesteś!... — syknęła pani Latter.

Lecz w tej samej chwili przyszło jej na myśl,
pięć tysięcy dolarów po kursie bieżącym wyno-
półosma tysiąca rubli...

Gość niedbale machnął ręką, ukłonił się i wy-
ll, nie odwracając głowy.

Pani Latter patrzyła za nim... patrzyła... A gy skrzypnęły drzwi przedpokoju i na schodach rc-legł się łoskot kroków odchodzącego, zalała się rzewnemi łzami.

W kwadrans potem umyła twarz i, dysząa zemstą, poczęła snuć plany upokorzenia człowiel, który śmiał być szczęśliwym, pomimo jej nien-wiści.

— Przebaczyłam mu, a on zaproponował rc-wód!... Nędznik, krzywoprzysięzca, wielożeńca... Jakżebym teraz chciała mieć wielki, ogromny m-jątek. Pojechałabym tam, do niej, i powiedziałaby::

„Możecie pobrać się z sobą, popełnić świę-kradztwo... Ale w obliczu Boga, ty, kobieto, zawse będziesz tylko jego kochanką, a twój syn niepı-wem dzieckiem... Wobec Boga nigdy nie będziee mężem i żoną, nie połączycie się nawet po śmiei, bo ja... nie uwalniam go od przysięgi“...

Ocknęła się i ją samą zdziwił tak mocny w-buch.

„Ostatecznie — myślała — czego ja się dra-nię... Dziecko mi nic nie winno, chyba tyle, że j jego dzieckiem... A tamta, której nie wiem nav nazwiska, warta swego wspólnika... Wypędziłm go, znalazł istotę godną siebie, i tak muszę nadal tra-tować ich stosunek: pogardliwie, nie dramatyczn.

Ach, gdyby Solski oświadczył się naresze o Helenę!... Za długo trwa ta wulkaniczna miło, o której wszyscy mówią i kompromitują dziewcz-nę... Miałabym pieniądze, a od nędznika nie przy-łabym nawet tych ośmiuset rubli, które mi wini

'tedy pokazałabym mu drzwi, bo właściwie co za spólność ze mną może mieć jakiś pan Arnold?“...

Pani Latter przypomina sobie niedawną rozowę, silny głos, grę fizjognomji Arnolda, jego espodziane wybuchu gniewu, i doszła do wniosku, ; ten człowiek — nie pozwoli się zdeptać.

„W każdym razie — mówiła w duchu—mam ;wnych osiemset rubli za miesiąc: mogę więc dziś ɔżyczyć ze sześćset... A nędznik!... Daje mi siedem 'sięcy rubli odstępnego, sam niewart siedmiu gro;y... Tej sumy, rozumie się, nie przyjmę nigdy świecie!“...

Kazała zawołać pannę Martę, a gdy gospoyni weszła, odezwała się do niej:

— Więc Szlamsztejn odmawia?...

— Co taki... z przeproszeniem pani, wie?... Na ;em on się zna?... Niby to gniewa się, że Fiszman nas zarabiał — odparła gospodyni z grymasem.

Pani Latter zastanowiła się.

— Fiszman?... Drugi raz już mi to panna arta powtarza. Nie znam żadnego Fiszmana. Może ten, co nam masło przywozi?

— Nie, proszę pani. Masło przywozi Berek, Fiszman to taki kapitalista. Już nawet wiem, lzie mieszka...

— Trzeba go jutro sprowadzić — odparła pani atter, patrząc w okno... Zawsze z końcem kwarłu są niedobory... Ale za miesiąc będą pieniądze.

Kiwnęła głową na znak, że gospodyni może lejść, i znowu rozpoczęła gorączkowy spacer po ıbinecie. Uśmiechała się sama do siebie, czując,

że gniew na męża rozbudził w jej duszy nowe za:- by energji.

„Nie dam się!... nie dam się...“ — powtarza, zaciskając pięści.

Nie pomyślała: na jak długo wystarczy jej tn nowy zapas sił i — czy nie jest on już ostatnim?

Wychodzącą pannę Martę dopędził w końu korytarza Stanisław i, wszedłszy do jej pokoju, - jemniczo zamknął drzwi za sobą. Potem wydobł portmonetkę, z niej złotą sztukę dziesięciomarkową i rzekł:

— Aha?... Niech pani zgadnie od kogo to d- stałem. To dopiero pan!... Bywali u nas nawet r- blowi panowie, ale takiego jeszczem nie miał.

— Prawda — odpowiedziała gospodyni, kt- rej oczy uśmiechnęły się do złota.—Ważna sztuka!.. Mój Boże, teraz tego nigdzie nie widać, a jeszcze p- miętam za nieboszczki mamy...

— Co tam sztuka. Ale co to za pan, który n ją dał?... Żebym powiedział pannie Marcie, trupem by padła... słowo daję!

— Oh, jaki mi sekretarz!... Ode mnie wydoby- wa wszystko, co mam pod sercem, a sam droży si. Któżby mógł dać dukata, jeżeli nie pan Solski? Pew nie przyjechał oświadczyć się o panienkę... Chwa ła Bogu! — dodała, wznosząc oczy i ręce do gór

Ale zastanowiła ją poważna fizjognomja lokaj

— No, niech Stanisław gada prędko, albo niec się wynosi...

— Niebardzo komu przeszłoby przez gardł takie słówko — odparł. — To, co powiem, mówi tylko pani, bo niech ręka boska zachowa....

— Zwarjowaliście!... Więc kto był?

— Nieboszczyk pan...

— W imię Ojca i Syna!... Jaki nieboszczyk?...

— Nieboszczyk Latter.

— Przysięgam, że zupełny warjat!... — szepęła gospodyni, wpijając się wzrokiem w twarz tanisława. — Alboście wy znali go?

— Nie znałem, alem trochę słyszał, o czem adali z panią. Niewielem rozumiał, bo to po franusku....

— Więc wy rozumiecie choć trochę?

— Ba! jest się tyle lat na pensji!... Niewszystom słyszał, niewielem rozumiał, ale zawsze wiem, e to był mąż pani Latter... Mnie się to i dawniej uszy obijało, że on jeszcze chodzi po świecie, alem ie myślał, że ma wypełnione kieszenie... Przecie zucić złotą sztukę nie byle kto potrafi...

— Dzięki ci Boże!... — westchnęła panna Mar-. — Zawsze modliłam się na intencję naszej pani byłam pewna, że wypłynie...

— Hum! hum!... — mruknął Stanisław.—A ja tem nic dobrego nie widzę. Naprzód — kłócili się, awet pani coś powiedziała o kryminale, potem — .k on wyszedł, strasznie płakała, a nareszcie... /reszcie, to nigdy nie jest dobrze, kiedy pokazuje ę człowiek, którego wszyscy mają za nieboczyka. Będzie jakaś bieda.

Od krańcowego optymizmu panna Marta naer łatwo przerzucała się w krańcowy pesymizm. /ięc i teraz splotła ręce na piersi i rzekła:

— Aaa... ja i to myślałam. Bo co znaczy mąż,

którego nie było... nie było i naraz wylazł, jak z p(
ziemi? Jużci, kiedy oni rozeszli się, i pani aż m-
siała pensję założyć, więc nie musiało być międz
niemi kleju; a jeżeli teraz wrócił i jeszcze bogaty..

— A jaki piękny pan!... Ho, ho! o ile wyglą(
młodziej od naszej!...

— O!... — przerwała panna Marta — to je
sęk... Młody i piękny mąż, żona starsza... O!... t
tu jest nieszczęście... Żona, biedna, zdarła się w pr
cy, a on piękny i bogaty... Łajdaki mężczyźni!...

— Tylko... pani gospodyni... pary z ust n
trzeba puszczać przed nikim, bo z tego może wyj
nieszczęście i dla mnie... — rzekł Stanisław, gr
żąc palcem.

I gdy uroczyście zabierał się do odejścia, pann
Marta, rozgniewana przestrogą, schwyciła go za r
mię i wypchnęła za drzwi.

W kwadrans panna Marta kocim krokie
wbiegła na górę, szukać Madzi. Lecz, że zamia
Madzi nasunęła jej się panna Howard, więc schwy
ciła ją za rękę, wciągnęła do pustej sali i zaczęł
szeptać:

— Wie pani, co się stało?... Ale niech pa
przysięgnie, że nikomu nie powie! — dodała, podn(
sząc palec wgórę. — Wie pani, Latter wrócił...

— Jaki Latter?...

— Latter, mąż pani przełożonej.

— Ależ on oddawna nie żyje.

— Owszem, oddawna żyje, tylko siedzi
w kryminale...

— Co?... co?...

— Był w kryminale — szeptała panna Mar-
ı. — Ale jaki on piękny!... ach, pani, czyste bóstwo,
zysty Napoljon!...

— Jaki Napoljon?...

— Przecie ten, bożek piękności... A jaki bo-
aty! Pani, dał Stanisławowi parę... co mówię —
ał kilka, a może i więcej złotych dziesięciomarkó-
ek. To miljoner.

— Skądże wziął? — spytała panna Howard,
zruszając ramionami.

— Pewnie z tego, za co siedział w kryminale.

— On tu jest?

— Teraz wyszedł, zameldować się policji, ale
róci...

— I będzie tu nocował?... — badała, podno-
ząc głos, panna Howard.

— Przecież kto tutaj ma żonę, w hotelu noco-
ać nie będzie.

Panna Howard schwyciła się za głowę.

— Natychmiast się stąd wyprowadzam... Męż-
zyzna piękny, który był w kryminale, chce tu no-
ować!... Nigdy, za nic...

— Na miłość boską, panno Klaro... — błagała
przestraszona gospodyni. — Co pani robi?...
rzecież to największy sekret... tajemnica grobowa...

— A co mnie to obchodzi — mówiła wzburzo-
ı panna Klara.—Piękny... i był w kryminale... Ład-
ebym jutro wyglądała!... Przecież taki człowiek
usi być zdeterminowany na wszystko.

— Ależ pani... ależ panno Klaro... — szeptała
ospodyni. — Już wszystko powiem... On tu nie bę-
zie nocował, bo nienawidzi pani Latter... Ledwie

wszedł, zaraz pokłócili się, a pani przełożona ta strasznie płakała, jak w konwulsjach... Nic z tego nie będzie, ona go na próg nie puści... Może nawet nigdy się nie zobaczą...

Panna Howard zaczęła potrząsać głową.

— A co — rzekła — czy powinny kobiety wychodzić zamąż?... Potrzebne jej to było?... Tyle lat pracy i niewoli... Tyle lat męża nie miała, a gdy wrócił, także go mieć nie będzie!... Och, te małżeństwa!... Ja już od pewnego czasu spostrzegłam, że jej coś jest: była blada, zadumana, apatyczna... I nie dziwię się, skoro czekała na taki przysmak... Musze ratować nieszczęśliwą...

— Na miłosierdzie Boga!... — jęknęła panna Marta — niech pani nic nie mówi.

Schwyciła ją za ręce i pchała we framugę, jakby mając zamiar wyrzucić pannę Howard za okno.

— Nudna pani jesteś!... — syknęła nauczycielka, wyrywając się jej. — Naturalnie, nawet nie dam poznać, iż wiem, że mąż powrócił... Ja tylko wyrwę ją z apatji, wciągnę znowu do stosunków z pensją.

— Cóż to dziś za pensja? — wtrąciła gospodyni. — Większa część rozjechała się na święta, a reszta pojutrze... Co ona będzie miała z niemi do roboty?

Panna Howard z gniewem podniosła głowę do góry.

— Co pani pleciesz, panno Marto?—rzekła.— Nie ma co robić?... Ja tonę w pracy między temi dziesięcioma kozami, a pani Latter nie ma co robić?... A przecież jestem o wiele energiczniejsza.

Ktoś szedł przez korytarz, więc obie damy ·ozbiegły się. Gospodyni zaczęła szukać Madzi, ı panna Howard — rozmyślać nad sposobami wy·wania pani Latter z apatji.

„Kiedy znowu zajmie się panienkami i intere;ami, jak ja, nawet piękny mąż wywietrzeje jej ; głowy — mówiła sobie. — Dziś rozumiem wszyst:ie niekonsekwencje tej nieszczęśliwej... Naturalnie, ·ała się, ażeby mąż nie wrócił... Aha!... i wiem te·az, dlaczego jej grozi bankructwo... Wszystkie pie·iądze, jakie wypracowała biedna niewolnica, mu·iała odsyłać do więzienia swemu panu. I otóż on ·est bogaty, nikczemnik, a ona nie ma czem zapłaić za mieszkanie... Takie są korzyści małżeństw!...“

XXVII.

Nowina o córce.

Około ósmej wieczór panna Howard zaprosiła o siebie Madzię. Posadziła ją na krześle, sama usiała tyłem do lampy, skrzyżowała ręce na piersiach utkwiwszy w przestrzeń blade oczy, rzekła niby bojętnym tonem:

— Cóż, wie pani o przełożonej?

— Ach, wiem... — odparła strapiona Madzia.

— O tem, że jej mąż wrócił?...

— Tak.

— Że jest piękny... że był w więzieniu...

— Bardzo bogaty — wtrąciła Madzia.

— I że znowu rozstali się z sobą — ciągnęł panna Howard.

— Wszystko wiem.

— Od kogo?... pewnie od Marty. A to plotkai ka!... przez pięć minut nie utrzyma sekretu.

— Ależ ona błagała mnie o tajemnicę — rzekł Madzia.

— Więc już nie mam pani co mówić o szczegć łach, ale... Posłuchaj mnie, pani — prawiła natchnic nym tonem panna Howard, wznosząc rękę.

W tej chwili zapukano do drzwi, i odezwał si głos Stanisława:

— Pani przełożona prosi pannę Brzeską.. Poczta przyszła...

— Zaraz idę — zawołała Madzia. — (Pewni list od mamy).

— Posłuchaj mnie, pani — mówiła panna Hc ward, przykuwając ją spojrzeniem.—Życie pani Lat ter jest nowym dowodem, co to za klęska dla samo dzielnej kobiety — małżeństwo...

— Ależ tak!... (Może wyjadę na święta?...) – szepnęła Madzia.

— Bo pani Latter — ciągnęła panna Howard– była i jest pierwszą u nas emancypantką. Praco wała, rozkazywała, robiła majątek, jak mężczyzna

— Ciekawam... — wtrąciła Madzia, kręcąc si na krześle.

— Tak, to była pierwsza emancypantka pierwsza samodzielna kobieta — deklamowała z za pałem panna Howard. — A jeżeli dziś jest nieszczę śliwą, to tylko przez męża...

— O, z pewnością!... (Ciekawam?...)

— Mąż zatruwał jej godziny pracy, mąż odędzał sen z jej powiek, mąż skalał nazwisko zbrodią, mąż wyssał jej majątek, pomimo, że był niebecny...

Znowu zapukano do drzwi.

— Muszę iść — rzekła Madzia, zrywając się krzesła.

— Idź pani. Ale pamiętaj, że jeżeli panią Later, tę kobietę wyższą, kobietę przyszłości, spotka v tych czasach jaka okropna katastrofa...

Madzia zatrzęsła się.

— Niechże Bóg broni!... — szepnęła.

— Tak, jeżeli ją spotka jakie straszliwe niezczęście, będzie to skutek powrotu jej męża. Bo nąż dla kobiety samodzielnej...

Madzia już wybiegła, spiesząc do pani Latter.

„List od mamy!... list od mamy!... — myślała, kacząc na schodach. — Może mama każe mi przyechać na święta?... Jakby to było dobrze, bo mi ak straszno zostać tu... Biedna pani Latter z tym nężem“.

Wpadła do gabinetu i zastała przełożoną obok iurka, z listem w ręku.

— Ach, Madziu, jakże długo trzeba czekać na iebie!... — odezwała się pani Latter prawie ze łością.

Madzia zarumieniła się i zbladła.

— Spóźniłam się... — rzekła wylękniona. — Pewnie od mojej mamy list...

Pani Latter niecierpliwie skinęła ręką.

— Masz tu list od Ady Solskiej... Nie wypiera się.... Stempel wenecki, a adres przez nią napisany...

Madzia zdziwiła się.

— Otóż chcę cię prosić — mówiła przełożona — ażebyś pozwoliła mi w twojej obecnośc przeczytać ten list...

Ależ nie trwóż się — dodała, spojrzawszy na Madzię. — Jakie z ciebie dziecko!... Chcę przeczytać list, bo od Helenki przeszło tydzień nie mam wiadomości i niepokoję się... Ach, jak oni wszyscy mnie szarpią...Zresztą — ty sama przeczytaj, ale głośno... Masz tu nożyk, przetnij kopertę... Jej ręce drżą!... Dzieciaku, dzieciaku... No, czytajże nareszcie!...

Madzia, oszołomiona niecierpliwością przełożonej, zaczęła czytać, nic nie rozumiejąc:

— „Moja ty droga, moja jedyna — pisała panna Solska—chciałabym w tej chwili ciebie, was wszystkich, cały świat uściskać. Czy ty możesz wyobrazić sobie takie szczęście: Stefek wczoraj wyjechał z Wenecji, szepnąwszy mi na wyjezdnem, że jest wyleczony, a Hela — wiadomość o jego wyjeździe przyjęła śmiechem! Nawet w tej chwili widzę ją z okna, jak płynie po Wielkim kanale, z rodziną państwa L., z pannami O. i gronem młodzieży. Jadą trzema gondolami, a robią hałas, jakgdyby płynęła flota turecka. Ach Madziu...“

Madzia przerwała, patrząc na przełożona, która siedziała bez ruchu.

— Dajno mi... — rzekła szorstko pani Latter, wyrywając z rąk Madzi papier. Parę razy przeczy-

ła początek, potem zmięła list i uderzyła nim biurko.

— A niegodziwe!...—syknęła. — Jedna zabija nie, a druga — cieszy się z tego... Czy mi wy-rł kto mózg — krzyknęła — czy jaki zły duch wydzierał ludziom serca ludzkie, a powstawiał grysie?...

— Możeby?... — wtrąciła Madzia.

— Czego?...

— Pani taka zmieniona.... ja podam szklankę ody... — zapytała Madzia, drżąc całem ciałem.

— Ach, ty głupiutka dziewczyno!...—przerwa- pani Latter z wybuchem. — Ona mnie wodą czę-je w chwili, kiedy odbieram wiadomość, że Solski rzucił Helenę... Nędznik!... Chociaż dlaczego on ı być lepszym od mojej własnej córki?... To po-ór, to... Wychowałam, nie... wypieściłam ją, na ją niedolę, okradłam się dla niej z majątku, ona — jak płaci?... Gubi siebie, zakopuje przy-ość brata, a mnie — rzuca pod nogi człowiekowi, rym pogardzam i nienawidzę, jak nikogo na iecie...

Czego się ty na mnie patrzysz?... — dodała.

— Ja... nic... — szepnęła Madzia.

— Przecież wiesz, że Solski szalał za tą prze-tą, i ona go odtrąciła!... A chyba i to wiesz, że tem zruj... że jestem w trudnem położeniu, że chcę począć... wypocząć choćby tydzień... I ta, ta... ka, jednym kaprysem, przewraca... już nietylko je plany, ale możność bytu!

Zaczęła chodzić i załamywać ręce.

— Boże!... Boże.... — szlochała Madzia, cz-
jąc, że dzieje się coś nadzwyczajnego.

Nagle pani Latter zatrzymała się nad jej krz-
słem, jakby uspokojona. Położyła rękę na jej gł-
wie i rzekła łagodnym tonem:

— No, kochanko, nie płacz, przebacz mi... W-
dzisz... nawet koń, gdy go rani ostroga, staje dęba.
Jestem trochę prędka.... boleśnie mnie ranion,
więc... i ja rzuciłam się... Ależ to nie przeciw tobie.

— Mnie nie o to... — łkała Madzia.—Mnie ta
przykro.... tak strasznie przykro, że pani... jest...

Pani Latter wzruszyła ramionami i odpar
z uśmiechem:

— W takiem położeniu!... nie bierz tego d-
słownie, kochanko, com mówiła... Cierpię, to prawd,
ale... mnie nie można złamać, o nie!... Mam ja j-
szcze rezerwy, które pozwolą mi i pensję podnie-
i Kaziowi skończyć edukację.

A Helenka — dodała oschłym tonem — mu
przyjąć konsekwencje swoich kaprysów. Nie chci-
ła być damą krociową, będzie od wakacyj dam
klasową.

— Helenka? damą klasową?... — powtórzy
Madzia.

— Cóż w tem dziwnego? Alboż ty nie jest
ukochaną córką dla swojej matki, a jednak prac
jesz? Wszyscy pracujemy, i Helenka będzie prac-
wała, a to ją otrzeźwi... Ja dwojgu dzieciom ju
nie wydołam, a Kazio... musi skończyć edukację.
musi zdobyć stanowisko, bo on kiedyś stanie s
podporą dla mnie, dla Heleny, a może i dla innych
To jest materjał na człowieka w całem znaczeniu.

Madzia słuchała ze spuszczonemi oczyma.

— No, już idź, moje dziecko — rzekła spokojie pani Latter. — Przebacz mi, zapomnij o tem, coś yszała i zabierz list... To już nie była szklanka, e konewka wody, którą się otrzeźwiłam... Helena Solski!... Krociowy pan i córka baby, utrzymującej nsję, także dobrana para.... Muszę przyznać, że elena ma więcej zimnej krwi ode mnie, skoro odzu, po takiej wielkiej katastrofie, popłynęła na acer...

Kiedy Madzia pożegnała ją i wyszła, pani Latt, chodząc ze skrzyżowanemi rękoma po gabinee, myślała:

„Tak, panie Arnoldzie, dam ci rozwód, ale nie z pięć, tylko za dziesięć tysięcy twoich dolarów... ogę wam nawet udzielić błogosławieństwa, ale— z dziesięć tysięcy. Jeżeli tobie wolno dbać o nazwisko dla twego podrzutka, ja muszę dbać o karę dla mego syna. Nie dam mu zwichnąć przyszłoś, nie, nie!...“

Madzia wróciła do siebie z bólem głowy i ubran rzuciła się na łóżko. W opustoszałej sypialni, ócz niej, były dwie uczennice i te, nagadawszy się o wyjeździe na święta, twardo zasnęły.

Wtem, późno w nocy, skrzypnęły drzwi sylni, i ukazała się w nich, przysłaniając świecę ręk pani Latter. Miała na sobie ciemny szlafrok, opaały sznurem. Twarz była trupioblada, czarne włos splątane i najeżone, a w oczach, które z uporem atrywały się w jakiś punkt nie istniejący, widać o trwogę.

Rozgorączkowanej Madzi dzika myśl przel-
ciała przez głowę, że — pani Latter chce ją zabić.
Więc zasłoniła twarz rękoma i czekała, czując, e
w niej serce zamiera.

— Śpisz, Madziu? — szepnęła pani Latt-
schylona nad jej łóżkiem.

Madzia, nie odsłaniając twarzy, ostroż
otworzyła jedno oko i zobaczyła rękę pani Latt
między jej palcami przekradał się różowy bla
świecy.

— Śpisz? — powtórzyła przełożona.

Madzia nagle usiadła na łóżku, aż pani Lat
cofnęła się, i oczy jej straciły swój okropny wyr
— Cóż tu u was, spokojnie... Już tylko dw
panienki śpią w tej sali... Co to ja chciałam pow
dzieć?... co ja chciałam?... Nie mogę zasnąć... A
pokażno mi list..

— Który? — spytała Madzia.

— Ten, Ady.

Madzia odsunęła szufladkę stolika i wydoby
list, który leżał na wierzchu. Pani Latter zbliży
go do świecy i zaczęła czytać:

— Ach tak, to on... Wenecja... Masz, m
dziecko, twój list... Dobranoc.

I opuściła sypialnię, znowu zasłaniając świat
ażeby nie obudzić panienek. Ale te nie spały.

— Poco tu przyszła pani przełożona? — r
kła jedna z nich

— Przyszła, jak zwykle, spojrzeć na nas
odparła Madzia, hamując mimowolne dreszcze.

— Jak to dobrze, że ja jutro wyjeżdżam

epnęła druga pensjonarka. — Jużbym tu nie za-
ęła.

— Dlaczego? — spytała pierwsza.

— Czy nie widziałaś, jak pani Latter strasznie ygląda?...

Umilkły. Madzia zaczęła się rozbierać, ślubu-
j:, że na następną noc przeniesie się do innej sali.

Na drugi dzień lekcyj już nie było na pensji. lka uczennic zbierało się do wyjazdu na święta, t zaś, które miały zostać, korzystając z kwietnio-
j pogody, wyszły z Madzią na spacer.

Ulice wyglądały wesoło, damy, pozbywszy się ıowych strojów, biegły uśmiechnięte z parasolka- w rękach; niedawny śnieg nie pozostawił ani du na ziemi, a na niebie bez chmury świeciło wio- ıne słońce. Pensjonarki tak były zachwycone po- łą i ciepłem, iż na chwilę zapomniały, że one nie jeżdżają na święta.

Ale Madzia była zgnębiona. W sercu jej bu- ły się nieokreślone obawy, a w głowie krążyły powiązane zdania.

„Biedna ta pani Latter!... Dlaczego nie napi- am o niej do Ady?... Dlaczego nie poszłam do Dę- kiego?... On jeden pomógłby nam...“

Potem przyszło jej na myśl, że jeżeli Solski wał z Heleną, to może nie pożyczy pieniędzy jej ce, a i sama pani Latter nie mogłaby od niego yjmować żadnej grzeczności! Lecz mimo te uwa- uparty szeptał w niej głos, że powinna rozmó- się z Dębickim o położeniu pensji.

Co mógł poradzić ubogi nauczyciel, z którym

tak niegodziwie postąpiono na pensji? A jednak Ma-
dzię coś ciągnęło do niego i poszłaby tam naty-
miast, choćby tylko zapytać Dębickiego o zdrowie
i przynajmniej opowiedzieć mu o wszystkiem, co o-
dawna mąciło jej myśli i szarpało serce.

Poszłaby, ale — było jej wstyd.

„Coby to za plotki mogły z tego wyrosnąć?“ —
mówiła, przechodząc pod oknami domu, w którym
mieszkał Dębicki.

„Nie wypada, nie wypada“... — powtarzała s-
bie, tłumiąc przeczucie, że jednak za to słówko „
wypada“ ktoś drogo zapłaci.

O tej samej godzinie, pani Latter, siedząc w g-
binecie, załatwiała rachunki z nauczycielami. W m-
rę, jak który przyszedł, mówiła z nim o tem, że dz
jest bardzo piękny, następnie podawała mu do p-
pisu wykaz lekcyj, które odrobił, podsuwała otwa
kopertę z pieniędzmi, prosząc, aby je przeliczł
a nareszcie — polecała się jego łaskawym wzg
dom po świętach.

Żaden z interesantów, nie wyłączając księd
prefekta i lekarza Zarańskiego, którzy złożyli jej
zytę ostatni, nie zauważył u pani Latter nic szczeg
nego. Była mizerna i zmęczona, ale spoko
i uśmiechnięta.

Na dziedzińcu spotkał się ksiądz prefekt z d
torem i, znowu pogadawszy z nim o pięknym d
i o tem, czy nie wyjeżdża na święta — rzekł nag

— Tęgo się trzyma kobieta przy tych kło
tach?

— Kto ich nie ma! — odparł Zarański. — Z

tą, pensja zawsze robi na mnie wrażenie bardzo
opotliwej fabryki.

— Dobry sobie doktór — uśmiechnął się pre-
kt — pensję porównywać z fabryką... Tak, fabry-
jemy dusze ludzkie!... A swoją drogą Latterowa
ostatnich czasach posunęła się.

— Nerwowa, zdenerwowana... — mruknął le-
rz, patrząc na swoje spodnie. — Wysłałbym ją na
kacje do morza, ale... ona nie uznaje medycyny.
gnam kanonika!

— Wesołych świąt doktorowi—odparł ksiądz.
nnie także trzeba na wakacje wysłać, tylko w ta-
miejsce, gdzie tanio i wesoło, niech doktór
nięta!...

— Do Ostendy!... — zawołał lekarz, idąc
ulicę.

— Taki biedak, jak ja?... — odpowiedział,
iejąc się, ksiądz.

W tej chwili potrącił znajomego posłańca, któ-
na przeprosiny pocałował go w rękę.

— O, jaki to nieuważny!... — rzekł ksiądz. —
dzież pędzisz, bracie?

— Niosę list na pensję, do pani Latter.

— Od kogóż to?

— Od adwokata... Całuję rączki dobrodzie-
i...

„Od adwokata?... — pomyślał prefekt. — Phy!
ej mieć do czynienia z adwokatem, aniżeli z dok-
em i księdzem..."

I poszedł ulicą, uśmiechając się do słońca.

XXVIII.

Wiadomość o synu.

W kilka minut później pani Latter otrzyma list, w którym jeden ze znanych adwokatów zawi- damiał ją, że: pan Eugenjusz Arnold powierzył n „wiadomą“ sprawę i zostawił do dyspozycji pa Latter ośmset rubli, które w każdej chwili mogą b podniesione.

Pani Latter uśmiechnęła się.

„Pilno memu panu mężowi — szepnęła — a trochę musi poczekać“.

Odsunęła szufladkę i policzyła pieniądze.

„To dla służby — myślała, dotykając jedn paczki — to dla nauczycielek... to na czas świą Gdybym miała jeszcze ze sześćset rubli, mogłaby na parę tygodni zamknąć usta gospodarzowi...“

„Gdybym od adwokata wzięła te ośmset r- bli?... Aha, zaraz!... On natychmiast dałby znać m- mu mężowi, a ten — swojej nałożnicy... Nie, k- chankowie!... pomęczcie się...“

Nagle zerwała się od biurka z zaciśnięte pięściami:

— A niegodziwa Hela, przeklęta!... Mnie zm- sić do spełnienia życzeń pana Lattera, bratu zawi- zać przyszłość... Nie, mam tylko jedno dziecko: m- go syna... A ty, potworze, zostaniesz guwernantk I może, w najlepszym razie, będziesz kiedyś za pi- niądze uczyła dzieci tego nędznika Solskiego, któ powinny być twojemi dziećmi... Święta prawda, każdy jest kowalem swego losu!...

Zadzwoniła i kazała zawołać pannę Martę.
gdy gospodyni weszła na palcach, robiąc minę
ensjonarki, rzekła:

— Cóż ten Żyd, jest?

— Jaki Żyd?... — spytała panna Marta. —
'iszman?...

— No, Fiszman.

— Myślałam, że już niepotrzebny — szepnęła
ospodyni, spuszczając oczy.

Teraz panią Latter ogarnęło zdumienie.

— Dlaczego?... — zapytała z gniewem. —
rzecież wczoraj, po obiedzie, prosiłam panią, ażeby
i go sprowadzić... Czy pani sądzi, że w ciągu
ocy wygrałam na loterji?...

— Zaraz go zawołam — odparła zawstydzona
ospodyni. I, dygnąwszy znowu po pensjonarsku,
yszła.

„Co to znaczy? — myślała pani Latter. —
ıkie miny wyrabia ta kucharka?... Czyby już
iedzieli o powrocie mego męża i o pieniądzach?“

Zawołała Stanisława i rzekła ostrym tonem:

— Słuchaj-no, spojrzyj mi w oczy...

Siwy lokaj spokojnie wytrzymał jej ogniste
ojrzenie.

— Ktoś mi tu... papiery przewraca — obja-
iła go pani Latter.

— Nie ja — odparł.

— Spodziewam się. Możesz odejść.

„Wszyscy mnie szpiegują — mówiła do siebie
ıni Latter, szybko chodząc po gabinecie. — On
kże... Nieraz przecie łapałam go na podsłuchiwa-

niu... Jestem pewna, że i wczoraj podsłuchiwał, ale- mówiliśmy po francusku".

— Nieszczęśliwa jestem... biedna moja gło wa!... — dodała półgłosem, chwytając się za głowę

Potem poszła do sypialni i wypiła kielisze wina, drugi dzisiaj.

— Ach, jak to uspokaja!... — szepnęła.

O pierwszej przyszedł Fiszman. Był to star Żyd, nieco zgarbiony, w długim surducie. Nisk ukłonił się pani Latter i z pod oka przypatrywa się sprzętom.

— Potrzebuję sześciuset rubli na miesiąc – rzekła, czując, że krew uderza jej do głowy.

— Kiedy pani potrzebuje? — zapytał po na myśle.

— Dziś, jutro... za parę dni.

Żyd milczał.

— Cóż to znaczy? — spytała zdziwiona pan Latter.

— Ja dziś nie mam sześciuset rubli, a odbior może za dwa tygodnie.

— Więc poco tu przyszedłeś!...

— Bo mam takiego znajomego, coby i dzi pożyczył, ale on chce zastawu — odparł Żyd.

Pani Latter zerwała się z fotelu.

— Oszalałeś!... — krzyknęła. — Więc ja, na mój podpis, nie dostanę sześciuset rubli? Chyba nie wiesz, kto jestem?...

Fiszman zmieszał się i rzekł tonem perswazji

— Przecie pani wie, że ja nieraz dawałem na

ani podpis. Ale dziś nie mam, a ten znajomy chce astawu.

Pani Latter cofnęła się i patrzyła na niego, e rozumiejąc, co powiedział.

— Na czyj podpis?... — spytała.

— Na pani, pani Karoliny Latter, jak pani ręzyła za pana Norskiego.

Pani Latter pociemniało w oczach. Nagle chwyciła go za klapę surduta i zawołała chrapliym głosem:

— Kłamiesz... kłamiesz!...

— Co pani mówi?... — odparł oburzony, wyzierając się jej z rąk. — Pani nie poręczała weksli ana Norskiego?...

Pani Latter zbladła, zawahała się, lecz po wili rzekła stanowczym głosem:

— Tak, poręczałam weksle mego syna nieraz... le nie pamiętam pańskiego nazwiska.

Fiszman spojrzał na nią z pod zaczerwienioych powiek.

— To wszystko jedno. Ale weksle ja kupoałem.

— Masz pan jeszcze jaki?... — spytała ciszej.

— Nie. Pan Norski dwudziestego piątego mara wykupił ostatni.

— Ach, tak... Ile tam było?

— Trzysta rubli.

— Aha... Kiedyż to on był wystawiony?

— W styczniu — odparł Żyd.

— Ach, ten?... Nie wiedziałam, że pan bieesz takie duże procenta.

Żyd patrzył na nią z politowaniem. Weksel by nie na trzysta, tylko na dwieście rubli, wystawion nie w styczniu, lecz w końcu lutego. To znaczy, ż pani Latter nie wiedziała o niczem, a więc i nie po ręczała weksli.

— To się zdarza — mruknął.

— Co?

— Że poręczyciel może nie wiedzieć nazwisk wierzyciela... Wszystko jedno, byle było zapła cone — mówił Fiszman.

Pani Latter ciężko odetchnęła.

— Możesz pan odejść — rzekła.

— A te sześćset rubli, co pani chciała?...

— Nie dam zastawu.

— Może ją do jutra wystaram się bez zasta wu — odparł. — Ja przyjdę jutro.

Wyszedł, zostawiając osłupiałą panią Latter Gdyby nie zapach starego kitu, który jeszcze czu było w gabinecie, nie wierzyłaby, że przed chwil stał tu człowiek, który miał w rękach weksle je syna, poręczane przez nią!

To, o co posądzała swego drugiego męża, zro bił — syn, dziecko ubóstwiane, na którym opierał ostatnią nadzieję, którego wielkie czyny i sław miały wynagrodzić bóle jej życia, wypełnioneg goryczą.

Myśląc tak, nie czuła pretensji do Kazimierza

Czuła tylko, że jej siły są wyczerpane i że z wszelką cenę chce spokoju. Nawet nie na długo, bo daj parę dni, byle przez ten czas nikogo nie widzieć z nikim nie rozmawiać, o wszystkiem zapomnieć

ldyby istniał jaki sposób pogrążenia się w letarg, ani Latter użyłaby go.

„Ciszy... spokoju!... — szeptała, leżąc z zankniętemi oczyma na kanapce.—Gdybym ja mogła asnąć!“...

Stanisław, który, siedząc w przedpokoju, wiedział o każdym ruchu swej pani, zatrwożył się dłuiem milczeniem i wszedł. Drgnęła i rzekła:

— Czego chcesz?

— Zdawało mi się, że pani woła.

— Idź sobie i niech ci się nic nie zdaje — odpoviedziała zmienionym głosem.

Stanisław poszedł do panny Marty na naradę. V kwadrans pani Latter usłyszała pukanie do rzwi głównych.

— Kto tam?

— Ja — odpowiedziała, wchodząc, pensjoarka z czwartej klasy. — Zaraz wyjeżdżam i przyzłam panią pożegnać...

Blada pani Latter podniosła się z kanapki ucałowała dziewczynkę.

— Życzę ci wesołych świąt, moje dziecko...

— Mama kazała przeprosić panią przełożoną, e za ten kwartał odda dopiero po świętach...

— Dobrze, moje dziecko.

— I jeszcze kazała mama prosić...

— Dość, moje dziecko...

— O te lekcje muzyki....

— Zlituj się!... Pogadamy o tem po świętach — rzerwała pani Latter, delikatnie odsuwając ją.

Dziewczynka zalała się łzami i wybiegła z ga binetu. Pani Latter znowu upadła na kanapkę.

Około drugiej cichutko wsunęła się panna Marta.

— Proszę pani — szepnęła — ja każę dla pani zrobić filiżankę buljonu na obiad i...

— Na miłosierdzie boskie, panno Marto — przerwała pani Latter — zostawcie mnie w spokoju...

— Bo dziś, proszę pani, jest zupa kartoflana...

— Spokoju chcę, panno Marto, spokoju... — jęknęła pani Latter.

Zostawiono ją w spokoju, więc leżąc, zasłoniła oczy rękoma i myślała:

„Poco ja kazałam sprowadzić tego Fiszmana?... Czyja to intryga, że właśnie on przyszed i powiedział o wekslach?... Marta go sprowadziła dlaczego? Marta chodziła do Szlamsteina? Bo mnie zabrakło pieniędzy, ponieważ Kaziowi dałam tysiąc trzysta rubli zagranicę!... Straszny łańcuch wydarzeń... drobnych wydarzeń, które jednak zdruzgotały mi duszę... Zdrowaś Marja łaskiś pełna...“

Zerwała się, błędnym wzrokiem obrzuciła gabinet, jakby lękając się zobaczyć w nim coś nadzwyczajnego i — znowu położyła się. Kilka minut leżała, nie ruszając się, nie czując, nie myśląc, lecz znowu w jej duszy potoczył się prąd bolesnych marzeń.

„On niewinien, to ja jestem winna... Dlaczego nie wychowałam go w pracy, jak wychował się choćby ten... Kotowski?... Wreszcie—błąd młodości; czy to jeden robił nawet gorzej i poprawił się... Taki

zieciak mówi sobie: ja i matka jedno jesteśmy i— odpisuje matkę, zgóry wiedząc, że nie odmówiłaym mu... Naturalnie głupstwo, ale poco Żyd powiedział mi to, poco?... Przecież weksle wykupione, ic się nie stało, więc dlaczego powiedziano mi o tem, laczego?... Boże!... jakiżeś ty świat stworzył, że na im wszystko wspiera się dla zniweczenia ludzkiego pokoju... Jeszcze dziś z rana było mi tak dobrze...

Nagle z łoskotem otworzyły się drzwi i wpała zaperzona panna Howard, wołając:

— Niechże pani będzie łaskawa idzie na górę wytłumaczy tym gąsiątkom, że one muszą jeść upę kartoflaną, jeżeli ja ją mogę jeść....

Pani Latter zerwała się. W oczach zrobiło się ej ciemno, w uszach zaszumiało i — zamachnęła ękoma, jak człowiek, który gdzieś spada.

— Co to jest?... — spytała po chwili zatrwoona, nie widząc poza czarnemi płatkami panny loward.

— Te smarkate zrobiły bunt przy obiedzie nie chcą jeść zupy kartoflanej — mówiła uczona soba. — Niechże pani pójdzie do nich i użyje swoej powagi...

— Ja?... — spytała, blada jak ściana, pani Later. — Ależ ja jestem chora.... taka chora...

— Pieści się pani!... Cóż to znowu?... Trzeba trząsnąć się z apatji i podnieść głowę, jak przytało na kobietę samodzielną... No, niech się pani rzemoże... błagam panią... — mówiła panna Klara, vyciągając do niej rękę.

Pani Latter wtuliła się w głąb kanapki, jak przelęknione dziecko.

— Na miłość boską — odparła drżącym głosem — zostawcie mnie w spokoju... Cierpię tak, że chwilami odchodzę od przytomności...

— W takim razie przyślę pani doktora.

— Nie chcę doktora....

— No, bo coś trzeba robić... Trzeba trochę panować nad sobą — mówiła tonem wyższości panna Klara. — Taki upadek ducha...

— Precz!... — krzyknęła pani Latter, wskazując jej ręką drzwi.

— Co?...

— Precz!... — powtórzyła, chwytając bronzowy lichtarz.

Twarz panny Klary zrobiła się popielatą.

— Wyprowadzam się — syknęła — i nie pierwej wrócę, aż c i e b i e tu nie będzie...

Trzasnęła drzwiami, a pani Latter upadła na podłogę i, zanosząc się od płaczu, szarpała dywan.

Wbiegł Stanisław, za nim gospodyni, jedna z nauczycielek, nareszcie Madzia. Podniesiono panią Latter, otrzeźwiono. Powoli uspokoiła się i kazała wszystkim odejść, z wyjątkiem Madzi.

— Zaczekaj tu — rzekła po chwili.

Wyszła do swej sypialni i w kilka minut wróciła tak spokojna, że Madzia krzyknęła ze zdziwienia. Ani śladu strasznego ataku, tylko zmięta suknia i zamglone oczy przypominały, że jest to ta sama pani Latter, która kwadrans temu tarzała się z bólu na podłodze.

„Jezus, Marja! jakaż to silna kobieta!...“ — omyślała Madzia.

Pani Latter zbliżyła się do niej i, wziąwszy ją a rękę, rzekła cicho:

— Słuchaj... Ale przysięgnij, że mnie nie zdrazisz....

— Czy może pani przypuścić?... — wyjąkała rzestraszona Madzia.

— Otóż — mówiła pani Latter — ja wyjeżżam... Zaraz wyjeżdżam stąd... A ty musisz mi poıóc...

— Ależ pani...

— Nic nie protestuj, nie spieraj się... bo jak ragnę szczęścia dzieci, zabiję się w twoich oczach— ıówiła pani Latter.

— Gdzież pani chce jechać?

— Wszystko jedno... gdziekolwiek... do Częochowy, do Piotrkowa, do Siedlec... Nie jadę na ługo, na parę dni, ale... choćby przez jedną dobę ie chcę widzieć pensji i jej ludzi... Powiadam ci: dybym została jeszcze parę godzin, zabiłabym się, bo oszalałabym. A tak, wyjadę na dzień... dwa... derwę się od tej tortury... zbiorę myśli..

Zaczęła ściskać i całować nauczycielkę.

— Ty mnie rozumiesz, Madziu — mówiła. — rzecież nawet zbrodniarzy niekiedy rozkuwają łańcuchów i wypuszczają na świeże powietrze... ja zbrodniarką nie jestem... Pomóż mi więc, jakyś pomogła twojej matce... Ty jedna w tem piekle asz serce dziecka... tobie jednej mogę powiedzieć, ... chyba Bóg mnie przeklął...

— Co pani mówi?... Niech się pani uspokoi...- błagała Madzia, usiłując upaść jej do nóg.

Pani Latter podniosła ją i posadziła obok siebi

— Zlituj się nade mną, dziecko moje, i chci wyrozumieć. Jestem w trudnem położeniu, a ni mam nikogo... nietylko ażeby poradzić się, ale na wet, ażeby wypłakać, co mnie boli. Pozostaje tylk mój rozum i własna wola. Tymczasem ja tu strac rozum... Ot, i w tej chwili wydaje mi się, że ścian pokoju gną się... że podłoga zapada pode mną... Ta się boję... taki mam wstręt do tego mieszkania i lu dzi, że muszę gdzieś uciec... Na jeden dzień, Madzi na jeden dzień uwolnij mnie... a przy śmierci błogo sławić cię będę... Pomożesz?...

— Tak — szepnęła Madzia.

— Więc idźmy.

Poszły do sypialni, gdzie pani Latter z pośpie chem przebrała się w kortową suknię. Potem d torby podróżnej włożyła koszulę i ręcznik, a naresz cie — butelkę wina i kieliszek.

— Patrz na moją niedolę, Madziu — mówiła ocierając łzy. — Jeżeli nie wyrwę się stąd, nie od pocznę... grozi mi pijaństwo!... Wyczerpałam si tak, że bez wina nie mogę się obejść, jak człowiel chory na tyfus. Na nieszczęście, niema dość mocneg narkotyku, któryby zgłuszył gorycz, jaką nas ludzi zatruwają....

O, człowiek, cóż to za podłe zwierzę! Kiedy przychodzi na świat, modlisz się jak do cherubina z którego po kilkunastu latach wyrasta potwór.. Czy jest dziecko, którego nie kąpałaby matka łzami

e otaczała pieszczotami?... Dla niej ono niebem, iecznością, Bogiem, a co potem?... Prędzej czy źniej zdarzy się wypadek, że matka nie poznaje vego płodu i doświadcza takiego zdumienia, jak łąb, któremu skradzionoby pisklę, a podrzucono puchę...

— Pani nie powinna tak mówić... — wtrąciła adzia; lecz umilkła, zawstydzona własną śmia-ścią.

Pani Latter spojrzała na nią wzrokiem, w któ-m była ciekawość i prośba.

— Mów, mów... — rzekła. — Dlaczego nie winnam?...

— Bo przecież to nie jest występek, że Helenka chce iść za pana Solskiego, jeżeli go nie kocha. z miłości...

— Bez miłości, mówisz, nie warto iść zamąż— zerwała jej pani Latter. — A z miłością, sądzisz, warto?... Oj, dziecko, dziecko... znam kobiety, óre wychodziły zamąż z miłości i co z tego?... powały sobie wrogów w czasach pomyślnych, rajców w porze walki o chleb, a szyderców w nie-wodzeniu. Powiem ci, co jest miłość: wyjść za-ąż bogato i spisać intercyzę...

— Jezus, Marja!... — szepnęła nagle, wycią-ąc przed siebie ręce.

— Co pani?...

— Zaczekaj!... Już przechodzi... Ach, jakie to aszne!... Chwilami zdaje mi się, że się dom wali... ybyś widziała te ściany, kiedy się gną... Muszę d uciec... nie wytrzymam...

Usiadła, odpoczęła i mówiła złamanym głosem

— Ja wiem, że to są przywidzenia, ale nie mo gę się oprzeć... Rozumiem mój stan, ale już nie pa nuję nad sobą... Trzeba być warjatką, ażeby gnie wać się na uczennicę, która nas żegna, na Mart kiedy częstuje buljonem, na te wbiegania co pół go dziny do mego pokoju... Przecież od kilkunastu la dzieje się to samo, ciągle ktoś wpada... Ale dziś—ju nie mogę wytrzymać. Każdy szmer, wyraz, każd twarz ludzka są jak rozpalone sztylety, które m w mózg wbijają... Muszę jechać, bo tylko to mn ocali...

Około szóstej niebo zachmurzyło się i zrob się zmrok.

Pani Latter naprędce napisała kilka wyrazó do Zgierskiego i kazała Stanisławowi odnieść lis Potem szybko włożyła kapelusz i zarzuciła na sie bie okrycie, prosząc Madzi, ażeby tylnemi schodan wyniosła jej torbę na ulicę.

W kilka minut, niespostrzeżone przez nikog spotkały się niedaleko Kopernika. Pani Latter wsko czyła do dorożki, kazała Madzi usiąść obok siebi a woźnicy — jechać do kolei warszawsko-wiedeń skiej.

— Masz tu klucze od biurka — mówiła do Ma dzi. — Ach, jak mi lekko!... Jest tam kilkaset rubl Powiesz, że wyjechałam na parę dni... ja także chc mieć wakacje. Dopiero w tej chwili czuję, że będ zdrowa, choć jeszcze kłaniają mi się kamienice. Ale to drobiazg!... Gdy odetchnę i powrócę—wszys

się zmieni, a tobie, Madziu, zrobię propozycję... to wie, może jeszcze będziesz kiedy przełożoną?...

„Niechże mnie Bóg broni!...“ — pomyślała adzia.

— Oto wszystko — mówiła pani Latter. — teraz, do widzenia!... Wysiądź z dorożki, nie wraj zaraz na pensję, a gdy wrócisz — mów, co ci się doba... Wybornie udał mi się figiel!...

Kazała dorożkarzowi stanąć i uścisnęła Maię.

— Wysiadaj, wysiadaj... Bądź zdrowa!...

Po chwili zniknęła dorożka, zostawiając na roi ulicy osłupiałą Madzię.

XXIX.

Pomoc gotowa.

Odurzenie Madzi trwało niedługo, tem bardziej, na ulicy zaczął krążyć jakiś młody człowiek, awdopodobnie z zamiarem ofiarowania jej swoi usług i serca. Ocknęła się, a w głowie jej wyraźe zarysowały się dwie myśli: pierwsza — że nsja pani Latter jest zgubiona, druga — że w takiej wili trzeba iść do Dębickiego.

Co on mógł poradzić?... absolutnie nic. Ale Maia czuła, że jest jakieś wielkie niebezpieczeństwo że w podobnych chwilach trzeba chronić się do owieka uczciwego. W jej zaś oczach, Dębicki był juczciwszym z ludzi, jakich znała. Ten ubogi, schowany, wiecznie zakłopotany nauczyciel, wyrósł

na niebotyczną skałę. Jeżeli zastanie go w domu-jest ocalona; gdyby przypadkiem wyjechał, Mad pozostawałoby chyba — utopić się.

Już nie chodziło jej ani o pensję, ani o pan Latter, ale o samą siebie. Pragnęła usłyszeć dobı słowo z ust prawego człowieka, a przynajmni spojrzeć na jego twarz i uczciwe oczy. Tera on był najmędrszym, najlepszym, najpiękniejszyn on. jedyny człowiek, któremu w podobnej sytuac można bezwzględnie ufać.

Wsiadła w dorożkę i kazała zawieźć się do pa łacu Solskich. Zadzwoniła do sieni — nie otwieranc więc poczęła dzwonić dopóty, aż w sieni rozlegl się powolne stąpanie. Zakręcono kluczem i w uchy lonych drzwiach ukazał się stary człeczyna, ma jący potężne brwi, a na głowie kilka kęp siwyc włosów.

— Pan Dębicki jest? — zapytała.

Stary rozłożył ręce ze zdziwieniem, lecz wska zał jej drzwi na prawo. Madzia wpadła tam i w du żym pokoju, przy lampie z zielonym daszkiem, zoba czyła Dębickiego. Siedział przy stole i pisał.

— Ach, panie profesorze — zawołała Madzia— jak to dobrze, że pan jest!...

Dębicki podniósł na nią jasne oczy, ona zaś rzu ciła się na fotel i zaczęła szlochać.

— Tylko niech się pan nie niepokoi — mówi ła. — To nic... jestem trochę rozstrojona... O, żeb tylko pan nie zachorował... W tej chwili odprowa dziłam panią Latter... Wyjechała!...

— Na święta? — spytał Dębicki, wpatrując ię w Madzię. A w duchu dodał:

„Zawsze musi być jakaś komedja z temi ba- ami!...“

— Nie na święta... Prawie uciekła!... — od- arła Madzia.

I w sposób zwięzły, co niesłychanie dziwiło ębickiego, opowiedziała mu o nagłej chorobie pani atter, o powrocie męża, o możliwem bankructwie ensji...

Dębicki wzruszył ramionami: słyszał wszyst- o, lecz niewiele rozumiał.

— Proszę pani — rzekł — do mnie o to nie ıożna mieć pretensji. Ja prawie nigdzie nie wycho- zę i nie mam zwyczaju wypytywać o cudze inte- ɛsa... Ale pieniądze dla pani Latter są...

— Jakie pieniądze?...

— Cztery... pięć... do dziesięciu tysięcy rubli... an Stefan Solski, na żądanie panny Ady Solskiej, .ką sumę zostawił do dyspozycji pani Latter, gdyby iedy znalazła się w kłopotach finansowych... No .e ja, jak się pani domyśla, o jej położeniu nie mo- łem wiedzieć.

— Zostawił?... — Ależ on zerwał z Helą! — ıwołała Madzia.

— Zerwał!... — powtórzył Dębicki, machając ːką. — W każdym razie, przed tygodniem, jeszcze ız przypomniał mi o pożyczce dla pani Latter, dyby potrzebowała.

— Ona nie przyjęłaby od pana Solskiego — ːekła Madzia

— Znaleźlibyśmy kogo innego, jakąś wspó niczkę, czy nabywczynię pensji... Ale z panią La ter ciężka sprawa...

Madzia spojrzała na niego pytająco.

— Proszę pani — mówił zakłopotany — spra wa jest ciężka, z tego względu, że pani Latter nicz go nie uznaje prócz własnej woli...

— Nadzwyczajna kobieta! — wtrąciła Madzi

Dębicki zaczął targać sobie resztki włosó i, patrząc na stół, mówił:

— Tak, to energiczna osoba, ale — przepra szam panią — energiczna po kobiecemu. Jej się wy daje, że to, czego ona chce, powinno być prawem natury... a tak przecie nie można... Nie można pro wadzić pensji drogiej, kiedy kraj zubożał i powstał mnóstwo pensyj tańszych... Nie wypada wysyła dzieci zagranicę, kiedy się nie ma pieniędzy... Nie podobna, ażeby jedna kobieta pracowała na trz osoby, z których każda lubi dużo wydawać...

— Ale pan Solski pożyczy 10.000 rubli? — wtrąciła Madzia.

— Tak... tak... To może być zrobione każd chwili, jutro, dziś... No, ale on, a raczej ta osob która będzie układać się z panią Latter, postaw swoje warunki...

— Boże, Boże!... dlaczego ja nie przyszłam do pana tydzień temu — mówiła Madzia, składają ręce.

— Proszę pani — odparł — według mego zda nia, to wszystko jedno. Złe tkwi nie w braku pienię dzy, ale — w usposobieniu pani Latter, która... do

·awdy — jest troszeczkę za energiczna i lubi iść ·zebojem... A tak nie można... Człowiek musi znać prawa natury, czy innych ludzi, gdyż inaczej ozbije się dziś, albo jutro...

— Więc według pana kobiety nie powinny yć energiczne?... — nieśmiało wtrąciła Madzia.

— Owszem, pani: wszyscy ludzie powinni mieć ozum, serce i energję, tylko—nie za dużo rozumu, e za dużo serca, nie za wiele energji... Bo co innego st ustępowanie wszystkiemu i wszystkim, a co innego — narzucanie swej osobistości. Co innego amazarna bierność, a co innego nie uznawanie żadych praw poza swojemi interesami, czy kaprysami.

Madzi było przykro słuchać tego o pani Latter, cz — wierzyła Dębickiemu, a nadewszystko czuła, on panią Latter scharakteryzował surowo, ale okładnie. W każdem jej słowie, ruchu, postawie, awet kiedy była najłagodniej usposobiona, odzywało się: „ja tu jestem, ja tak chcę...“

Ale, mając inny charakter, może nie zostałaby erowniczką setek osób.

— Więc, proszę pana, te dziesięć tysięcy rui... — odezwała się Madzia.

— No, zaraz dziesięć!...—uśmiechnął się Dęcki.—Naprzód zobaczymy, ile potrzeba? Szkoda, dowiedziałem się tak późno, ale—nic straconego. o powrocie pani Latter zgłosi się do niej ktoś z propozycjami i—będzie dobrze.

Madzia, uszczęśliwiona, pożegnała Dębickiego. ıka ona była dumna, że to przez nią, przez taki oszek, jak ona, spłynie pomyślność na panią Lat-

ter, która nawet nie domyśli się: kto jej oddał usł-
gę? A jak żałowała, jak ciężkie robiła sobie wyrz-
ty, że nie przyszła tu wcześniej...

„Swoją drogą — mówiła — gdyby Dębicki z-
stał na pensji profesorem, nie byłoby tych kłop-
tów"...

I w tej chwili ogarnął ją strach: zrozumia
bowiem, co znaczy logika faktów... Tak, na świec
nic nie ginie, a drobne błędy, nawet zapomnian
zczasem odzywają się i ciężko ważą na życiu.

Kiedy wróciła na pensję, wbiegła do ciemn
sali za swój szafirowy parawanik; tam uklęk
i chciała modlić się, na podziękowanie Bogu, iż
zrobił narzędziem łaski nad panią Latter. Lecz,
do głębi wzburzona jej dusza nie znajdowała słó
podzięki, więc Madzia biła się w piersi, szepcząc
„Boże, bądź miłościw nam grzesznym".

Pobożne jej skupienie trwało krótko. Wnet b
wiem drzwi uchyliły się i do ciemnej sypialni wpa
strumień światła, na którego tle zarysowało się ki
ka głów i główek. Jednocześnie rozmawiano:

— Przynieś lampę...

— Może rozgniewa się...

— Czy tu jest panna Magdalena?...

Madzia wyszła z za parawanu; a gdy o tyl
zbliżyła się do drzwi, że można było dojrzeć, gr
madka osób, stojąca na korytarzu, szybko cofnęł
się ku schodom. Przyczem rozległ się głos pann
Marty:

— A to tchórz ze Stanisława... Niby mężczy
zna i najpierwszy ucieka...

— Co to jest?... — zapytała zmieszana Ma-zia, zatrzymując się na progu sypialni.

Wtedy wszyscy przybiegli zpowrotem i w jed-ej chwili otoczyły Madzię pensjonarki, damy kla-owe i służba, patrząc na nią wylęknionemi oczyma rozprawiając tak bezładnie, że nic zrozumieć nie ogła.

— Gdzie pani przełożona? — pytała jedna pensjonarek.

— Nam się należą zasługi!... — wtrąciła poko-wka.

— Co ja jutro dam jeść panienkom? — wołała ospodyni.

— Tu już był pan rządca i rewirowy... — do-ucił Stanisław.

Pod Madzią zachwiały się nogi.

„Czy oni mnie o co posądzają?“... — myślała zerażona.

Szczęściem z drugiego końca korytarza nad-egła panna Howard, w białym penjuarze, z roz-szczonemi płowemi włosami i, roztrąciwszy ze-anych, schwyciła Madzię za rękę:

— Chodź pani do mnie — rzekła. — A wy — dała surowo — na swoje miejsca!... Ja zastępuję zełożoną i, gdy będzie potrzeba, dam objaśnienia.

W pokoju panny Klary Madzia upadła na krze-o i przymknęła oczy. Jej też zdawało się, że ściany yginają się, a podłoga drży pod nogami.

— No i cóż ta nieszczęśliwa?... Gdzież ona st?... — zaczęła zniżonym głosem panna Howard.

— Pani Latter wyjechała...

— Tylko mi pani tego nie mów, panno Magd-leno.

— Ależ z pewnością wyjechała.

— Dokąd?...

— Czy ja wiem?... Zapewne do Częstochow, ale za parę dni wróci.

Panna Howard zastanowiła się.

— To być nie może, ona jest w Warszaw. A ponieważ rozumiem, dlaczego opuściła pens, ponieważ ja jedna mogę ją skłonić do powrotu...

— Pani?... — spytała Madzia.

Panna Howard stanęła na środku pokoju w p-zie dramatycznej.

— Posłuchaj pani — mówiła głębszym n zwykle kontraltem, wznosząc oczy na wysoko oberlichtu. — Kiedy te smarkate zbuntowały s dziś z powodu zupy kartoflanej, poszłam do pa Latter i chciałam ją rozbudzić z apatji... Była ro-drażniona, posprzeczałyśmy się, a ja powiedziała jej, że opuszczam pensję i nie wrócę, dopóki — o tu będzie... Teraz pojmujesz?... Pani Latter znalaz się wobec jednej z dwu alternatyw: albo mnie prz prosić, albo usunąć się z pensji. No, i wybrała to dr-gie, szalona, lecz dumna kobieta...

Madzia otworzyła oczy i usta. Panna Howa zaczęła spacerować po swoim ciasnym pokoju i m-wiła dalej:

— Domyślasz się, pani, że, odniósłszy tak zwycięstwo, nie okażę się okrutną. Nie chcę, ażeb upokarzała się przede mną kobieta samodzielna i, n mo błędów, o całe niebo wyższa nad zwykły p

ɔm. Nie pytam więc, gdzie się obecnie ukrywa, :z proszę panią, ażebyś, zobaczywszy się z nią, wiedziała jej te słowa:

„Panna Howard zostaje na pensji, panna Howard wszystko puściła w niepamięć. Sądzi bowiem, obie panie zajmujecie zbyt podniosłe stanowiska, ebyście, walcząc ze sobą, miały przyczyniać się triumfu przesądów!...

— To niech jej pani powie, panno Magdale- — kończyła. — A gdy wróci na pensję, sama ?jdę naprzeciw niej i, milcząc, pierwsza podam jej kę. Są chwile w życiu ludzkiem, panno Magdale-, podczas których milczenie zastępuje najwznio-jszą mowę.

W tym momencie, łącząc praktykę z teorją, nna Howard przystąpiła do Madzi, mocno uściçła ją za rękę i — milczała. Ale milczała zaledwie ka sekund. Wnet zaczęła opowiadać Madzi, że mywaczka spostrzegła z okna wyjście pani Lat-, że jakiś posłaniec widział panią Latter, jak z kum i z drugą panią jechała dorożką, że z tych poak gospodyni, panna Marta, domyśliła się, iż pani tter ucieka, i że, skutkiem tego, w kwadrans po ıszczeniu pensji przez panią Latter, cała kamiea i dwie sąsiednie kamienice dowiedziały się, pani Latter uciekła przed wierzycielami.

W tej chwili Madzi zaczęło się kręcić w głoɜ, opanował ją strach, zbrzydła jej Marta, panna ward, pensja...

Teraz odczuła cierpienia pani Latter i jej nieıamowane pragnienie ucieczki, gdzieś tak dale-

ko, gdzie nie dolatywałyby nawet wieści o tych os-
bach i stosunkach.

XXX.

Rój po odlocie matki.

Tej nocy Madzia wcale nie spała, trapiona zł-
mi przeczuciami co do własnej przyszłości. Co ni
bawem zaczęło się potwierdzać.

Z rana przyszedł do niej, do niej samej, rewir-
wy i począł wypytywać: gdzie wyjechała pani La
ter, o której godzinie, jaki był numer dorożki i cz
z pewnością skierowała się ku dworcowi warszav
sko-wiedeńskiemu? Rewirowy zadawał pytan
w sposób łagodny; niemniej jednak jego pała
i zakręcone wąsy były dla Madzi stanowczym d
wodem, że popełniła zbrodnię, za którą zostan
okuta w kajdany i wrzucona do lochu tak głęboki
go, jak wieża ratuszowa jest wysoka.

Ledwie wyszedł rewirowy, udając, że nie m
zamiaru okuć Madzi w kajdany i wrzucić do po
ziemnych pieczar, aliści ukazał się — rządca dom
Ten znowu zwrócił się do Madzi i znowu zaczął
wypytywać: gdzie wyjechała pani Latter? Czy m
wiła, że ma zamiar powrócić? Czy nie wspomnia
o kwalifikacji do paszportu i o zapłaceniu za komo
ne? Rządca nie miał wprawdzie wąsów, ani pał
sza, ale był zezowaty, co Madzi nasunęło myśl, ż
pewnie ją pociągną do zapłacenia komornego, dzi

czemu z owych 3.000 rubli, które jej zapisała babca, nie zostanie ani jednego grosika.

Jeszcze rządca nie ukończył badań, gdy zjawił się niespokojny—gospodarz domu. Ten również czepił Madzię, lecz nie pytając: gdzie pojechała ni Latter, zaczął odrazu narzekać, że straci część mornego, ponieważ wszystkie meble są podobno łasnością pana Stefana Zgierskiego, z którym mo- być zawikłany proces.

Zdziwiona tem odkryciem, Madzia była pewna, nietylko przepadną jej pieniądze po babci, ale że enasycony gospodarz na zaspokojenie komornego że przyaresztować jej tualetkę, serwetkę i bronwy lichtarz ze szklaną profitką.

W ciągu tych ciężkich godzin wprawdzie niedy przypominała sobie, co powiedział Dębicki, pani Latter w każdej chwili może mieć pieniądze, z wspomnienie to wydawało jej się snem, wobec alnych wąsów rewirowego, krzywych oczu rządc domu i niepokoju właściciela.

„Co tu poradzi biedny Dębicki!“... — myślała, obrażając sobie, że na jej kędzierzawą główkę li się pensja pani Latter, cała kamienica, cały iat...

Lecz około pierwszej po południu zmieniła się tuacja tak dalece, że Madzia z najgłębszej rozpa- wzniosła się do najwyższego optymizmu.

Przedewszystkiem, gdy wręczyła pannie Hord klucze, zostawione jej przez panią Latter, i gdy, otworzeniu biurka w obecności całej pensji, znaiono w szufladzie kilkaset rubli, gospodyni, panna

Marta, wpadła w taką radość, że w pierwszej chwi
podejrzewano ją o zachwianie władz umysłowyc.
Zaczęła skakać, płacząc i wołając:

— Wystarczy na utrzymanie domu!... Będ
obiady!... Przysięgnę, że pani wróci... Ona pewn
pojechała do Częstochowy ofiarować Pannie Na-
świętszej swoje zgryzoty z tym krymina...

— Proszę być cicho!... — zgromiła ją pan
Howard, która, na widok gotówki, uczuła, że j
władza nad pensją posiadała realną podstawę.

Bez względu na upomnienie, panna Marta n
przestawała manifestować swojej uciechy. Dam
klasowe zaczęły wyliczać zalety przełożonej, słu
wyrażały ufność, że nie przepadnie im zapłata, a z
grożone głodem pensjonarki, same nie wiedzą
czego, tarły sobie oczy i rzucały się jedna drugi
w objęcia.

I w smutnym przed chwilą gabinecie zrobi
się tak wesoło, iż nawet Madzia nabrała otuchy i p
myślała, że może nie okują jej w kajdany i nie rzuc
do podziemnych pieczar.

W chwili największego hałasu, cicho jak cie
wsunął się do gabinetu, okrąglutki, pulchniut
i skromnie, choć elegancko, ubrany pan Zgiersk
Jego łysina wydawała się olbrzymią, a czarne oczk
mniejszemi i bystrzejszemi, niż zwykle. Spojrza
naprzód na meble, potem na panienki; potem jeg
czoło wyrażało frasunek, a twarz nadzieję; nares
cie, dostrzegłszy pannę Howard, posunął się do ni
krokiem kontredansowym i, czule ujmując za ręk
rzekł:

— Cóż to za piękne zgromadzenie!... Nie mogę
łmówić sobie przyjemności ucałowania rączki pa-
— dodał delikatnie, jak zefir dotykając ustami od-
ośnej części ciała panny Klary.

— Są pieniądze!... są pieniądze!... — powta-
:ała gospodyni, klaszcząc w ręce.

Przestrach błysnął na obliczu Zgierskiego
w jego świderkowatych oczach. Skombinował bo-
iem, że to jego posądzają o zamiar wspomożenia
oadającej pensji.

— Co znowu!... — przerwał dosyć szorstko.—
o ja mam pięć tysięcy rubli u pani Latter...

— Ale pani zostawiła pieniądze w biurku —
łparła gospodyni.

Teraz fizjognomja Zgierskiego zajaśniała uczu-
em boleści.

— Spodziewałem się tego — rzekł. — Pani
atter jest zbyt szlachetną kobietą...

Umilkł jednak, sądząc, że właściwiej będzie
erwej zbadać, co jest, a dopiero później chwalić
b ganić.

Na znak panny Howard, pensjonarki, panna
arta i Stanisław szybko usunęli się z gabinetu.
zykład ich naśladowały damy klasowe, w sposób
powiadający powadze ich stanowiska.

— Pani raczy mnie zaprezentować tym da-
om — szepnął Zgierski do panny Howard, patrząc
Madzię.

— Pan Zgierski, pani Méline — rzekła uro-
yście panna Klara.

Zgierski okrągłym ruchem podał rękę dojrzałej Francuzce i rzekł:

— Tak wiele słyszałem o pani od pani Latter, że doprawdy...

— Pan Zgierski, panna Brzeska.

Nowy gest ręki, jeszcze okrąglejszy, poparty wykwintnym obrotem nóg i słodkiem spojrzeniem.

— Tak często — mówił Zgierski do Madzi krygując się — tak często słyszałem o pani od pani Latter, że istotnie... Pani zapewne niedawno...

— No, i niech pan sobie wyobrazi, co za awantura!... — przerwała mu panna Howard.

Zgierski otrzeźwiał.

— Niesłychana rzecz — odparł. — Wczoraj właśnie otrzymałem od pani Latter liścik, w którym przypomina mi, ażebym ją odwiedził na Wielkanoc, a dziś dowiaduję się, że moja szanowna korespondentka akurat w tej samej godzinie opuściła Warszawę!... Spodziewam się, że nie na długo — dodał znaczącym tonem i pokolei spojrzał na damy.

— Pani Latter wróci za parę dni — wtrąciła Madzia.

— Tak sądzę — rzekł.

— Kto to wie?...—dorzuciła oschle panna Howard.

— I dlatego powinniśmy być przygotowani na wszelką ewentualność — odpowiedział Zgierski.

Potem odchrząknął i mówił nie bez pewnej trudności.

— Właśnie mam akt, w którym pani Latter zeznała, że wszystkie meble jej mieszkania, sprzęty

kolne, naczynia kuchenne, że wszystko to — na-
ży do mnie... Akt ten przyjąłem w swoim czasie
chętnie i tylko na usilne prośby pani Latter...
iś jednak widzę, że pani Latter, której szczycę się
zyjaźnią, złożyła dowód nietylko szlachetności,
i wysokiego rozumu...

— W ostatnich czasach była bardzo rozdraż-
na — wtrąciła panna Howard.

— Pojmują panie — ciągnął Zgierski — że akt,
óry posiadam, jest ocaleniem pensji. Bo choćby
wet pani Latter zrzekła się pensji, czy nie wróci-
.. miejsce jej może tu zająć panna Malinowska,
wszystko zostanie po dawnemu, jeżeli uratujemy
ble...

Serce Madzi ścisnęło się na myśl, że ledwie
i Latter wyrwała się na krótki odpoczynek, już
wią o niej, jak o osobie zmarłej....

W przedpokoju rozległo się gwałtowne dzwo-
nie, i po chwili wszedł do gabinetu czerwony, za-
szany Mielnicki, a za nim jakiś inny pan.

— Co ja słyszę?... — wołał otyły szlachcic. —
zie pani Latterowa?...

Zgierski podsunął się do niego i, drepcząc, mó-
:

— Prezentuję się panu dobrodziejowi: Stefan
erski, przyjaciel naszej drogiej pani...

— No, jeżeli przyjaciel, to gadaj, czy to praw-
?...

— Że wyjechała?... Niestety, tak...

— Pani Latter wyjechała na kilka dni — wtrą-
Madzia.

— A!... Gadajże — jak, z kim, dokąd?... — p·
tał Mielnicki, chwytając Madzię za ręce.

Stropiony Zgierski zbliżył się tymczasem o
pana, który wszedł za otyłym szlachcicem i rzekł

— Witam mecenasa! Cóż szanownego mec·
nasa sprowadziło tu?... Czy także...

Lecz ponieważ osoba, nazwana mecenase,
prócz serdecznych uścisków dłoni i życzliwy
uśmiechów, nie dała Zgierskiemu żadnych objaśnie,
więc cofnął się do panny Howard.

Tymczasem zachwycona obecnością Mielni·
kiego, Madzia szczegółowo opowiadała mu wyja
pani Latter.

— Ale dlaczego ona tak nagle wyjechała?.
Dlaczego?... I jeszcze Bóg wie dokąd — powtarzł
zdesperowany szlachcic.

— Wyjechała na parę dni odpocząć — m·
wiła Madzia. — Była strasznie rozdrażniona... str·
sznie...

— A!... przepowiadałem to, mówiłem: rzuć o
djabła pensję, osiądź na wsi... Już o tem, że o
bokami robi, pisała do mnie Mania, wiesz: Lewi·
ska — ciągnął szlachcic, patrząc na Madzię. — N
i ja, odebrawszy list, po nią tu przyjechałem, po p·
nią Latter... Przecież ja prawie jej krewny, nawe
całkiem krewny...

— Były tu i poważne.. bardzo poważne kł·
poty finansowe — odezwał się Zgierski, słodziut
uśmiechając się i zacierając ręce.

— No, co tam finanse! — wybuchnął Mielnic

- Tylu jeszcze Latterowa ma przyjaciół, że o finan-
e troszczyć się nie potrzebuje.

— Ja pierwszy...—wtrącił Zgierski z ukłonem.

Teraz wysunęła się panna Howard.

— Mojem zdaniem — rzekła właściwym jej ontraltem — kłopoty pani Latter są ciężkie, ale ie finansowe, lecz moralne...

— O?... — zdziwił się Mielnicki.—A gadajże!...

— Wyobraźcie sobie panowie — ciągnęła pan- a Howard — kobietę samodzielną, kobietę wyższą, obietę, która pierwsza w naszym kraju podniosła ztandar emancypacji...

Mielnicki, coraz więcej zdziwiony, patrzył na ą to prawem, to lewem okiem, jak indyk.

— Ta kobieta w ciągu kilkunastu lat wychowa- . dzieci, stargała się w pracy, topiła, niewiadomo dzie, swoje wielkie dochody. I w chwili, kiedy już ıalazła się u szczytu posłannictwa, kiedy idee, przez ą wyznawane, ogarnęły szerokie koła i wytworzy- nowy zastęp nieulęknionych apostołek...

Mielnicki wciąż patrzył, rozszerzając już nie- lko oczy, ale nawet palce u rąk.

— W takiej chwili, do cichego ogniska pracy kiej kobiety, wpada nagle, jak duch zniszczenia, j — drugi mąż...

— Mąż?... — powtórzył szlachcic.

— Tak — mówiła, podnosząc głos, panna Kla- .. — Drugi mąż, który rzucił ją przed kilkunastoma ty, prawdopodobnie przez cały ten czas wyzyski- ał ją, a co najgorsza —za jakąś brudną sprawę sie- ział w więzieniu... I czy podobna dziwić się, że

kobieta, zagrożona w taki sposób, opuściła dom, dzieci, obowiązek?... Pytam was, panowie: cz dziwicie się jej ucieczce?...

Podczas tej przemowy, Madzia cofnęła się o framugi okna, Mielnicki zsiniał, a nawet na twarz Zgierskiego widać było wzruszenie. Bynajmniej n z tego powodu, że wrócił drugi mąż pani Latter, a że on, Zgierski, nie wiedział o tem.

XXXI.

Pan Zgierski zadowolony.

Nagle stała się rzecz nieoczekiwana. Stojąc niedaleko pieca jegomość, którego Zgierski nazywa mecenasem, odezwał się:

— Za pozwoleniem!... Teraz ja wtrącę słówk ponieważ chodzi o sprawę, którą mam w rękach

Obecni odwrócili się.

— Z tego, co mówiła szanowna pani — ciągną adwokat, kiwając głową w stronę panny Howard- jedno jest faktem: że mąż pani Latter w tych dniac był w Warszawie. Ale nie jest prawdą, ażeby kiedy kolwiek wyzyskiwał panią Latter, albo — ażeby sie dział w więzieniu. Pan Eugenjusz Arnold Latte był majorem wojsk północno - amerykańskich, bie rze obecnie emeryturę, podróżuje po Europie jak ajent fabryki machin i, o ile mogę sądzić, jest wielc przyzwoitym człowiekiem.

— W każdym razie jest mąż... Gdzie o

st?... — zawołał Mielnicki, chwytając zkolei adwo-
ata za ręce. — Gadaj, poco on tu przyjechał?...

Adwokat skrzywił się, lecz, odprowadziwszy ielnickiego w głąb pokoju, zaczął coś szeptać.

— Jak?... — spytał szlachcic. — Aha! No?..

Adwokat znowu szeptał.

— Ależ niech podpisze!... Jednej chwili niech odpisze...

Nowa serja szeptów.

— E, co tam obrażona!... — odparł Mielnicki.— ogniewa się, a potem podpisze.

I znowu szepty, po których nastąpiła konklu-a Mielnickiego:

— Tak!... a pięć tysięcy niech bierze, bo to ę przyda dzieciom...

— Więc mogę liczyć na poparcie?... — spytał lwokat.

— Rozumie się — odparł Mielnicki. — Bylem lko odszukał Latterową, zaraz wyperswaduję gry-asy... Przecie to dla obojga szczęście, łaska Bo-a!... Co trzymać człowieka, który nie chce?... Le-iej wziąć takiego, który chce...

Teraz zaczęły się szeptania w drugim kącie. anna Howard mówiła cicho do Zgierskiego:

— A co, nie miałam prawa twierdzić, że Latter st nikczemnikiem? Nawet ten jegomość, który oni go, nie śmie wypowiedzieć prawdy głośno... am jest coś tajemniczego... Patrz pan, jak wygląda n gruby szlachcic...

Tymczasem Zgierski wpatrywał się w szlach-ca, jak w kochankę. W czarnych jego oczkach wi-

dać było żal za panią Latter i uwielbienie dla Mie
nickiego i chęć dowiedzenia się o wszystkiem i nie
ugięty zamiar skorzystania ze wszystkiego.

Pochylił się ku pannie Howard i szepnął z słodkim uśmiechem:

— Na miłość boską, czy pani nie widzi, ż w tej chwili rozgrywa się dramat?... Pan Latter oczy wiście żąda rozwodu, ten pan, który rozmawi z Mielnickim, to adwokat przy konsystorzu, a star Mielnicki oddawna chce się ożenić z panią Latter... Cała awantura, na której nasza przyjaciółka zrol interes!...

— Czyja przyjaciółka?... kto... — spytała za chmurzona panna Howard.

— No, pani Latter.

— Nie jestem przyjaciółką kobiety, która ta dalece zapomina o swej godności, że gotowa trzec raz wyjść zamąż — odparła.

— Ale ja jestem jej przyjacielem — rzekł pół głosem Zgierski — a kłaniając się i uśmiechając, ta necznym krokiem zbliżył się do Mielnickiego.

— Naturalnie — odezwał się niepytany — ż wszystko pójdzie jak najlepiej. Pani Latter wybor nie zrobiła, wyjeżdżając na kilka dni... Uspokoi si i podpisze... podpisze...

I triumfującym wzrokiem spojrzał na konsy storskiego adwokata, który nie zdawał się być za chwycony jego domyślnością.

— Co to za jeden ten stary? — spytał szlach cic adwokata, wskazując okiem na Zgierskiego. — Czego on miesza się do nas?

— To tak z przyzwyczajenia — mruknął ad-
okat.

Madzia, wtulona we framugę, patrzyła wylęk-
ionemi oczyma na sceny, rozgrywające się przed
ą. Wiele zdań słyszała, więcej odgadła i — doszła
ɔ wniosku, że pani Latter już nie ma poco wracać
ı pensję. Przeczuwała, pomimo braku doświadcze-
a, że w tym gabinecie ładuje się nabój plotek,
:óre wnet wybuchną, oblecą miasto i pogrzebią re-
ıtację przełożonej.

„Jezus, Marja! — myślała — co za szczęście,
ꞔ ten gruby szlachcic kocha się w pani Latter...
ama przecie słyszałam — i ja i Helenka, jak się
świadczał... Inaczej nie miałaby biedaczka gdzie
łowy schronić...“.

Nowe dzwonienie w przedpokoju i nowa sce-
a; do gabinetu weszła panna Malinowska z niewy-
ɔkim jegomościem, który miał szpakowatą brodę
nieco krzywe nogi. Zgierski podbiegł do nich
oznakami najwyższej czułości, lecz ci przywitali
ɔ chłodno.

Panna Malinowska skłoniła się obecnym i, wi-
ɔcznie coś zmiarkowawszy, zwróciła się do panny
oward, pytając:

— Jakże na pensji? Spodziewam się, że
'szystko w porządku.

Panna Klara osłupiała.

— Pani chyba nie wie — odparła — o wyjeź-
zie pani Latter?

— Owszem, wiem i dlatego zapytuję panią
pensję. Wczoraj otrzymałam list od pani Latter,

w którym prosi, ażebym ją chwilowo zastąpiła... Pi
niądze na wydatki bieżące są w biurku, a zaś n
inne potrzeby...

Tu panna Malinowska spojrzała na Zgierskieg
— Zaś na inne potrzeby — ciągnęła — s
u mnie i do mnie proszę się zgłaszać.

Jakby na poparcie tych zapewnień, jegomoś
na krzywych nogach ukłonił się biustowi Sokrates

— Ależ taki nagły wyjazd!... — wtrąciła par
na Howard, ochłonąwszy ze zdumienia.

— O ile domyślam się — przerwał właścici
krzywych nóg — pani Latter wyjechała w sprawi
majątkowej. A że zawiadomiono ją niemal w ostat
niej godzinie, więc nie było czasu do stracenia
I zdaje się, że tylko dzięki pośpiechowi będzie mo
gła coś ocalić.

— Może pójdziemy na górę do panienek, pann
Howard — odezwała się panna Malinowska. — Ach
i pani tu jest?... — zwróciła się do Madzi. — O, zmi
zerniała mi pani, trzeba przez święta odpocząć...

Krzywonogi towarzysz panny Malinowskie
ukłonił się Madzi i patrzył na nią bardzo życzliwie.

— Plenipotent Solskiego, pan Mydełko...—szep
nął Zgierski do panny Howard.

Już panna Malinowska zwróciła się ku drzwiom
gdy zastąpił jej drogę stary szlachcic.

— Przepraszam panią — rzekł — jestem Miel
nicki, wuj jednej z tutejszych uczennic i przyjaciel...
prawie powinowaty pani Latterowej. Dziś poto
właśnie przyjechałem, ażeby gwałtem zabrać Latte

ɔwą na wieś, no... ale nie zastałem jej... Tymcza-
ɛm pani wspomina o liście od niej...

— Tak — odparła panna Malinowska.

— Czy nie pisała do pani, dokąd jedzie?... —
ytał szlachcic wzruszonym głosem.

— O tem nie wiem. Otrzymałam kartkę około
ziesiątej wieczorem, przez posłańca z banhofu kolei
eterbsburskiej.

— Aha!... — krzyknął szlachcic, strzelając
palców.

— Mówiła pani — rzekła gniewnie panna Ho-
ard do Madzi — że pojechała na dworzec wie-
eński?....

— Widziałam... — wtrąciła zarumieniona Ma-
cia.

— Ona do mnie pojechała... do mnie, na wieś!...
wykrzykiwał Mielnicki. — W tej chwili jadę na
blej, a za parę godzin zobaczę się z panią Latter...
idocznie minęliśmy się w drodze...

Mówiąc to głosem przerywanym z radości, sta-
szlachcic biegał po gabinecie. Ręce mu drżały,
twarz wystąpiły sine rumieńce.

— Za parę godzin — powtarzał — za parę go-
in...

— Polecam szanownemu panu mój interes —
rącił adwokat przy konsystorzu.

— Ależ naturalnie! — odparł Mielnicki. — To
jważniejsza sprawa... Daj-no mi acan-dobrodziej
ój adres...

Adwokat konsystorski z szybkością magika
dał kilka swoich adresów.

— Niechże pan będzie łaskaw — wtrąciła panna Malinowska—prosić panią Latter, ażeby była zupełnie spokojna. Wszystko jest dobrze i będzie dobrze... Niech się nie spieszy z powrotem i odpocznie na wsi.

— Bóg ci zapłać, kochana! — odparł szlachcic gwałtownie ściskając ręce jej i jej towarzyszowi z krzywemi nogami, który kłaniał się potakująco.

— Tak, tak!... — dodał, przysuwając się, Zgierski. — Niech pani Latter odpoczywa jak najdłużej. Jej przyjaciele czuwają... Niech pan będzie łaskaw oświadczyć, że powiedział to Zgierski, Stefan Zgierski... Przyjaciele czuwają!...

Zwracając się zaś do adwokata konsystorskiego, dodał:

— A po powrocie, upewniam pana, że wiadoma kwestja załatwi się pomyślnie... Użyję bowiem całego wpływu...

...ażeby panią Latter skłonić do zgodzenia się na rozwód — mówił już do Madzi, ponieważ Mielnicki wybiegł z gabinetu, zaś adwokat żegnał się z plenipotentem Solskiego.

Panna Malinowska, jej towarzysz, a za nimi Zgierski wyszli na korytarz.

— Więc ja teraz idę do gospodarza, w imieniu pani Latter — mówił jegomość z krzywemi nogami.

— Naturalnie — odparła panna Malinowska — trzeba pospychać te długi przed jej powrotem.

— Tylko nie mój!... — wtrącił Zgierski. — Ja szanownej pani oddam akt, na mocy którego inwentarz pensji należy do mnie, a pani postąpi...

— Ach, proszę pana — przerwała niecierpliwie
anna Malinowska — pańskie pięć tysięcy w każdym
izie miały być spłacone najpierwej...

— Ależ, ja tę sumkę zostawiam pani... czy pani
atter... czy komu panie każą — mówił zaaferowa-
y Zgierski.

Panna Malinowska pożegnała plenipotenta Sol-
:ich i w towarzystwie panny Howard poszła na
rugie piętro. Zgierski biegł do miasta, lecz zatrzy-
ał się na schodach, słysząc, że plenipotent rozma-
ia z Madzią.

— Pan Dębicki wczoraj zawiadomił mnie o wy-
dku — mówił jegomość z krzywemi nogami, ści-
ając Madzię za rękę. — Niech więc pani będzie
okojna i... niech pani także jedzie na wieś na świę-
. Nie jestem lekarzem i pierwszy raz mam przy-
mność widzieć panią, ale uważam, że i pani po-
inna odpocząć... — Tu — dodał ciszej — będzie
szcze tyle rozmaitych starć, że lepiej chwilowo
unąć się... Czy pani słabo?...

— Nie, proszę pana — odpowiedziała Madzia,
edziutka jak papier.

Zgierski nie mógł wytrzymać, więc wrócił ze
hodów i chciał Madzię odprowadzić na górę, jako
wny przyjaciel pani Latter i całej pensji. Ale
adzia podziękowała mu i poszła, trzymając się po-
czy. Plenipotent Solskich także gdzieś zniknął,
ostał tylko pan Zgierski sam, rozmyślając, że po-
nien zbliżyć się do Madzi.

„Ten aniołek ma, widzę, stosunki z Solskim?...
przytem milutka... a!... — mówił do siebie Zgier-

ski. — Tylko trzeba ją ugłaskać, bo to jeszcze dzik
sarenka... No, a później może i tego“...

I biegł do miasta, oblizując się jużto na wspo
mnienie Madzi, już na myśl, że posiada wiązkę prze
pysznych wiadomości. Z takiemi nowinami możn
zaprosić się nawet do prezesa na obiad.

XXXII.

Chaos.

Madzia ledwie weszła na drugie piętro: biło j
serce, ćmiło się w oczach, nogi drżały. Spostrzegł
że w jednej z sal wykładowych zgromadziły się po
zostałe na święta pensjonarki i damy klasowe, ro
zumiała, że i jej wypada tam iść, ale już jej sił bra
kło. Więc skręciła do sypialni, z zamiarem położe
nia się choć na chwilę.

Nagle — doznała wrażenia, jakby ją kto z
snu zbudził: w sypialni zobaczyła swoją wydalon
koleżankę, pannę Joannę, która pochwyciła ją w ob
jęcia.

— A widzisz, Madziu — rzekła — nie mów
łam, że jej Pan Bóg nie przebaczy mojej kompro
mitacji?...

I uśmiechnęła się, rumiana, elegancko ubran
szczerząc białe ząbki.

— Wracasz do nas? — spytała zdziwiona Ma
dzia.

— Czy ty masz źle w głowie?... — roześmiał

ę panna Joanna. — Ja miałabym napowrót zostać amą klasową?... W dzień męczyć się, słuchając kcyj, które mnie jeszcze na pensji nudziły, a wieźór belfrować dziewczętom i opowiadać się za każ- :m wyjściem na spacer?...

— Więc co będziesz robiła?..

— Będę, jak dziś, używała świata!... Cóżto, stem tak brzydka, czy głupia, ażeby zabijać się ıbotą?...

— Joasiu! — zgromiła ją Madzia.

Panna Joanna, wciąż śmiejąc się, usiadła na :dnem z nieposłanych łóżek.

— Oj, ty... ty, dzieciaku!—mówiła do Madzi.— 'iesz przynajmniej, co się dzieje z naszemi uczenıcami? Jedne odrazu zapominają o lekcjach i, je- :li która jest bogata, albo ładna, używa życia. Inne ı zą się dalej, powtarzają lekcje, pamiętają, a wszystl poto, ażeby, jak my, zabijać czas i zawracać ɔwy dorastającym dziewczętom... Ależ człowiek : poto żyje!

— Ja cię nie rozumiem, Joasiu — rzekła Ma- ia, naprawdę nie pojmując, o co chodzi jej koleżnce.

Panna Joanna, wzruszając ramionami i rysując rasolką kółka na podłodze, mówiła:

— Żyjesz tu, jak w klasztorze, albo w więzieni, więc nie wiesz, co się dzieje na świecie. A że n wiesz, więc kwasisz się robotą, z której nikomu nie przyjdzie. Tymczasem na świecie jest tak: ż pracować, słuchać innych, dogadzać wszystkim, szą tylko głupi mężczyźni i brzydkie kobiety. Ale

mądry mężczyzna wyszukuje sobie ładną kobie
i bawią się... Ładnie mieszkają, smacznie jedzą i p
ją, elegancko ubierają się, wieczorem idą na bal, cz
do teatru, a na lato wyjeżdżają za granicę, w gór
albo nad morze... Ach, gdybyś wiedziała, jak inacz
wygląda świat, kiedy się nie ma kłopotów, i jaki we
selszy, jaki lepszy jest człowiek, kiedy się nie ma
twi...

Madzia zarumieniła się i, spuściwszy oczy, o
parła:

— Nie masz chyba powodu cieszyć się ze sw
jej karjery...

— Ja?... — przerwała zdziwiona Joasia. — C
mi to złego?... Jestem lektorką u jednej staruszk
mam trzysta rubli rocznie, wszystkie wygody, mn
stwo prezentów...

— Więc pracujesz.

— I... niebardzo!

— A... ale co mówili o tobie...

— O mnie?... Aha, już wiem!... — zawoła
Joasia, parskając śmiechem. — Niechby mi się ka
da plotka tak opłaciła...

Chciała wziąć Madzię za rękę, ale ta cofnę
się i rzekła:

— Muszę iść na salę...

Panna Joanna stała się nagle poważną. Rumi
niec okrył jej twarz, podniosła się z łóżka i, opier
jąc się na parasolce, odpowiedziała:

— Oj, ty, ty... łabędziątko!... Na ciebie nie r
bią plotek i co masz?... Spojrzyj na swoją sukienk
A co robisz komu dobrego?... Zakuwasz głow

ziewczętom. Ja zaś za plotkę, z której dziś wszyscy ę śmieją, dostałam wyborne miejsce, dokuczyłam :arej Latterowej i pomogłam temu biednemu Ka-owi wyjechać zagranicę. Żal mi chłopca, ale miło ıi, że moje poświęcenie wyszło mu na dobre...

— Tak, jak moja krzywda — zakończyła twar-ym głosem — dała mi możność przyjść tu i zoba-:yć bankructwo surowej pani Latter... Bo podobno :ytują was?...

Madzia wybiegła na korytarz i, nie oglądając :ę, wpadła do gościnnego saloniku. Tam oparła się ścianę i zaczęła rzewnie płakać.

W tej pozycji zastała ją panna Malinowska. opatrzyła na nią, marszcząc brwi, i rzekła:

— O, moja pani, dość tego... Musisz jechać na :więta i odpocząć, co się zowie. Cóż to za dziwna ensja!... Jedne nauczycielki robią awantury, a dru-e chorują na nerwy...

— Ja panią przepraszam... — odezwała się Ma-:ia, hamując łzy.

— Droga panno Magdaleno — odparła Mali-owska — ja przecież nie mam do ciebie pretensji. e wiem i od Howardówny i pośrednio od profeso- Dębickiego, żeś... zanadto żywo brała do serca szystko, co się tu działo... Każdy wyzyskiwał two-j uczucie, każdy odstępował ci część swoich kłopo-w, a rezultat jest ten, że wyglądasz, jak z krzyża jęta...

Dziś o szóstej zrobimy rachunek, a jutro poje-iesz do rodziców. Powrócisz za dziesięć dni, po viętach, a wtedy poznamy się bliżej. No... i nie

dziw się, jeżeli nie zastaniesz tu połowy swoich ko
leżanek... Z takim personelem możnaby drugi ra
zbankrutować...

Pocałowała Madzię w głowę i wyszła. Widocz
nie spotkała kogoś, bo przez zamknięte drzwi sły
chać było na korytarzu rozmowę, którą zakończył
panna Howard, wołając dźwięcznym głosem:

— Na tej pensji, którą pani będziesz prowadzi
utrzymają się tylko pokojówki, ale żadna kobieta sa
modzielna i ceniąca swoją godność!...

Po obiedzie, który przyniesiono z restaurac
pani Méline wyprowadziła nieliczne grono pensjo
narek na spacer, a na pensji zaczął się niby sądn
dzień.

Cały korytarz i schody pierwszego piętra za
roiły się ludźmi. Widać było przestraszonego pie
karza z książką rachunkową, — czerwonego rzeźn
ka, który wywijał pięściami i groził, że zgubi pani
Latter, nareszcie — handlarza mydła i nafty, któr
opowiadał, iż jego żona dawno już twierdziła, ż
pensja musi zbankrutować. Byli to najhałaśliw
wierzyciele, choć razem należało im się około sześ
dziesięciu rubli.

Prócz nich, wałęsali się po korytarzach jacy
Żydzi, wypytujący: czy będzie licytacja? Przycho
dziły dawne damy klasowe, dowiedzieć się: z ki
pani Latter uciekła? i — nowe damy, które chciał
rozmówić się z panną Malinowską. Stara faktork
sług zapewniała pokojówki, że im da wyborną słu
bę; panna Marta, załamując ręce, wypytywała s
wszystkich: czy panna Malinowska zostawi ją n

›sadzie gospodyni, a lokaj pani Latter, Stanisław, ıodził jak obłąkany, z trzepaczką i dywanikiem rękach.

O czwartej przybiegła z miasta panna Howard posłańcami. Kazała wynosić rzeczy ze swego po›iku, nie przywitała się z Madzią, lecz zato miała owę do służby, którą zawiadomiła, że już nie bę:ie damą klasową, tylko literatką.

— Napiszę ja o tem wszystkiem wyczerpujący tykuł — wołała rozgniewana. — Teraz dopiero zoczy Europa, jakie mamy pensje i przełożone!...

Wkońcu oświadczyła, że wyprowadza się do koi umeblowanych na Nowym Świecie, gdzie mo- odwiedzać ją wszystkie kobiety samodzielne wszyscy ci, którzy współczują sprawie wyzwoleı płci żeńskiej.

Dopiero powrót z miasta panny Malinowskiej, towarzystwie jegomości na krzywych nogach, pokoił zebrany tłum. Faktorzy znikli, kandydatki posady dam klasowych zostały odprawione z nicem, zaś piekarz, rzeźnik i handlarz mydła tudzież fty, otrzymali pieniądze. Żegnając się z nową zełożoną, byli bardzo zadowoleni i pokorni i natarywie ofiarowywali swoje usługi, których nie przyo.

Przybiegł także i gospodarz domu i wykwintne- słowy zapewniał jegomościa z felerem w nogach, zawsze był spokojny o komorne, choć zalegało. dowód zaś swoich pojednawczych usposobień, iecał wylepić piece na swój koszt i naprawić łankę do spółki. Ale, gdy mu zaproponowano, aże-

by odnowił mieszkanie, podniósł ręce do nieb
i przysiągł, że taki wydatek naraziłby go na pójśc
z torbami. Również zapewniał, że kamienice w ty
czasach nie przynoszą żadnego dochodu, tylko str
ty, i że on swoją kamienicę mógłby darować, gdyb
znalazł się odważny i lekkomyślny człowiek, któr
by ją przyjął.

Gdy pensjonarki wróciły ze spaceru, na pen
było już cicho. Wówczas panna Malinowska w
zwała Madzię do kancelarji i wypłaciła jej zaleg
pensję trzymiesięczną, w kwocie czterdziestu pięc
rubli.

Przy podpisywaniu przez Madzię kwitu, pa
na Malinowska, kiwając głową, rzekła:

— Po świętach zaproponuję pani trochę in
warunki, a tymczasem przeprowadź się do poko
który zajmowała panna Howard.

— Panna Howard już nie wróci? — spyta
Madzia.

— Ona jeszcze pani Latter mówiła, że usu
się z pensji na Wielkanoc.

— Ale pani Latter wróci...? — szepnęła M
dzia, lękliwie patrząc na nową przełożoną.

Panna Malinowska podniosła brwi.

— Alboż to ode mnie zależy?... — odparła.
Wyjazd był niepotrzebny... bardzo...

Będę szczerze zadowolona, jeżeli skutki
tych zajść nie stracimy połowy uczennic...

Madzia zrozumiała, że los pani Latter jest j
zdecydowany.

Późnym wieczorem przeprowadzono Mad

o pokoiku panny Howard. Nie zapalając lampy, siadła w oknie, skąd rozlegał się szeroki widok na 'ragę i... marzyła.

Chciała myśleć o tem, że jutro wyjeżdża do omu, a pojutrze zobaczy rodziców i Zochnę. Chcia- cieszyć się, ale — nie mogła; bo świeże wrażenia panowały jej duszę, bo wszystko w tem mieszka- u przypominało panią Latter.

Pod pokoikiem, w którym obecnie siedzi, jest pialnia pani Latter. Gdzie ona teraz?... Tam, dzieś, za rojem płomyków na Pradze, nawet dalej, za tym paskiem horyzontu, gdzie światła ziem- ie stykają się z gwiazdami nieba. Czy podobna, eby pani Latter nie było na dole, w jej pokoju, którym tyle lat przemieszkała?... Słychać jakiś mer... Może wróciła?... Nie, to mysz gryzie pod dłogą.

— Ach, jak to męczy — szepnęła Madzia — yśleć wciąż o jednem i tem samem!...

I postanowiła myśleć o czem innem, choćby przeszłości. Rok temu była jeszcze dzieckiem, gdy jej mówiono, że każdy człowiek powinien „za- nawiać się“ nad sobą i nad tem, co go otacza, zcze nie rozumiała, co to znaczy: zastanawiać ?

Ale od pół roku poczęła zastanawiać się nad ożeniem pani Latter, nad Helenką, nad Adą, pa- n Kazimierzem, panną Howard, Joasią... Z po- ątku bardzo ją trwożyło zajmowanie się obcymi źmi i ich sprawami; ale później przywykła do pracy, a nawet była z niej dumną.

Bo przecież wszyscy jej tłumaczyli, że czło wiek, który nie zastanawia się, jest, jak liść, igraszk wypadków. A dopiero ten, kto rozmyśla nad sob i światem, ten potrafi kierować swoją łodzią, unik przygód i dopływa, gdzie sobie zamierzył.

Tymczasem wszystko fałsz; bo przecież pa Latter umiała myśleć (jeszcze jak!...), kierowała so bą i — skończyła na bankructwie... Porwała ją jaka cicha, dla nikogo niewidzialna burza i strącił w przepaść, pomimo wielkiego rozumu i mnóstw przyjaciół.

Co to za okropna rzecz być mądrą, zastana wiać się i nareszcie, po kilkunastu latach trudów uciekać z własnego domu!... Naco zdał się rozu i praca, jeżeli człowieka ze wszystkich stron otacza ją potężne i tajemnicze siły, które w jednej chwi mogą obalić dzieło całego życia?

— Boże, Boże, jak mnie to męczy!... poco j o tem myślę?... — szepnęła Madzia.

Przymknęła oczy i całą siłą starała się zwró cić uwagę w inną stronę. Przypomniała sobie Joa się.

„Ot naprzykład Joasia — mówiła — śmieje s z pracy i nigdy nie zastanawia się nad sobą. Życ jej jest dziwaczne, ludzie ją ganią i — cóż z tego? Pani Latter uciekła zrozpaczona, a Joasia triumf je i jest wesoła... Więc poco być przyzwoitą, mora ną, rozumną, jeżeli w świecie dobrze jest tylko ist tom lekkomyślnym?...“

W tej chwili przyszło jej na myśl jedn wspomnienie z dzieciństwa. Raz, wobec niej ścinar

ɔpolę. Drzewo z trzaskiem zwaliło się w kałużę, 'yrzucając deszcz błotnistych kropli, które na słońı zajaśniały barwami tęczy. Potem znowu spadły rozpłynęły się po ziemi, ale drzewo, choć ścięte, ɔstało.

Czy pani Latter nie jest powalonem drzewem, Joasia, ze swoją wesołością, czy nie jest ową kroą, która na chwilę wzbiła się i zgóry patrzy na żącego olbrzyma? Ale co będzie później?...

— Czy ja się już nigdy nie uwolnię od pani atter?... — rzekła do siebie zrozpaczona Madzia.— rzecież to można oszaleć!...

I w duszy jej zaczęła się dziwna walka. Zmęcona wyobraźnia chciała za wszelką cenę zaponieć o pani Latter, a serce mówiło, że to wstyd grzech zapominać o człowieku, ledwie od dwudzieu czterech godzin nieobecnym. Jeszcze wczoraj ɔchaliśmy go i podziwiali, a dziś nawet pamięć nim tak nam cięży, że chcemy się jej pozbyć.

„O, ja niewdzięczna!... — myślała Madzia. — potępiać tu obcych, że korzystają z nieszczęścia, edy ja uciekam przed wspomnieniami o niej, ja, órej ona tak ufała, lubiła, zrobiła mnie damą klawą“...

Zapaliła lampę i, w przewidywaniu jutrzejszej dróży, zaczęła porządkować swój kufereczek. Nieiele jej to czasu zabrało, choć po kilka razy składła i wyjmowała te same rzeczy, aby je znowu ożyć. Ale ciągłe bieganie od stolika do kuferka, ągłe pochylanie się i przyklękanie, nadało inny

kierunek jej myślom. Teraz dziwiła się niedawne mu niepokojowi i mówiła:

„Czego ja się martwię panią Latter?... Że pen sji mieć nie będzie?... Ależ ona do tego wzdychał od pół roku! W tej chwili zapewne jest w dom Mielnickiego i nawet może ma doskonały humo dowiedziawszy się, że długi są spłacone i że wszyst ko będzie dobrze. A że jeszcze mąż chce od niej roz wodu, więc z pewnością wyjdzie za Mielnickieg i znowu zostanie wielką panią... Może nawet bę dzie wstydzić się tego, że miała kiedyś pensję!“...

Madzia położyła się spać spokojniejsza. A po nieważ, myśląc o wyjeździe do domu, niecierpliwił się, że jeszcze tyle godzin musi czekać, więc znow przypomniała sobie panią Latter.

Zamknąwszy oczy, widziała wszystkie osoby które odegrały jakąś rolę w ostatnich wypadkac Zdawało jej się, że patrzy na operę, w której wy stępują jej bliscy znajomi, ubrani w piękne kostju my teatralne.

Oto pani Latter w amarantowej sukni, z bry lantami w kruczych włosach. „Ach, jak jej do twa rzy!“... — myśli Madzia. A oto Helenka w sukı koloru wody morskiej, nakrapianej złotemi i srebı nemi blaszkami... A oto pan Kazimierz w białyı atłasowym kostjumie, jak Raul z Hugonotów“.

„Zaraz!... — myśli Madzia. — Jest sopraı kontralt i tenor; trzeba im dodać basa...

I wnet ukazuje się bas — gruby Mielnick w czarnym, nieco poplamionym surducie.

„Jakie to zabawne!“ — myśli Madzia, wpatrı

c się w swoje figury, stojące rzędem, jak na sce-
ie, z podniesionemi rękoma.

„Amarantowy, zielonawy, biały kostjum...
ch, jak im ładnie!“...

Nagle stojący w jednym rzędzie zaczynają się
ozpływać. Znikła pani Latter, Hela, pan Kazimierz
Mielnicki; przez chwilę robi się czarno, a po chwili
a tem tle zarysowuje się spokojna fizjognomja pan-
y Malinowskiej i poza nią widać szary tłum: wy-
knionego piekarza z rachunkiem, czerwonego rzeź-
ika, który wywija pięściami, Stanisława z trze-
aczką i dywanikiem, pannę Martę, która załamuje
ęce...

Teraz kolejno, w coraz prędszem tempie, zmie-
iają się w sennych oczach Madzi dwa obrazy. To
idać panią Later w amarantowej sukni, Helenkę
zielonawej, pana Kazimierza w białym atłasowym
ostjumie, jak z podniesionemi rękoma coś mówią,
zy śpiewają. To znowu ich grupa znika, a na jej
iejscu pokazuje się — panna Malinowska w szarej
ıkience, piekarz z rachunkiem, Stanisław z trze-
aczką... Raz — dwa!... raz — dwa!... coraz szybciej
astępuje jedno po drugiem, aż wreszcie wszystko
ę rozpływa.

— Co za niedorzeczności!... — szepce Madzia,
śmiechając się. — Ja już nigdy nie będę miała ro-
umu — kończy i zasypia.

Zasypia, cicho dysząc, z uśmiechem na rozchy-
nych ustach, z rękoma złożonemi na piersi, i ani
marzy się jej, że, o kilkanaście mil stąd, śpi ktoś
ny z twarzą zwróconą do nieba, z rękoma zaciśnię-
mi i martwemi oczyma.

XXXIII.

Człowiek, który ucieka przed samym sobą.

Kiedy Madzia, pożegnawszy przełożoną, wysiadła na Nowym Świecie, dorożkarz odwiózł pani Latter na dworzec kolei warszawsko - wiedeńskie

Zatrzymał konie przed głównem wejścien lecz pasażerka nie opuszczała dorożki. Obejrzał si i spostrzegł, że i pani Latter patrzy na niego ze zdzi wieniem. Wreszcie, naglony przez stójkowego, aże by odjeżdżał, dorożkarz wychylił się z kozła i rzekł

— To już banhof!

— Aha! — odparła pani Latter i wysiadła, za pominając o torbie i o zapłaceniu za kurs. Szczę ściem, nadbiegający posługacz zdjął torbę, a doroż karz upomniał się o zapłatę.

Pani Latter dała mu czterdzieści groszy; lecz gdy podniesionym głosem powiedział, że to za mał dołożyła rubla.

Potem weszła na kamienne schody dworc i. patrząc na plac, zadawała sobie w duchu pytania

„Co ja tu robię?... Skąd ja się tu wzięłam?“...

I przyszło jej na myśl, że musiała chyba za snąć w dorożce, ponieważ ten czas, który upłyną od pożegnania się z Madzią, był dla niej stracony

Z rozmyślań obudził ją posługacz kolejowy pytając:

— Do której klasy mam odnieść torbę?

— Naturalnie, że do pierwszej — odpowiedzia ła pani Latter. W tej chwili bowiem przywidział

ę jej, że odprowadza Helenkę, wyjeżdżającą zagra-
cę z Solskimi. Ale zaraz przypomniała sobie, że
elenka oddawna jest zagranicą, i że to ona sama
ziś wyjeżdża, niewiadomo dokąd.

Sala pierwszej klasy, już oświetlona, była pu-
a. Gdy wyszedł posługacz, panią Latter ogarnęła
woga: znowu bowiem ściany zaczęły wyginać się
jej oczach, podłoga chwiała się pod nogami, a ją
mą otoczył tłum widziadeł... Była pomiędzy niemi
elenka z prześlicznym bukietem od Solskiego, Ka-
o obok Ady Solskiej, zawinięta w futro ciotka Sol-
ich, piękny pan Romanowicz, słowem — ci wszy-
y, którzy w zimie odprowadzali Helenkę.

Im więcej poznawała osób, tem mocniejszy
rach ją ogarniał. Zdawało jej się, że lada chwila
ejdzie tu cuchnący Żyd, Fiszman, który zacznie
owiadać zebranym, że pan Kazimierz Norski wy-
awia weksle, poręczane przez jego matkę, panią
itter.

Ściany i podłoga sali chwiały się coraz gwał-
wniej, i pani Latter znowu uczuła niepokonaną
ęć ucieczki. Uciekać!... uciekać gdzieś, jak naj-
lej od tych miejsc i od tych ludzi... Jechać!... je-
ać jak najprędzej, gdyż sam ruch mechaniczny,
rkot kół, zmiana widoków — uspokajały jej po-
arpaną duszę.

Wybiegła z sali na korytarz i, spotkawszy
oźnego, spytała: kiedy odchodzi pociąg?

— Dziewięć dwadzieścia — odparł woźny.

— Dlaczego tak późno?... — zawołała pani
tter i poszła w głąb korytarza, czując, że gotowa

rzucić się na woźnego i z płaczem pytać go: dlacze go tak późno odchodzi pociąg?

„Dwie godziny czekać!... — myślała z rozpa czą. — Przecież ja tu umrę“...

Wtem machinalnie padł jej wzrok na wielk arkusz, przylepiony do ściany, z napisem: Droga że lazna warszawsko - petersburska.

Pani Latter oprzytomniała.

„Droga petersburska... — mówiła do siebie. — Małkinia... Czyżew... Ależ tam mieszka Mielnicki!... Poco ja tu przyjechałam?... To tam trzeba jechać do niego... Tam moje ocalenie, zdrowie, spokój, u te go jedynego człowieka, któremu ufać mogę...

I z fonograficzną dokładnością przypomniał się jej słowa starego szlachcica:

„Pluń na pensję!... Nie zechcesz być moją że ną, możesz być jednak panią domu i gospodarstw które potrzebuje kobiecej ręki... To, co powiedzia łem, warte jest przysięgi i nie zmienię słowa, ta mi, Boże, dopomóż“...

Pani Latter wróciła energja. Kazała woźnem wynieść torbę i zawołać dorożkę. W parę min później jechała na dworzec petersburski.

— Warjatka, czy co?... — rzekł woźny do p sługacza.

— Iii... może jaka obca... Pewnie zapomnia czego — odparł posługacz.

Około ósmej była już na Pradze; we dwor spytała posługacza: kiedy odchodzi pociąg?

— Kwadrans po jedenastej.

Dreszcz ją przebiegł.

— Trzy godziny czekać — szepnęła.

Na myśl o Mielnickim przypomniała sobie, że a jego wino. Więc przeszła do sali trzeciej klasy ukrywszy się w kącie, wypiła kieliszek.

— Już nie wiem, który dziś... — rzekła, czując dnak, że jest rzeźwiejsza.

Męczyła ją potrzeba ruchu: chciała gdzieś iść, zy jechać, byle nie stać w miejscu; a oddałaby sztę życia, gdyby już mogła znaleźć się w domu ielnickiego. Ten człowiek był dla niej jak mojże-owy wąż miedziany, na którego rzucone spojrze-e miało ją uzdrowić.

Zostawiwszy torbę pod opieką służby, wyszła zed dworzec, kierując się w stronę mostu i War-awy, w której już zapalono światła. Patrzyła na isłę ku temu domowi, gdzie była jej pensja, i przy-mniała sobie ów wieczór październikowy, kiedy okna gabinetu spoglądała na Pragę. Słońce wów-as zachodziło i oblewało ziemię rudo - żółtawem viatłem, na którego tle było widać dym odjeżdża-cej lokomotywy. Myślała wtedy, że rude światło st szkaradne i że szkaradną jest ta odjeżdżająca komotywa, która przypomina, że wszystko mija ı tym świecie, nawet powodzenie.

Otóż jej powodzenie minęło! Już ona sama jest e po tamtej, ale po tej stronie Wisły, czy Styksu; ż nie patrzy z wysokości swoich apartamentów ı Pragę, ale tuła się między budynkami. I już wzno-ą się czarne kłęby dymu nad tą lokomotywą, któ-: ją na nieznany brzeg wyrzuci.

Niedawniej jak przed półrokiem, tam na gó-

rze gdzie w tej chwili ktoś przenosi lampę (kto t może być: Madzia, czy panna Howard, może Stan sław?...), pół roku temu sama jasno określiła swo położenie i przyszłość. „Na pokrycie mniejszego dłu gu zaciąga się większy dług, potem jeszcze większ więc w rezultacie musi się to wszystko skończyć — myślała wówczas; a dziś — spełniło się. Skoń czyło się w ten sposób, że ona nie ma nic: ani wła dzy, ani majątku, ani domu, ani dzieci, ani męża - no, nic. Jest istotą wyrzuconą poza obręb społ czeństwa, jak pies, który zgubił pana.

— Doskonale — szepnęła. — Ale co się stan z pensją?... Bo przecież ja tam nie mam poco wr cać... Jutro po całej Warszawie rozejdzie się wieś że uciekłam...

Szybko zawróciła ku dworcowi, a znalazłsz się tam, kazała podać papier i kopertę i napisała li do panny Malinowskiej, oddając jej pensję pod opi kę i nadmieniając o pieniądzach, które zostawi w biurku. Nawinął się jakiś spóźniony posłanie więc powierzyła mu list na los szczęścia, nie żąd jąc numeru, nawet nie patrząc, jak ten człowiek w gląda.

„Skończone... wszystko skończone!...“ — m ślała, czując, że jednak jest trochę spokojniejsza.

Zajrzała do portmonetki i znalazła w niej ok ło dziesięciu rubli.

— Kolej do Małkini — mówiła — stamtąd k nie do Mielnickiego... Okropna rzecz... Gdyby Mie nicki nagle umarł, nie miałabym nawet za co wr

ć... Jak w tej chwili nie mam dokąd wracać, ani
oco...

Około dziesiątej wieczorem dworzec ożywił
ę: zajeżdżały powozy i dorożki, do sal zaczęli na-
ływać pasażerowie. Zdawało się pani Latter, że
iektórzy z pomiędzy przybyłych przypatrują się
j, a szczególniej żandarm, który kręcił się w kory-
rzu, wygląda, jakgdyby kogoś szukał.

„Mnie szukają" — pomyślała i ukryła się w sa-
trzeciej klasy, między najbiedniejszymi. Zdawało
j się, że lada chwila wywoła ją ktoś po nazwisku
prawie czuła ciężar ręki, która ją schwyci za ramię.
le nikt nie wymieniał jej nazwiska.

Obok umieściła się jakaś uboga rodzina: mat-
a z dwuletniem dzieckiem na ręku i dziesięcioletnia
ziewczynka, pilnująca sześcioletniego chłopca, któ-
y był przepasany dużą chustką przez głowę i plecy
akrzyż.

Pani Latter usunęła się im na ławce i spytała
obiety:

— Daleko pani wiezie ten drobiazg?

— Aż za Grodno jedziemy, łaskawa pani. Ja,
ąż i te oto fąfle...

— Tam państwo mieszkacie?

— Gdzieżby zaś, łaskawa pani. Mieszkamy
Płockiem, a jedziemy za Grodno, bo mój ma tam
ostać gajowym.

— U kogo?

— Jeszcze nie wiemy, łaskawa pani, a jedzie-
y, bo w domu niema co robić.

— Więc cóż poczniecie w Grodnie?

— Staniemy w jakiej austerji, dopóki mąż n
odszuka tego pana, co mu powiedział, że pod Gro
nem łatwiej o miejsce, niż u nas.

Przez ten czas jej mąż, człeczyna zarośnięt
jak dziad, w drelichowym surducie, znosił skrzynk
węzełki, koszyki. Potem z garnuszkiem poszedł d
bufetu po gorącą wodę, a gdy i to przyniósł, kobie
cina zabrała się do gospodarstwa. Rzuciła w garn
czek trochę soli i masła, nadrobiła chleba i zaczęł
karmić dzieci. Najpierw matka nasyciła dwuletnieg
potem starsza dziewczynka zajęła się sześciolatkien
i nareszcie—zjadła wszystko po młodszych. Kobiet
i jej mąż nie jedli nic: ona bowiem wydawała ciągl
jakieś rozporządzenia, a on biegał za kupnem bile
tów, bułek na drogę, poprawiał paczki lub zawiązy
wał węzełki.

Widok biedaków w niewymowny sposób tortu
rował panią Latter. Porównywała siebie z matk
rodziny, jak ona pozbawionej dachu, lecz o wiel
szczęśliwszej. I teraz dopiero w całej pełni odczuł
straszną prawdę, że ubóstwo może być cierpienien
ale samotność jest kalectwem ducha!...

„Ma dzieci i męża — myślała, patrząc na ko
bietę. — Ma człowieka, który jej pomaga, ma dro
biazg, przy którym może zapomnieć o sobie... Nawe
ta dziewczynka już ją wyręcza... Cokolwiek ich spot
ka, choćby śmierć, ludzie ci w ostatniej chwili mo
gą uścisnąć się za ręce, pożegnać spojrzeniami.
A mnie kto pożegnałby, gdyby naprzykład wykolei
się pociąg?..."

Teraz przypomniała sobie dzień, w którym p

ız pierwszy piła wino, ażeby się uspokoić i — ów
ɜn, który po winie nastąpił. Śniło jej się, że jest
ımą, jak dziś, na ulicy, jak dziś, bez grosza, lecz—
: jest zupełnie szczęśliwą, ponieważ uwolniła się od
ɜnsji, jak dziś. I gdy w tej nędzy ogarnęła ją ra-
ɔść na myśl, że jest wolna, wolna od gospodyni,
:zennic, dam klasowych i profesorów, w tej chwili
azio i Helenka zabiegli jej drogę i usiłowali namó-
ić, ażeby wróciła na pensję!...

Wówczas, w tym śnie, pierwszy raz w życiu,
:zuła żal do swoich dzieci. Ale w tej chwili, na
vardej ławce banhofu, kipiało w jej sercu coś gor-
:ego. Spojrzała na matkę ubogą i bezdomną, lecz
:oczoną dziećmi, i przyszło jej na myśl, że ona
kże nędzna i bezdomna, nie ma jednak przy sobie
ʒieci. I że może właśnie w tej godzinie Helenka
ywa z eleganckiem towarzystwem po kanałach
eneckich, a Kazio — może gdzieś podpisuje weksle
j nazwiskiem. Oni tam bawią się, a ona cierpi,
erpi jak całe piekło potępieńców...

— Szczenięta!... — szepnęła. — Ale dobrze
i... takie sobie wychowałam...

I uczuła nienawiść.

Zadzwoniono: pasażerowie zaczęli tłoczyć się
· wyjścia. Pani Latter zapuściła woalkę i, pochwy-
wszy torbę, ostrożnie wymknęła się do wagonu
zeciej klasy.

Jeszcze pamiętała, że po wielu dzwonieniach
świstaniach pociąg ruszył. Mignęło kilka latarń,
majaczył szereg wagonów... potem już nic...

Lecz po chwili (przynajmniej tak jej się zda-
wało) zbudzono ją i zażądano biletu.

— Mam bilet do Małkini — odparła.

— To też właśnie odda go pani, bo już minę-
liśmy Zieleniec.

Wzruszyła ramionami i oddała bilet, nic n-
rozumiejąc; gdy zaś zostawiono ją w spokoju -
wpadła w letarg.

Lecz po chwili znowu ktoś ją zaczepił, mówią-

— Pani miała bilet do Małkini.

— Tak.

— Więc dlaczego pani nie wysiadła?

— Przecież dopiero wyjechaliśmy z Warsza-
wy... — odpowiedziała zdumiona.

W wagonie ten i ów począł się śmiać... Przy-
szedł jeden konduktor, drugi, naradzali się. Wkońc-
kazano pani Latter zapłacić trzydzieści kopieje-
i powiedziano jej, że wysiądzie w Czyżewie.

Znowu zapadła w letarg i znowu ją zbudzon-
Ktoś wziął ją za ramię i wyprowadził z wagon-
ktoś inny podał jej torbę, zdaje się nawet, że t-
człowiek, który z rodziną jechał do Grodna. Pote-
pozatrzaskiwano drzwi, zadzwoniono, zaświstan-
i — pociąg zwolna usunął się ze stacji. Pani Latt-
została na peronie sama, wśród nocy... Przy świet-
latarni zobaczyła pod ścianą ławkę i usiadła na ni-
nie troszcząc się ani tem: gdzie jest, ani — co s-
z nią dzieje.

Już było widno, kiedy zziębnięta pani Latt-
ocknęła się; przed nią stał jakiś Żyd, mówiąc, że n-
furmankę, i zapytując: gdzie chce jechać? Pani La-

r przywidziało się, że to przebrany Fiszman; więc
rwała się z ławki z zaciśniętemi pięściami i zaczę-
krzyczeć:

— Czemu mnie ścigasz?... Nie chcę nic... ja
odpisałam!...

Furman zaczął się irytować i podnosić głos. Na
częście, wmieszał się do zatargu jakiś urzędnik,
usłyszawszy, że pani Latter chce jechać do Miel-
ckiego, odparł:

— O, to nałożyła pani drogi... Z Małkini da-
ko bliżej... Ale jest tu właśnie chłop z tamtych
on, on panią odwiezie.

Sprowadzono na peron chłopa, który zgodził
za dziesięć złotych odwieźć panią Latter do sa-
ego Buga — do promu.

— A byle pani siadła na prom — mówił
łop — to jakby weszła do dworu: bo dwór zaraz
wodą.

— A może znacie pana Mielnickiego — spy-
a pani Latter.

— Jużci, niby znam... Póki nie miało się swego
ntu, to chodziło się na robotę do pana Mielnic-
go. Niczego szlachcic, ino trochę impetyk. U nie-
dać w gębę człowiekowi, to jakby kieliszek wódki
pił. Fertyczny pan, ale sprawiedliwy.

— Więc jedźmy! — rzekła pani Latter, czu-
że ogarnia ją rozpaczliwe pragnienie, ażeby
elnickiego ujrzeć czem prędzej.

„Gdyby teraz umarł — myślała — zabiłabym
albo oszalałabym...“

Prędzej, prędzej... po spokojność, po zdrowi
może po życie!...

Chłop flegmatycznie zwinął torbę z obrokie
i zaprzągł konie do wasąga. Niewygodnie było si
dzieć, wasąg trząsł, snopek słomy usuwał się z p
pani Latter, ale ona nie zważała na to. Trzymając s
wozu, śledziła wzrokiem mgłę, z której miał wyn
rzyć się dwór Mielnickiego — i ratunek.

Prędzej!... prędzej!...

Mielnicki dla pani Latter skupiał w sob
wszystkie interesa jej życia. Alboż nie on powi
dział: „rzuć pensję od wakacyj... córkę wydan
zamąż, a syn weźmie się do roboty...“ Czy r
oświadczył, że gotów przeprowadzić rozwód, by
ona zdecydowała się wyjść za niego?... A czy r
on mówił: „pamiętaj, pani, że masz własny do
Zrobiłabyś krzywdę staremu, nie rachując na mn
jak na Zawiszę...“ Albo te ostatnie wyrazy: „ to, co
powiedział, warte przysięgi, i nie zmienię słowa, t
mi, Boże, dopomóż!...“

Więc ona nie jest tułaczką, ani sierotą, ma
świecie człowieka, któremu może zaufać... A ten d
i ten człowiek, są o — tam... niedaleko stąd... Za g
dzinę, może prędzej, ona wejdzie do tego dom
stanie przed jedynym wiernym, jedynym uczciwy
przyjacielem i powie mu:

„Straciłam wszystko i teraz pukam do two
drzwi“.

A on:

„Trać, byle prędzej... Kiedykolwiek zajedzie

dzień, czy w nocy, znajdziesz gotowe mieszka-
e...“

Moje mieszkanie, w moim domu!... — zawołała pani Latter tak głośno, że wiozący ją chłop)ejrzał się.

„A co ja mu wtedy powiem?... — myślała.— ak mu powiem: daj mi kąt, gdzie mogłabym przeać dobę... dwie doby... tydzień... bo czuję, że mnie łęd ogarnia...“

Nagle wasąg zatrzymał się w miejscu, gdzie ściniec przecinała droga boczna. Na owej drodze azał się powóz zaprzągnięty we dwa dzielne katany, a w powozie jakiś gruby pan, zawinięty burkę, z kapturem na głowie. Gruby pan zapewne zemał; jego twarzy nie można było poznać.

Woźnica w piaskowym płaszczu trzasnął z ba-, konie przeleciały jak wicher i skręciły na tę dro-, którą już przejechała pani Latter od kolei.

— Poco zatrzymujecie się? — zapytała nieerpliwie chłopa.

— Bo myślałem, że to pan Mielnicki przejechał — odparł chłop.

— Mielnicki?... stój!

— I... nie, to chyba nie on — rzekł chłop po myśle. — Onby tamtą drogą nie jechał od siebie kolei, ino tą, co my teraz jedziemy...

Zaciął swoje mierzyny i wasąg potoczył się. kwadrans później wyjechali na pagórek, z którego ukazał się Bug.

— O, gdzie siedzi Mielnicki! — odezwał się łop, wskazując batem. W tym kierunku widać

było szeroko rozlaną rzekę, a za nią ciemną kę
drzew jeszcze nagich, z pomiędzy których prz
świecał czerwony dach dworu.

— A o hańta izba — mówił chłop — to karc
ma u przewozu. Tam siądziecie na prom i
jedną zdrowaśkę będzie pani we dworze.

Pani Latter zdawało się, że tego kawałka dr
gi już nie przejedzie. Chwilami porywała ją ta
rozpaczliwa niecierpliwość, taki niepokój, że chcia
rzucić się z wozu na gościniec i rozbić głowę. l
szczęście, przypomniała sobie, że ma jeszcze tr
chę wina w butelce; wypiła resztkę i uspokoiła
nieco.

„Naprzód do Mielnickiego, a potem spać...“
mówiła w duchu.

Ach, Mielnicki!... Gdyby on wiedział, ile
nim zależało pani Latter. W jego domu znajd
chwilowe schronienie i sen, który ją oddawna op
ścił. Mielnicki pojedzie do Warszawy, ułoży
z panną Malinowską o odstąpienie pensji, wytargu
co się da, i spłaci dług Zgierskiego.

O, Mielnicki zrobi dla niej jeszcze więcej:
skłoni ją do zgodzenia się na rozwód z Lattere
On przytuli ją do siebie, jak ojciec, i będzie błag
ażeby dla jego szczęścia nietylko podpisała żąda
akt, ale nawet ażeby przyspieszyła kroki rozw
dowe. Tym sposobem pani Latter nie będzie kobi
odepchniętą, ale taką, która odrzuciła niewdzię
nika, ażeby uszczęśliwić człowieka zacnego.

A gdy w ten sposób ułożą się materjalne in
resa pani Latter, gdy odpocznie i uspokoi się, g

zatargu z mężem wyjdzie triumfująca, wówczas elnicki zrobi rzecz najważniejszą: uprosi ją, aże- przebaczyła dzieciom.

„Jakim dzieciom?... — odpowie mu pani Lat- —ja nie mam dzieci!... Panna dobrowolnie zwich- ła karjerę własną i brata, wypuściła z rąk świet- partję, a teraz bawi się, pływa po kanałach we- ckich, śpiewa, kiedy ja—za cały przytułek mam łopską furę i pęczek słomy... A ten panicz, lekko- ch i utracjusz, który oddawna skończył dwadzie- a lat i nie ma wytkniętej drogi w życiu!... Ile on ie kosztował, ile wydarł pieniędzy już w tym ro- , ażeby lecieć zagranicę i spłacić weksle, na órych podpisywał moje nazwisko... Nie, ja nie m dzieci“.

„No, co tam — powie Mielnicki, ser- cznie patrząc na nią — niema się o co gniewać... lenka jest dziewczyna piękna, Solski szkaradny, podobał się jej. Cóżto, wolałabyś pani, ażeby oja córka sprzedała się?... Taka perła między nami, za którą cała okolica będzie tracić głowy... ynajdziemy jej męża jeszcze lepszego aniżeli lski!...“

A o Kaziu powie Mielnicki tak:

„Głupstwo! niema o czem gadać... Każdy mło- jest lekkoduch i trwoni pieniądze, bo jeszcze nie znał ich wartości... Ale to chłopak genjalny, więc dź pani o niego spokojna. Dam mu przez cztery a po dwa tysiące rubli rocznie i niech się kształci: gdy zrobi majątek, to mi zwróci.“

Taką rolę odgrywał Mielnicki w marzeniach

pani Latter i taką musi odegrać w rzeczywistoś jest bowiem człowiek uczciwy i do niej przyw zany. Gdy zaś mężczyzna naprawdę kocha kobie niema ofiary, którejby nie spełnił, owszem — o kt rąby się nie upominał, jak o łaskę.

„A ja mu zato — myślała pani Latter z uśm chem — będę szyła cieplutkie kaftaniki i będę gotować najsłodsze rumianki!... Bo przecież ten k chany staruszek niczego więcej nie potrzebuje, tyl rumianku i spokoju. Ten będzie najlepszy z moi mężów".

XXXIV.

Co można spotkać na drodze.

W tej chwili wóz stuknął o kamień i zatrz ınał się przed karczmą, gdzie stało kilka fur i gı madka rozmawiających ludzi.

Pani Latter ocknęła się, spojrzała wok i. usiłując skupić rozpierzchnięte myśli, zapytała:

— Co to jest?

— A przewóz jest — odparł furman. — dziś w nocy woda wylała i prom zerwało.

Pani Latter przy pomocy chłopa i karczma wysiadła z wozu, rumieniąc się za swój ekwir i za otoczenie, w jakiem ją los postawił.

„Szalona jestem! — pomyślała. — Rzucać pe się... tułać się po karczmach..."

Była dziesiąta rano. Pani Latter zapłaciła ch pu należność i zawstydzona patrzyła na odrapa

rczmę, na wózki i ludzi stojących wśród błota, nadewszystko na ten czerwony dach, który mię-y nagiemi drzewami majaczył po drugiej stronie eki.

„Poco ja tu przyjechałam nieszczęśliwa?...“— yślała.

A jeżeli Mielnicki zdziwi się i powita mnie jak cą?... Przecież to obcy człowiek!...

Zwróciła się do karczmarki, już trzymającej torbę, i spytała:

— Pan Mielnicki tam mieszka?

— Zara za rzeką.

— A jest w domu?

— Musi że jest. Przecie święta nadchodzą, to żden się domu pilnuje... A jeszcze jak woda wy-a...

— Ja chcę tam pojechać... do pana Mielnic-ego.... — rzekła pani Latter.

— Pojechać to można, ino nam prom odnio-). Ale zaraz go tu sprowadzą, tylo patrzeć...

— A mostu u was niema?...

— Nigdy u nas nie było mostu. Tak się ludzie zewożą, na promie. Ale że nam prom dzisia w no-złapało i odniosło wdół, a nasi dopiero za nim jechali wierzchem, więc zaraz go tu sprowadzą — jaśniała karczmarka.

— Jakże będzie ze mną?

— A nijak. Poczeka se pani na prom i pro-em śmignie na drugą stronę.

Pani Latter zaczęła niespokojnie chodzić, ze

wstrętem unikając błota, w którem tonęły jej trze wiki.

— Czółna u was niema? — spytała.

— Ni. We dworze to musi jest, ale nie u nas

— A kiedyż prom będzie?... — mówiła z ro snącą trwogą.

— Najpóźni to na południe.

— A może dopiero wieczorem?...

— Może ta zamarudzą i do wieczora. Poje chali wierzchem, ale czy go złapali, niewiadomo— objaśniała gadatliwie karczmarka.

Pani Latter znowu ziemia zaczęła się chwia pod nogami. Bała się wejść do karczmy, bała si spojrzeć na niebo, gdyż zdawało jej się, że lad chwilę niebieski lazur zacznie odłupywać się ja tynk i spadać kawałami na ziemię. W głowie je szumiało, w oczach przelatywały błyskawice.

Karczmarka, choć prosta kobieta, dostrzegł niezwykły wyraz w twarzy pani Latter, lecz przy pisała to zmęczeniu.

— Niech pani wejdzie do izby — rzekła—mo że pani prześpi się, może co zje, a oni nadjadą... — I zaprowadziła panią Latter do swej sypialni, gdzi stały dwa wysoko zasłane łóżka i kanapka, kryt perkalem. Ściany były zawieszone obrazami treśc wojennej lub pobożnej.

Pani Latter usiadła na kanapce i wlepiła ocz w jeden z obrazów, wyszyty włóczką i przedstawia jący jakiegoś świętego. Z obocznej szynkowni dola tywał ją zaduch wódki, dym fajek i hałaśliwa roz-

nowa ludzi, czekających na prom. Patrzyła w obraz myślała:

„Malinowska już musi być na pensji, a z nią ej spólnik, Zgierski... Ciekawam, czy nie pogryzą ię przy podziale łupu?... A jak musi triumfować łowardówna!... No, teraz zaczną się jej rządy i reormy. Nad wieczorem całe miasto mówić będzie, że ciekłam, a jutro... dowie się o tem nawet ten nieołęga Dębicki... Wyobrażam sobie jego baranią minę!... Zapewne pomyśli, że Bóg skarał mnie za niego.

Helenka naturalnie odpoczywa po serenadach, Kazio...

Ach, czy podobna, ażeby z tak niewinnych stot, jak dzieci, wyrastały takie straszne potwory, ık ludzie"...

Weszła szynkarka.

— Jest prom?... — zapytała pani Latter, zrywając się z kanapy.

— Jeszcze nie, ale zaraz przyjadą... Tylko co ch nie widać... Może pani zgotować jajecznicy?... może herbaty z arakiem?...

— Dajcie araku — rzekła cicho pani Latter, rzypomniawszy sobie, że nie ma wina.

Karczmarka przyniosła małą flaszeczkę araku szklankę. Gdy znowu odeszła, pani Latter wylała wszystek arak do szklanki i wypiła duszkiem. Vstrząsnęła się; ogień uderzył jej do płuc i do głowy.

Spojrzała na zegarek: była druga po południu.

„Gdzie się ten czas podział?...—myślała zdumiona. Zdawało jej się, że najwyżej kwadrans przeędziła w izbie karczmarki.

Znowu ogarnął ją niepokój, więc wyszła przed karczmę, wyglądać promu. Ale na żółtawej, bystro płynącej wodzie, nie było widać nic.

Odwróciła głowę w drugą stronę, i wzrok jej padł na dach, czerwieniejący między drzewami, I, jakby zahipnotyzowana tym widokiem, zaczęła iść ponad rzeką, ażeby stanąć naprzeciw dworu i zobaczyć go choć z tego brzegu. A może ze dworu wyjdzie w tej chwili Mielnicki i dostrzeże ją?... Tak przecież blisko...

W ten sposób odsunęła się z pół wiorsty od karczmy, z oczyma wlepionemi w drugi brzeg. Nagle — myślała, że się rzuci naprzód, wpław... Naprzeciw, o paręset kroków, był park, pełen starych drzew, a w tem miejscu, gdzie rzeka skręcała, pod ogromną lipą, widać było czarną ze starości ławeczkę... Nawet kora na lipie była pęknięta.

Marzenia pani Latter spełniły się. Oto jest park, który tyle razy widywała w swoich snach na jawie. Oto ów ubogi krajobraz, w którym mieszka cisza, sięgająca od ziemi do nieba.

Pani Latter zaczęła biec nad brzegiem.

— Boże — mówiła — ześlij...

Czy oczy ją łudzą?... Na wzgórku między drzewami widać odwrócone, białe czółno, a o kilkanaście kroków dalej przechodzi zwolna jakiś człowiek.

— Hej! człowieku... człowieku!... — zawołała rozgorączkowana.

Odwrócił się.

— Przypłyń tu czółnem...

— Nie wolno, to dworskie czółno...

— Więc idź do dworu...

Człowiek machnął ręką i szedł dalej.

— Rubla ci dam!... Zegarek!... — wołała nieprzytomna.

Odwrócił się i zniknął między drzewami.

— Człowieku... ach, człowie...

I, rozkrzyżowawszy ręce, rzuciła się w rzekę.

Uderzenie i przejmujące zimno otrzeźwiły ją. Nie rozumiała, gdzie jest, lecz czuła, że tonie. Rozpaczliwym ruchem wydobyła się na powierzchnię wody i krzyknęła:

— Dzieci moje...

Nurt ją porwał i rzucił na dno. Przez chwilę brakło jej tchu, serce zaczęło bić, jak dzwon pęknięty, i to była najprzykrzejsza chwila. Wnet jednak ogarnęła ją tak wielka apatja, że nie chciało jej się nawet ręką poruszyć. Zdawało jej się, że nieznane siły wynoszą ją na ocean bez dna i granic, a jednocześnie — że budzi się ze snu przykrego. W mgnieniu oka przedstawiło się całe jej życie, które było tylko kroplą w bezmiarze jakiegoś pełniejszego i rozleglejszego życia.

Zaczęła sobie przypominać coś, czego nigdy nie widziała na ziemi, i opanowało ją zdumienie.

„Więc to tak?“... — pomyślała.

Czuła pod ręką gałąź, ale już nie chciała jej schwycić. Natomiast otworzyła oczy, gdyż zdawało jej się, że przez warstwę żółtawej wody zaczyna patrzyć na inny świat, wolny od trosk, zawodów, nienawiści...

W kilka minut, po tamtej stronie rzeki, czło-

wiek, z którym rozmawiała pani Latter, i jakiś drugi przyszli z wiosłami. Zaczęli przypatrywać się, wołać; wreszcie powoli odwrócili leżące czółno, zepchnęli na wodę i przepłynęli na tę stronę.

— Uwidziało ci się — rzekł drugi człowiek. — Tu przecie niema nikogo...

— Ale, uwidziało mi się!... Przecie mi rubla obiecywała... — odpowiedział pierwszy.

— Pewnie jej żal było rubla i wróciła do karczmy... A to co?...

Spostrzegli na brzegu parasolkę. Szybko przymocowali czółno do krzaków i, wysiadłszy, zaczęli obaj oglądać się niespokojnie. Ale choć na wilgotnej ziemi, pokrytej zeszłoroczną trawą, znać było ślady trzewików, osoby nie znaleźli.

— Chyba potknęła się i wpadła?... — rzekł pierwszy.

— Uuu!... Jezusie, Marjo, cóżeś ty mi, człowieku, narobił?... — biadał drugi. — A toć, jeżeli się utopiła, będą nas ciągali po sądach...

— Wola boska!... Płyńmy do przewozu; może tak prędko do karczmy uciekła...

Popłynęli do karczmy i dali znać, że stał się wypadek z nieznajomą panią. Karczmarz, karczmarka, gromada chłopów i bab, czekających na przewóz, rozbiegli się wzdłuż rzeki, wołali, wypatrywali, lecz nie dojrzeli nic.

Około szóstej wieczorem, gdy wrócił oczekiwany prom, dwaj przewoźnicy siedli w czółno i, płynąc wgórę rzeki, spostrzegli zaplątaną w krzakach nogę... Tam leżały zwłoki pani Latter, o kilkana-

ście kroków od lipy i ławeczki, przy których miały się spełnić jej marzenia.

Odwieźli ją do przewozu, próbowali cucić, wreszcie położyli w rowie obok gościńca. A że miała otwarte oczy, i ludzie bali się, więc karczmarz nakrył ciało starym workiem.

I tak leżała cicho, z twarzą zwróconą do nieba, już tylko stamtąd wyglądając miłosierdzia, którego nie mogła doczekać się na ziemi.

. . . .

W tej samej godzinie Madzia odbierała od panny Malinowskiej trzymiesięczną pensję, a Mielnicki jechał, co koń wyskoczy, od stacji kolejowej do przewozu, pewny, że zastanie panią Latter.

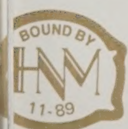
„Teraz nie wykręci mi się kobieta — myślał.— Rozwiodę i ożenię się... To będzie gospodarowała!... To mi się dom ożywi!...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS RZECZY.

		Str.
I.	Energja kobiet i męskie niedołęstwo	5
II.	Dusze i pieniądze	33
III.	Świtanie myśli	44
IV.	Brzydka panna	55
V.	Piękne panny	67
VI.	Taka, której się nie powiodło	81
VII.	Której się powodzi	90
VIII.	Plany ratunku	103
IX.	Przed wyjazdem	110
X.	Pożegnanie	116
XI.	Znowu awantura	130
XII.	Nudne święta	138
XIII.	Stary i młody tego samego gatunku	145
XIV.	Lekarstwo.	158
XV.	Pan Zgierski rozmarzony	168
XVI.	Pan Zgierski praktyczny	178
XVII.	Pierwszy uścisk	194
XVIII.	Kara za niedołęstwo	207
XIX.	Pierwszy smutek	213
XX.	Widzenia	220
XXI.	Rzeczywistość	227
XXII.	Dlaczego synowie niekiedy wyjeżdżają za granicę?	234
XXIII.	Znowu pożegnanie	242
XXIV.	Filozofja kuchenna.	247
XXV.	Wypędzeni wracają	260

St.
XXVI. Zatrzymywani odchodzą 27
XXVII. Nowina o córce 28
XXVIII. Wiadomość o synu 29
XXIX. Pomoc gotowa 30
XXX. Rój po odlocie matki 31
XXXI. Pan Zgierski zadowolony. 32
XXXII. Chaos 33
XXXIII. Człowiek, który ucieka przed samym sobą 34
XXXIV. Co można spotkać na drodze 35


BOUND BY
HNM
11-89

